



  
wydawnictwo  
przedświt

Paul Brunton

# ŚCIEŻKAMI JOGI

---

Tłumaczenie z oryginału angielskiego  
*A search in secret India*

z upoważnienia autora przełożyła  
*Wanda Dynowska*

Tekst na podstawie przedwojennego wydania (bez daty)  
został uściślony, uwspółcześniony i wybrany przez  
Andrzeja Urbanowicza, 1992.

Projekt okładki i układ graficzny  
*Andrzej Urbanowicz*

Wydawnictwo Przedświt  
00-332 Warszawa  
ul. Oboźna 11/24c  
tel. 635-95-56

---

*Istnieje od 1982 roku*

ISBN 83-7057-015-1

*Ego autem sum vermis, et non homo;  
approbrium hominum, et abiectio plebis.  
Omnes videntes me, deriserunt me...*

PSALM. XXI, 7, 8.

*Iudica me secundum iustitiam tuam.*

PSALM. XXXIV, 24.

Wybrałem się na Wschód w poszukiwaniu joginów i ich hermetycznej wiedzy. Wprawdzie chęć znalezienia duchowego świata i życia zbliżającego do Boga nie była mi obca, przyznaję jednak, iż nie ona mną kierowała. Wędrowałem wzdłuż brzegów świętych rzek hinduskich – spokojnego, szarozielonego Gangesu, szerokiej Dżamny, malowniczej Godawari. Objechałem dokoła kraj cały. Indie przyjęły mnie serdecznie, a znikający już przedstawiciele ich mędrców otwierali niejedne podwoje przede mną, człowiekiem Zachodu.

Niedawno jeszcze znajdowałem się wśród ludzi, dla których Bóg jest halucynacją, niewyraźną mgławicą, a sprawiedliwość powszechna – wymysłem dziecinnych idealistów. Sam miałem dużo lekceważenia dla tych, co lubią budować teologiczne raje, a uważając się za przedstawicieli boskich włości, innych pragną nauczać i informować. Zdecydowanie gardziłem wszystkim, co mi się zdało fanatycznym, drobnostkowym wysiłkiem bezkrytycznych teoretyków. Jeśli więc zacząłem myśleć o tych sprawach nieco inaczej, musiałem mieć po temu dostatecznie poważne powody; nie poddałem się jednak żadnej wschodniej wierze, a te, które są naprawdę ciekawe, studiowałem już dawniej. Zdoylem natomiast nowe pojęcie Boga. Może się to wydawać nieznacznym i czysto osobistym zdarzeniem; lecz jako przedstawiciel pokolenia, które wierzy tylko faktom i zinnemu rozumowi, a jest całkowicie wyzute z wszelkiego entuzjazmu dla spraw religijnych – uważam to za poważne osiągnięcie. Wiara została mi przywrócona w sposób dla sceptyka jedynie możliwy: nie przez słowne przekonywania i argumenty, lecz przez niezaprzeczone świadectwo własnego doświadczenia. Zmianę tę wywołał we mnie hinduski jogin, skromny pustelnik, który przebywał w grocie górskiej przez szereg lat w kompletnej samotności. Możliwe, iż nie zdałby on egzaminu dojrzałości w naszych szkołach, a jednak nie wstydzę się powiedzieć w końcowych rozdziałach tej książki, iż zawdzięczam mu wiele rzeczy najgłębszych.

3

Życie duchowe tajemnych Indii istnieje dotychczas pomimo przysyłających je burz i wstrząsów politycznych. Usiłuję tu opowiedzieć o niejednym adeptcie, który osiągnął moc i pogodę, za czym my, zwykli śmiertelnicy, daremnie tęsknimy.

Przynoszę również w mej książce świadectwo innym zjawiskom cudownym i zadziwiającym. Zdają się one nie do wiary nawet mnie samemu, gdy w zrównoważonej atmosferze wsi angielskiej przepisuję rękopis na maszynie. Jestem niemal skłonny dziwić się sobie, że odważam się mówić o nich do moich sceptycznych współczesnych czytelników. Ale nie wierzę, by materialistyczne pojęcia, przeważające w tej chwili na świecie, miały trwać długo. Już dziś można zauważyć wiele znamion, które wskazują, że zmiana jest bliska. Co do mnie, muszę przyznać szczerze, że jak większość moich współczesnych — w cuda nie wierzę. Wierzę natomiast, że nasza znajomość praw przyrody jest jeszcze bardzo ograniczona, i ufam, iż gdy najbardziej postępowi uczeni, zapuszczający się w nieznane tereny, odkryją jeszcze parę prawd, będziemy mogli czynić wiele rzeczy, które dziś wydawać się mogą cudami.

## MAG Z EGIPITU

Ciekawy, a może i znamienity to fakt, że zanim zacząłem próbować szczęścia w mej wędrówce odkrywczej, los sam wyszedł na me spotkanie. Nie miałem jeszcze czasu nawet na obejrzenie Bombaju, wszystko, co o nim wiedziałem, zmieściłoby się na pocztówce. Walizy moje, oprócz jednej, jeszcze nie otwarte. Jedynym moim zajęciem – zapoznawanie się z warunkami i otoczeniem hotelu Majestic, w którym, za radą jednego z towarzyszy podróży morskiej, stanąłem. I oto zaraz na wstępie czynię zdumiewające odkrycie: wśród gości hotelowych znajduje się członek bractwa „magów”, czarodziej czy czarownik, krótko mówiąc „cudotwórca” we własnej osobie!

Nie żaden „kuglarz” występujący po teatrzykach, robiący fortunę na sensacyjnych wrażeniach podnieconych tłumów, nie sprytny oszust, olśniewający bezkrytycznych ludzi zręcznymi wyczynami. Nie! Człowiek ten należy do linii tradycyjnej średniowiecznych czarowników. Rozmawia codziennie z tajemniczymi istotami, niewidzialnymi dla innych, lecz zupełnie realnymi dla niego! Tak mówi o nim opinia. Cały personel hotelowy patrzy na niego z pewnym lękiem nie pozbawionym szacunku, a mówi o nim prawie z zapor-tym oddechem. Gdziekolwiek się pojawi, goście przerywają mimo woli rozmowę i rzucają niepewne i zaciekawione spojrzenia. Zresztą nie zbliża się do nich prawie wcale, a obiad spożywa oddzielnie, zazwyczaj zupełnie sam.

Dodaje mu jeszcze nimbu tajemniczości fakt, iż nie jest ani Hindusem, ani Europejczykiem. Przybył znad Nilu, a więc mag z Egiptu!

Nie łatwo mi pogodzić zewnętrzny wygląd Mahmuda beja – takie nosi nazwisko – z niesamowitymi władzami, jakie mu przypisują. Zamiast ponurej twarzy i szczupłej postaci, której mimo woli oczekiwałem, widzę twarz zdrową, rumianą i uśmiechniętą, a silna, dobrze zbudowana postać o mocnych ramionach i energicznych ruchach znamionuje raczej człowieka czynu. Zamiast białej szaty lub szerokiego płaszcza nosi eleganckie współczesne ubranie europejs-

kie. Wygląda na przystojnego Francuza, jakiego można co dzień spotkać w lepszych restauracjach Paryża.

Przez resztę dnia zastanawiam się, jakby zapoznać się z nim, a następnego ranka budzę się z decyzją: muszę zdobyć „posłuchanie”, muszę mieć to, co moi koledzy prasowi nazwaliby jego „historią”. Piszę parę słów na bilecie wizytowym, a potem w prawym rogu dodaję pewien symbol, który mu wykaże, że wiem coś niecoś o tradycji tego rodzaju bractw, i ufam, że to ułatwi mi uzyskanie audiencji. Oddaję kartę służącemu wraz z rupią srebrną i posyłam go niezwłocznie do pokoju czarodzieja. W parę minut potem przychodzi odpowiedź: – Mahmud bej może zaraz pana przyjąć; jest przy śniadaniu, na które pana również zaprasza.

To pierwsze powodzenie dodaje mi odwagi. Idę za służącym na wyższe piętro i zastaję Mahmuda beja przy stole, na którym widzę herbatę, chleb i konfitury. Wskazuje mi krzesło naprzeciw siebie, lecz nie wstaje na powitanie i mówi zdecydowanym, dźwięcznym głosem:

– Proszę, niech pan siada. Proszę wybaczyć, lecz nigdy nie podaje ręki.

Ma na sobie luźny szary szlafrok. Lwia, ciemna czupryna spada mu falami na czoło, białe zęby jaśnieją w ujmującym uśmiechu, gdy pyta mnie:

– Podzieli pan ze mną śniadanie?

Dziękuję mu i popijając herbatę opowiadam, jaką grozę sieje w hotelu i jak długo musiałem się namyślać, zanim się zdobyłem na bezpośrednie zwrócenie się do niego. Śmieje się serdecznie i podnosi rękę z gestem bezradności, lecz nic nie mówi. W końcu rzuca pytanie:

– Czy pan jest przedstawicielem któregoś z pism?

– Nie, przyjechałem do Indii w sprawach prywatnych: chcę zbadać niektóre zjawiska mało znane, a potem zużytkować to dla pracy literackiej.

– A długo pan tu zostanie?

– To zależy od okoliczności; nie stawiam sobie terminu – odpowiadam, czując komizm sytuacji, w której role się odwracają i ja zaczynam być badany. Lecz następne jego słowa dodają mi otuchy.

– Ja również pozostaję tu dłużej. Może rok, może dwa. Potem pojedę na Daleki Wschód. Chcę trochę świata zobaczyć – a następnie powrócić do domu, do Egiptu, jeśli Allah pozwoli.

Służący sprząta ze stołu. Czuję, iż czas przejść do celu mej wizyty.

– Czy to prawda, że pan posiada władze magiczne? – pytam wprost.

Z całym spokojem i pewnością siebie odpowiada mi:

– Tak. Allah Wszechpotężny obdarzył mnie tą mocą.

Waham się chwilę, a on patrzy na mnie uważnie. – Chciałby pan zapewne, abym je zademonstrował? Prawda? – pyta nagle.

Oczywiście, odgadł moje pragnienie.

– Dobrze. Ma pan ołówek i papier?

Szukam pośpiesznie po kieszeniach, wrywam kartkę z notesu. Wyciągam ołówek.

– Doskonale. Teraz niech pan napisze jakiegokolwiek pytanie na papierze.

Wstaje i odchodzi do okna. Odwrócony do mnie plecami, patrzy na ulicę. Dzieli nas parę stóp.

– Jakiego rodzaju pytanie? – pytam niezdecydowany.

– Jakiegokolwiek pan zechce – mówi szybko.

Waham się między paru myślami, wreszcie piszę: „Gdzie mieszkałem przed czterema laty?”

– Gotowe? Teraz niech pan złoży kilkakrotnie papier, tak by się utworzył kwadrat. Im mniejszy, tym lepiej.

Wypełniam posłusznie jego polecenie. Powraca do stołu, siada znów naprzeciw mnie.

– Niech pan teraz papier razem z ołówkiem zamknie w prawej dłoni.

Biorę w rękę oba przedmioty, mocno zaciskając dłoń, a Egipcjanin zamyka oczy i zdaje się zapadać w głębokie skupienie. Po chwili ciężkie powieki podnoszą się, a szare oczy patrzą na mnie poważnie. Mówi spokojnie:

– Pytanie, jakie pan zadał, było: „Gdzie mieszkałem przed czterema laty?”

– Prawda?

– Tak – odpowiadam zdumiony. – Jakież niezwykle odczytywanie myśli!

– Teraz niech pan rozłoży papier.

Kładę kwadracik na stole i powoli rozkładam go, aż wreszcie leży przede mną płasko w swej pierwotnej wielkości.

– Niech pan przyjrzy mu się uważnie.

Przyglądam się i czynię zdumiewające odkrycie: jakaś niewidzialna ręka dodała ołówkiem nazwę miasta, w którym ostatnio, przed czterema laty mieszkałem. Odpowiedź widnieje wyraźnie napisana – bezpośrednio pod pytaniem.



Mahmud bej śmieje się z tryumfem.

– Ma pan odpowiedź. Czy ścisła?

Potwierdzam niepewnym głosem, gdyż nie mogę wyjść ze zdumienia. Fakt jest niemal nie do wiary. Proszę, by powtórzył doświadczenie. Zgadza się chętnie i oddala się do okna, by nie można go posądzić o możliwość przeczytania tego, co piszę, podczas gdy zapisuję następne pytanie. Poza tym obserwuję go bacznie; widzę, iż patrzy na ulicę. Raz jeszcze składam starannie papier i wraz z ołówkiem zamykam w dłoni. Egipcjanin wraca do stołu i pogrąża się w skupieniu przez chwilę, po czym otwiera oczy i mówi:

– Drugim pańskim pytaniem było: „Jakie pismo wydałem przed dwoma laty?”

Odczytał dokładnie. Istotnie, świetnie odczytuje myśli.

Znów rozkładam papier na stole i znów widzę nazwę dziennika, napisaną ołówkiem koło mego pytania.

Zręczne oszustwo? Odsuwam to przypuszczenie jako absurd. Papier i ołówek pochodził z mej własnej kieszeni. Pytanie nie było obmyślane, a Mahmud bej stał z daleka ode mnie, gdym pisał. Przy tym całe doświadczenie odbywało się w pełnym świetle dziennym.

Hipnotyzm? Studiowałem ten przedmiot i dobrze wiem, kiedy i jak się przejawia usiłowanie zahipnotyzowania człowieka. Wiem również, jak się przed nim bronić, jak przeciwdziałać. A poza tym słowa na papierze napisane niewidzialną ręką pozostają.<sup>1</sup>

Znów jestem osłupiały ze zdziwienia. Proszę o powtórzenie po raz trzeci eksperymentu. Egipcjanin zgadza się. Rezultat jest ten sam.

Nie mogę zaprzeczyć faktom. Odczytał moje myśli (jak mi się zdaje); sprawił jakąś niepojętą dla mnie magią, że pewne słowa zostały wypisane przez nieznaną rękę na kawałku papieru zamkniętym w mej dłoni, a wreszcie słowa te były ścisłą odpowiedzią na moje pytania.

Jakiego on używa sposobu? Zastanawiam się głęboko i czuję obecność jakichś nieznanych i niesamowitych sił. Rzecz jest dla normalnego umysłu niezrozumiała i nie do wiary. Jest to coś poza zdrowym, normalnym życiem, aż mi serce zaczyna bić mocno, gdy myślę dalej o tym czymś niepojętym.

– Macie tam w Anglii ludzi, którzy by to potrafili? – pyta śmiejąc się.

---

1 Papier ten przez parę miesięcy pozostawał w moim posiadaniu, pismo przez ten czas nie znikło ani nie zbladło. Parę osób odczytywało je z równą łatwością jak i ja, co jest dowodem, że nie byłam ofiarą halucynacji!

Zmuszony jestem przyznać, że nie znam nikogo, kto mógłby to zrobić w podobnych warunkach, choć zapewne kilku fachowych sztukmistrzów podjęłoby się tego, lecz przy zastosowaniu wszystkich swoich urzędzeń.

– Czy mógłby mi pan wytłumaczyć swą metodę? – pytam niepewnie, czując, że proszę o rzecz równie niemożliwą jak o księżyc.

Wzrusza lekko swymi szerokimi ramionami.

– Ofiarowano mi już ogromne sumy za odkrycie mych tajemnic, ale nie mam jeszcze zamiaru tego uczynić.

– Widzi pan może, iż nie jestem zupełnym ignorantem w tej dziedzinie?

– Bez wątpienia. Jeśli kiedy przyjadę do Europy – co jest zupełnie możliwe – będzie pan mógł mi oddać pewne usługi. Wówczas, przyrzekam nauczyć pana mych metod, tak by pan mógł robić to samo, co ja, ilekroć pan zechce.

– A ile czasu zajęłaby podobna nauka?

– To zależy od człowieka, może być bardzo różnie. Gdyby pan pracował bardzo usilnie, poświęcając na to cały swój czas, wystarczyłoby dla zrozumienia tej metody trzech miesięcy, ale potem potrzeba lat praktyki.

– A czy nie mógłby mi pan wyjaśnić choćby zasadniczej podstawy tych zjawisk, teoretycznej strony tylko, nie poruszając wcale swoich tajemnic?

Mahmud bej myśli chwilę nad moją prośbą.

– Dobrze, zrobię to dla pana – odpowiada miękko.

Wyciągam moją książeczkę do stenografii i trzymam w pogotowiu ółówek.

– O nie, nie dziś – protestuje śmiejąc się. – Teraz nie mam czasu, musi pan wybaczyć. Niech pan przyjdzie jutro na godzinę przed południem, wówczas skończymy naszą rozmowę.

Punktualnie o wyznaczonej godzinie jestem u Mahmuda beja. Przysuwa mi pudełko egipskich papierosów i zapalając zapałkę dodaje:

– Pochodzą z mej ojczyzny, oryginalne. Prawda, że są dobre?

Opierając się wygodnie w fotelu puszczam parę kłębow dymu – jest aromatyczny i pachnący; istotnie, wspaniałe papierosy.

– A więc mam panu opowiedzieć o moich „teoriach”, jak wy, Anglicy, je nazywacie; dla mnie to niezbita pewność.

Mahmud bej śmieje się dobrodusznie:

– Może pana zadziwi, że jestem fachowcem agronomem i posiadam parę dyplomów?

Zapisuje.

– Ale pan jest dziennikarzem; chciałby pan pewnie wiedzieć, co mnie skłoniło do oddania się magii? prawda?

Potakuję skwapliwie.

– No, więc dobrze. Otóż urodziłem się wprawdzie na prowincji, ale wychowałem się w Kairze. Byłem sobie zwykłym chłopcem, zupełnie normalnym, o takiej samej skali zainteresowań jak wszyscy chłopcy w wieku szkolnym. Byłem rozmiłowany w rolnictwie, wstąpiłem do rządowej szkoły rolniczej i z całym zapałem oddawałem się mym studiom.

Pewnego dnia jakiś stary człowiek sprowadził się do domu, w którym mieszkałem. Był to Żyd o krzaczastych brwiach i długiej siwej brodzie, o twarzy poważnej, prawie ponurej. Zdawał się żyć w zeszłym stuleciu, ubierał się bowiem zupełnie staromodnie. Był milczący i nieprzystępny; trzymał się z dala od wszystkich swych sąsiadów. Właśnie ta nieprzystępność podnieciła mą ciekawość, a że byłem młody, pewny siebie i pozbawiony wszelkiej nieśmiałości, zacząłem starać się natarczywie o zaznajomienie się z nim. Z początku uchylał się, ale to tylko zdwoiło moją ciekawość. Wreszcie uległ mym zaczepkom i usiłowaniom wszczęcia rozmowy, a w końcu otworzył drzwi domu i pozwolił wziąć udział w swym życiu. Dowiedziałem się, że spędza wiele czasu na dziwnych studiach i jeszcze dziwniejszych praktykach; przyznał mi się, że bada nadzmysłową, niewidzialną stronę rzeczy. Niech pan sobie wyobrazi mnie, zdrowego chłopca, który zajmował się dotąd tylko swymi studiami i sportem, postawionego nagle twarzą w twarz z zupełnie innym, tajemniczym istnieniem! Nie przeraziło mnie to jednak, jak przeraziłoby zapewne wielu chłopców w moim wieku – raczej pociągnęło i zainteresowało. Ujrzałem różne możliwości ciekawych przygód w tej dziedzinie i wkrótce prosiłem starca, by mnie zaznajomił trochę z tymi dziwami. Zgodził się i wszedłem w nowy krąg ludzi i zainteresowań. Przyjaciel mój zabrał mnie z sobą do stowarzyszenia, które zajmowało się praktycznymi badaniami nad magią, spirytyzmem i wielu ukrytymi, tajemnymi zjawiskami, a nadto studiami nad teozofią. Sam miewał tam nieraz wykłady. Koło to składało się z uczonych, urzędników i przedstawicieli najlepszego towarzystwa Kairu.

Choć zaledwie można mnie było uważać za dorosłego, pozwolono mi chodzić ze starym na wszystkie zebrania. Przysłuchiwałem się zawsze skwapliwie, polykałem wprost wszystkie wiadomości; przyglądałem się też bacznie i z najwyższym zainteresowaniem

eksperymentom, które tam były na porządku dziennym. Oczywiście, że studia fachowe musiały na tym cierpieć i tylko dzięki wrodzonym zdolnościom przebrnąłem przez egzaminy i uzyskałem bez zbyteń- go trudu dyplom.

Studiowałem z zapalem stare księgi, które mi dawał mój przyjaciel, wykonywałem różne praktyki. Uczyłem się od niego magicznych rytuałów i czyniłem szybkie postępy. Po pewnym czasie odkrywałem rzeczy dla niego samego jeszcze nieznanne. Wkrótce zostałem uznany za biegłego eksperta w tej dziedzinie. Miewałem wykłady z szeregiem demonstracji w owym stowarzyszeniu w Kairze, a w końcu zostałem wybrany jego kierownikiem i przez dwanaście lat pozostawałem na stanowisku prezesa. Ale zrezygnowałem z tego urzędu chcąc zwiedzić pewne kraje, a przy sposobności zdobyć fortunę!

Zatrzymuje się i starannie wypielegnowanymi rękami, czego od razu nie omieszkalem zauważyć, strząsa popiół z papierosa.

– To rzecz niełatwa! – zauważyłem.

Śmieje się.

– Dla mnie nie będzie przedstawiała trudności. Wystarczy kilku klientów wśród bogaczy, którzy zechcą skorzystać z mych magicznych władz. Zna mnie już kilku zasobnych parsów i Hindusów. Przychodzą tu radzić się w swych trudnościach i kłopotach, pragną też odkryć pewne rzeczy, które wymykają się spod ich własnego badania, a czasem chcą informacji niemożliwych do zdobycia inną metodą. Biorę dużą cenę – sto rupii to minimum. Szczerze mówiąc chcę zdobyć dużo pieniędzy, a wtedy zarzucić tę praktykę, kupić dużą plantację pomarańczy w Egipcie, osiąść tam na stałe i poświęcić się zupełnie rolnictwu.

– Czy przyjechał pan tu wprost z Egiptu?

– Nie, spędziłem pewien czas w Syrii i Palestynie. Syryjska policja, słysząc o mych umiejętnościach, prosiła mnie o pomoc w odkryciu paru sprawców zbrodni. Niemal zawsze udawało mi się.

– A jakże pan postępował w tych wypadkach?

– Duchy, które mi pomagają, odkrywały mi tajemne przyczyny zbrodni, odtwarzały też wizję odpowiednich scen przed moim wewnętrznym wzrokiem.

Mahmud bej milknie na chwilę, jakby sobie coś przypominał. Milczę i ja nie chcąc mu przerywać.

– Tak, sądzę, że można by mnie też nazwać spirytystą praktykującym, gdyż wzywam i używam pomocy duchów. Ale jestem również magiem w prawdziwym tego słowa znaczeniu, gdyż

posługuję się magią – nie zaklinaliem jednak – no i odczytuję też z łatwością myśli ludzkie. To wszystko; do niczego więcej nie mam pretensji, za nic innego się nie podaję.

Stwierdzenie to, samo w sobie dość niesłychane, nie potrzebuje chyba dodatków.

– A czy może mi pan coś powiedzieć o swych niewidzialnych pomocnikach?

– O duchach? Dobrze! Trzy lata pracy kosztowało mnie zdobycie dzisiejszej nad nimi władzy. Widzi pan, w tamtym świecie, poza zasięgiem naszych fizycznych zmysłów, istnieją zarówno dobre jak i złe istoty. Staram się zawsze używać tylko dobrych. Niektóre z nich, to dusze ludzi, którzy przeszli przez wrota tego, co świat zwie śmiercią; ale większość mych pomocników rekrutuje się z innej kategorii duchów: są to „dżinny”, czyli zwykli mieszkańcy niewidzialnego świata, którzy nigdy nie żyli w ciele ludzkim. Niektóre dżinny stoją na poziomie zwierząt, inne zdolne są jak człowiek do zastanawiania się. Istnieją również złe „dżinny” – zwiemy je tak w Egipcie, a nie znam odpowiedniego angielskiego terminu – tych używają najniżsi czarownicy, zwłaszcza afrykańscy znachorzy przy leczeniu. Staram się nie mieć z nimi nigdy do czynienia. Są to niebezpieczni pomocnicy, mogą podstępnie zwrócić się przeciw człowiekowi, któremu służą, i poważnie mu zaszkodzić, nawet zabić go.

– A kim są te duchy ludzkie, których pomocy pan używa?

– Mogę panu powiedzieć, że jednym z nich jest mój własny brat, który „umarł” przed paru laty. Ale proszę pamiętać, że nie jestem medium spirytystycznym, gdyż żaden duch nigdy we mnie nie wchodzi ani nie może mną w jakikolwiek sposób rządzić. Brat mój porozumiewa się ze mną rzutując w mój umysł myśli, jakie chce, albo wywołując rodzaj obrazu czy wizji przed moim wewnętrznym wzrokiem. Tym właśnie sposobem wiedziałem, jakie pan wczoraj napisał pytania.

– A „dżinny”?

– Mam ich aż trzydzieści na swoje rozkazy. Nawet po zdobyciu władzy nad nimi muszę je ćwiczyć i uczyć, jak mają spełniać me żądania, podobnie jak uczymy dzieci tańca. Muszę znać imię każdego z nich, inaczej bowiem nie można ich użyć ani przekazać im żadnego rozkazu. Niektóre z tych imion poznałem jeszcze dawniej z ksiąg mego starego nauczyciela.

Mahmud bej przysuwa mi znów papierosy i ciągnie dalej opowiadanie: – Każdemu z nich wyznaczyłem specjalny obowiązek,

każdy ma inne zadania do spełnienia. Tak, np. „dzinn”, który pisał ołówkiem na papierze zamkniętym w pańskiej dłoni, byłby zupełnie bezsilny w dopomożeniu mi do odczytania pańskich pytań.

– A jak pan wchodzi z nimi w kontakt? – pytam jeszcze.

– Mogę przywołać je z łatwością zwracając tylko skupioną myśl ku nim, ale w praktyce najczęściej używam innej metody: p i s z e w myśli po arabsku imię tego, którego potrzebuję; to wystarcza, by znalazł się natychmiast przy mnie.

Egipcjanin przerywa, patrzy na zegarek i wstaje. – A teraz, mój kochany panie, dość! Nic więcej o moich metodach powiedzieć panu nie mogę. Sądzę, że pan teraz rozumie, dlaczego muszę je trzymać w tajemnicy. Może się jeszcze spotkamy, jeśli Allah pozwoli. Do widzenia!

Uśmiecha się na pożegnanie. Rozmowa nasza skończona.



Noc w Bombaju. Kładę się późno, niestety – nie do snu. Ciężkie powietrze przytłacza, zdaje się pozbawione tlenu, a gorąco jest nieznosne. Obracające się śmigła elektrycznego wiatraka zawieszono nisko u stropu przynoszą małą ulgę, zupełnie niedostateczną, by znużone powieki mogły się zamknąć. Znajduję, że sama czynność oddychania jest pracą; powietrze jest tak gorące, że moje nieprzyzwyczajone płuca bolą przy każdym oddechu, a nieszczęsne ciało jest rozpalone i złane potem; co gorsza, mózg nie znajduje spokoju. Szatan bezsenności wchodzi tej nocy w me życie, by nie opuścić mnie aż do dnia mego wyjazdu z Indii. Jest to nieunikniony haracz, którym trzeba okupić przebywanie w tropikalnym kraju, zanim nie dokona się aklimatyzacja.

Siatka chroniąca od moskitów zwisa wokoło mego łóżka jak biały całun. Przez wysokie okno wychodzące na werandę światło księżyca leje się srebrem, a cienie na białym suficie załamują się jakos niesamowicie.

Myślę o porannej rozmowie z Mahmudem bejem, o niezwykłych zjawiskach dnia poprzedniego; szukam jakiegoś innego wytłumaczenia aniżeli to, jakie mi dał, jednak nie mogę znaleźć żadnego. Jeśli tych trzydziestu czy więcej tajemniczych jego pomocników rzeczywiście istnieje, no to wracamy do czasów średniowiecza, kiedy – zakładając, że legendy nie zawsze kłamią – pełno było magów w każdym mieście Europy, choć zarówno Kościół jak państwo nieraz przeszkadzały ich pracy.

Im dłużej szukam jakiegoś wytłumaczenia, tym mniej rozumiem i ogarniać mnie zaczyna niepokój.

Dlaczego kazał mi trzymać papier razem z ołówkiem? Czy jego duchy wyciągają pewne składowe cząstki z ołówka, by móc skreślić odpowiedź?

Szukam w pamięci przykładów podobnych faktów. Czy to nie słynny wenecki podróżnik, Marco Polo, opowiada w swej książce o spotkaniu magów w Chinach, Tybecie i wśród Tatarów, którzy potrafili wywoływać pismo ołówkiem bez żadnego dotknięcia? I czy ci czarownicy nie mówili mu, że ta dziwna sztuka jest wśród nich znana i praktykowana od wieków?

Przypominam sobie również, że Helena Bławatska, zagadkowa Rosjanka – założycielka Towarzystwa Teozoficznego, wywoływała przed pięćdziesięciu laty podobne zjawiska. Jej bliscy przyjaciele – członkowie towarzystwa – otrzymywali tą metodą, za jej pośrednictwem, długie listy. Zadawali filozoficzne pytania, a odpowiedź była rzutowana, jak ona to nazywała, na ten sam papier, gdzie były pytania. Zastanawiającym mi się wydaje, że pani Bławatska знаła dobrze zarówno kraje Tatarów jak Tybet, w którym właśnie Marco Polo zetknął się z podobnymi zjawiskami. Jednak pani Bławatska nigdy nie mówiła, że rządzi jakimiś tajemniczymi duszkami, jak to twierdzi o sobie Mahmud bej. Utrzymywała, że pismo pochodzi od mistrzów tybetańskich, żyjących i realnych, którzy niewidzialnie opiekowali się i kierowali jej towarzystwem. Można sądzić, iż mieli oni zdolniejsze ręce do wykonywania tej pracy aniżeli Egipcjanin, gdyż rzutowali takie pisma na odległość setek mil od Tybetu. Wiele było dyskusji swego czasu i zastanawiań się, czy seanse pani Bławatskiej były autentyczne i wiarygodne, a jej tybetańscy nauczyciele rzeczywiście istnieli. Lecz to nie moja rzecz, zwłaszcza że ta zadziwiająca kobieta dawno już odeszła w ten inny świat, w którym jeszcze za życia zdawała się czuć swobodnie. Wiem, jakie było moje własne doświadczenie, czego niezaprzeczalnym świadkiem byłem, i muszę uznać pełną wiarygodność na własne oczy widzianego zjawiska, choć wytłumaczenia dłań nie znajduję.

Tak, Mahmud bej jest magiem, czarodziejem XX wieku. Spotkanie go od razu po wylądowaniu zdaje się być dobrą przepowiednią, iż czekają mnie jeszcze dziwniejsze odkrycia.

# KOBIETA Z PUNY

Urodzona w Beludżystanie, tym dziwnym kraju rozciągającym się między Indiami a Afganistanem, uciekła z domu bardzo wcześnie; po długich i pełnych przygód pieszych wędrówkach dotarła gdzieś na początku obecnego stulecia do Puny i już się stąd nie ruszyła. Z początku zamieszkała pod rozłożystym drzewem, postanawiając pozostać tam bez względu na porę roku. Wieść o jej świętości i dziwnych, nadnaturalnych władzach rozniosła się szybko wśród mahometańskiej ludności, a wkrótce nawet wyznawcy hinduizmu okazywali jej wielki szacunek. Paru mahometan skleciło dla niej chatkę pod tym samym drzewem, nie zgodziła się bowiem na żadne inne mieszkanie; jest to tylko złudzenie domu – ale w każdym razie chroni trochę przed bezlitosnością pory deszczowej.

Pytam sędziego, jakie ma o niej zdanie. Odpowiada, że nie ma najmniejszych wątpliwości, że Hazrat Babadżan jest prawdziwym fakirem.

Przyjeżdżam do Puny, zostawiam rzeczy w hotelu i idę wprost do Hazrat Babadżan. Przewodnik mój zna ją osobiście, będzie mi służył za tłumacza, gdyż moja słaba znajomość języka hindustani nie wystarczy stanowczo.

Zastajemy ją w wąziutkiej uliczce, oświetlonej małymi lampkami oliwnymi, a z rzadka kulą elektryczną. Leży zupełnie na widoku przechodniów na niskim tapczanie. Od ulicy oddziela ją rzadka krata żelazna werandy, nad drewnianymi ściankami chatki rysuje się kontur drzewa pokrytego w tej chwili białym kwieciami, którego aromat przenika wokół powietrze.

– Musi pan zdjąć obuwie – mówi mój przewodnik – wchodzenie w obuwiu jest oznaką pełnego braku szacunku.

Czynię, jak mi radzi, i za chwilę stoję przy tapczanie. Hazrat Babadżan leży na plecach równiutko z głową opartą o poduszki. Śnieżnobiałe, jedwabiste, ogromne włosy kontrastują z ciemną, pomarszczoną twarzą i pooranym bruzdami czołem.

W paru świeżo wyuczonych słowach przedstawiam się wiekowej, dziwnej niewieście. Zwraca ku mnie głowę; wyciąga chude, kościste ramię i bierze mą rękę w swoją; trzymając ją w mocnym



uścisku patrzy wprost na mnie jakby z zaświatów. Wzrok jej przenika mnie dreszczem. Oczu takich nigdy nie widziałem. Są jakby puste i nie rozumiejące, a jednak czuję, jak przenikają na wskroś całą istotę. Wciąż trzyma mą rękę – przez dwie, trzy, cztery minuty, wciąż uporczywie patrzy mi w oczy. Dziwnie mi... nie wiem, co ze sobą zrobić... Wreszcie cofa rękę, przeciera parę razy czoło, po czym zwraca się do przewodnika i mówi mu parę słów, a ten powtarza mi szeptem:

– Był on przywołany do Indii i wkrótce zrozumie...

Po chwili drugie zdanie – ale to nadaje się dla mej pamięci jedynie, nie do druku.

Głos jej jest bardzo słaby, słowa padają z ust powoli i z trudem. Czy możliwe, by w tym starczym, zwiędłym ciele ludzkim, w tej wątej, chwiejnej, prawie już nieludzkiej postaci, przebywała dusza prawdziwego fakira o cudownych mocach? Któż odgadnie? Nie łatwo odczytywać karty duszy posługując się literami kształtu cielesnego.

Wszak ta kobieta ma prawie sto lat. Uprzedzano mnie, iż nie należy mówić z nią dłużej, gdyż osłabienie jej jest wielkie. Toteż zabieram się do wyjścia. Narzuca mi się uparcie myśl, czy taki dziwny, jakoby pusty, zaświatowy wzrok nie jest oznaką zbliżania się śmierci? Dusza odlatuje, oddalając się powoli od zniszczonego ciała, a wraca tylko chwilami, gdy coś szczególnego przywoła jej uwagę. Wówczas patrzy tymi dziwnymi, jakby niewidzącymi oczyma.<sup>1</sup>

W hotelu staram się podsumować moje uczucia. Że jakieś głębokie wewnętrzne osiągnięcia tają się w tej istocie – nie wątpię ani na chwilę, cześć dla niej powstaje we mnie samorzutnie. Czuje, iż krótki z nią kontakt zmienił zwykły bieg moich myśli, że zrodziło się we mnie dziwne i nie wytłumaczone poczucie tajemnicy, otaczającej życie człowieka bez względu na jakiegokolwiek naukowe odkrycia i spekulacje. Widzę nagle z nieoczekiwaną jasnością, że ci uczeni pisarze, którzy twierdzą, iż odsłaniają podstawowe tajemnice wielkiej zagadki życia, dotykają zaledwie jej powierzchni. Ale nie mogę pojąć, dlaczego jedna chwila przy tej szczególnej kobiecie zachwiała tak zasadniczo i do samych podstaw wszystkie domniemanie i pewności mego umysłu? Przypominam sobie jej zagadkowe

---

1 Po paru miesiącach odwiedziłem ją znowu i wrażenie moje, iż koniec jej jest bliski, wzmoгло się jeszcze bardziej. Rzeczywiście umarła wkrótce.

słowa. Nie rozumiem ich znaczenia. Czyż nie przyjechałem do Indii z mej własnej woli? Nikt mnie wszak tu nie wołał...

Dopiero dziś, gdy piszę te słowa po upływie wielu, wielu miesięcy, wierzę, iż zaczynam je niejasno rozumieć.

– Jaki dziwny jest świat!

# ANACHORETA ZNAD RZEKI ADJARU

Wskazówki mego zegara posuwają się chyżo, kartki kalendarza zmieniają się szybko, tygodnie biegną, a ja powoli przez Dekan zbliżam się ku południowi. Zwiedzam parę zadziwiających miejscowości, lecz mało zadziwiających ludzi spotykam. Jakaś przemożna, niepojęta siła, której nie rozumiem, lecz której ślepo ulegam, gna mnie na przód, tak iż czasem pędzę z miejsca na miejsce, jakbym był zawodowym turystą.

Wreszcie znajduję się w pociągu wiozącym mnie do Madrasu, gdzie chcę zatrzymać się i urządzić na dłużej. Podczas długiej nocy, gdy nie ma mowy o spaniu, robię przegląd tego, co zyskałem w moich wędrówkach po Indiach zachodnich.

Muszę przyznać, że nie wpadłem dotąd na ślad żadnego jogina, z którego odkrycia mógłbym naprawdę być dumny; a co do odnalezienia risziego, to marzenie to jest w tej chwili głęboko ukryte w mej duszy. Z drugiej strony widziałem tyle przesądów i zasiedziały zwyczajów hinduskich, że przyznaje, iż sceptycyzm i przestrogi, jakie mi dawali przygodni znajomi w Bombaju, były całkiem usprawiedliwione. Zdaje sobie również sprawę, że dobrowolnie podjęte zadanie nie będzie łatwe. Ludzi nabożnych widzę wciąż setki we wszystkich pięćdziesięciu siedmiu odmianach, lecz nie przedstawiają oni nic ciekawego. Przechodzi się koło świątyń pociągających tajemniczością swych wnętrz; staje się na progu z nadzieją; wchodzi się dalej i widzi dziwacznie modlących się ludzi, uderzających w dzwoneczki, by zwrócić uwagę swego bóstwa na zanoszone modły.

Rad jestem z przyjazdu do Madrasu; podoba mi się jego barwność i ruchliwość. Znajduję mieszkanko na przemyłym przedmieściu, około dwóch mil od centrum – aby mieć łatwiejszy kontakt z Hindusami; o Europejczyków na razie mi nie chodzi. Jestem tu wśród samych braminów. Uliczkę pokrywa gruba warstwa piachu, w którym grzęzną lekko nogi, chodnik jest z ubitej gliny, nigdzie nie znać cywilizacyjnego pokostu XX wieku. Białe domki mają lekkie kolumnienki i arkady oraz werandy; w moim jest dziedziniec wew-

nętrzny o zakrytej wokoło galeryjce. Wodę dobywa się wiadrem ze starej studni.

Przepych tropikalnej przyrody rozpacza się swobodnie zaraz po wyjściu z paru uliczek tworzących przedmieście; raduję się nim nieustannie. Odkrywam w końcu, iż rzeczka Adiar jest bliźiutko, o kilkanaście minut ode mnie; że nad brzegiem jej jest parę gajów palmowych, które stają się ulubionym celem mych przechadzek. Lubię siadywać w ich cieniu lub iść parę mil wzdłuż cichych wód rzeczki, która płynie wzdłuż południowych granic Madrasu, by wpaść szeroką smugą do Zatoki Koromandelskiej, wciąż niespokojnie wzdymanej wiatrami.

Pewnego ranka idę brzegiem tej przemiłej rzeczki w towarzystwie znajomego bramina, który z ciekawością słucha o mych zainteresowaniach. W pewnej chwili chwytą mnie za ramię.

– Niech pan patrzy! Widzi pan tego młodego człowieka, co się zbliża do nas? Jest on znany jako uczeń jogi. Zainteresowałby pana z pewnością – niestety, nigdy z nami nie rozmawia.

– Dlaczego? – pytam zaciekawiony.

– Wiem tylko, gdzie mieszka, ale jest najbardziej samotnym i milczącym człowiekiem w okolicy.

W tej chwili niemal zrównał się z nami. Jest silnej, prawie atletycznej budowy. Dałbym mu nie więcej jak trzydzieści pięć lat; wzrostu nieco wyższego ponad przeciętny. Uderza mnie bardzo ciemna barwa skóry, przypominająca niemal Murzyna, a także szeroki nos, grube usta i silna muskulatura – nie może być Aryjczykiem. Jego długie, gładko szesane włosy są związane na czubku głowy w rodzaj węzła; ma duży kolczyk w uchu, a na sobie biały szal, otaczający całe ciało i przerzucony przez lewe ramię; nogi wysoko odkryte, stopy bose.

Nie widzi nas wcale; idzie ze spuszczoną głową, jakby obserwował ziemię, pogrążony w myślach. Gdy od czasu do czasu podnosi oczy, ma się wrażenie głębokiego skupienia. Ciekaw też jestem, nad czym może tak rozmyślać?

Przykuwa mą uwagę i wzbudza coraz silniejsze zainteresowanie; żywa chęć przełamania dzielących nas przegród ogarnia mnie nagle z narzucającą się siłą.

– Wróćmy, chcę z nim pomówić – zwracam się do mego towarzysza.

Lecz bramin energicznie protestuje.

– Nie, to bezcelowe.

– Przecież mogę spróbować – nalegam.

Lecz towarzysz mój nie daje się przekonać.

– Jest to człowiek tak niedostępny, że nic o nim nie wiemy; trzymam się od wszystkich z daleka; nie, nie trzeba mu przeszkadzać.

Ale ja, nie bacząc na jego przestrogi, już idę w kierunku tego dziwnego jogina, a bramin, nie mogąc mnie pozostawić samemu sobie, musi zbliżyć się również. Jesteśmy za chwilę tuż przy nim, ale nie zdaje się zauważać naszej obecności, pogrążony w swej głębokiej zadumie.

Gdy kroki nasze się zrównały, proszę mego towarzysza, by powiedział, iż pragnę z nim mówić: to samo wahanie, wreszcie potrząsa przecząco głową.

– Nie, nie mogę, nie śmiem!

Czuje, że jeśli nie zdobędę się na wysiłek i jakiś zdecydowany krok, może mnie minąć nieoceniona sposobność; nie widzę innej rady, jak zbliżyć się samemu. Odrzucam wszelkie zwyczaje i konwenanse tak europejskie jak i hinduskie, zachodzę mu drogę i stoję naprzeciw. Usiłuję kilku świeżo wyuczonymi, niezdarnymi słowami w języku hindi wyrazić, o co mi chodzi. Jogin podnosi oczy, patrzy na mnie uważnie, półuśmiech poczyna mu igrać wokół ust, lecz czyni gest przeczący.

Umiałem wówczas tylko jedno słowo w języku tamilskim, używanym w Madrasie, a jogin zapewne nie znał ani jednego angielskiego; nie wiedziałem jeszcze, że na południu mało kto zna hindi. Na szczęście bramin, widząc, w jak trudnej jestem sytuacji, decyduje się przyjść mi z pomocą.

Głosem niepewnym, z akcentem prośby o przebaczenie coś mówi po tamilsku.

Nie otrzymuje odpowiedzi; twarz joga przybiera twardy wyraz, a oczy patrzą zimno, prawie niechętnie.

Biedny bramin jest zupełnie stropiony. Następuje długa chwila milczenia; jesteśmy obaj przykro zakłopotani. Zdaję sobie w tej chwili sprawę, jak trudno jest skłonić pustelników do kontaktu z ludźmi i rozmowy; niemal żałuję swego kroku. Widać, jak nie lubią zwracania się do nich, tym bardziej mówienia o jakichkolwiek doświadczeniach wewnętrznych; zwłaszcza jak niemiłe im jest przerywanie ich zwykłego, stałego milczenia dla jakiegoś białego człowieka w tropikalnym kasku. Wszak nikt z białych nie ma zainteresowania i nie może mieć zrozumienia dla subtelności i głębi wiedzy jogi. Gdy tak rozmyślam, nowe uczucie narzuca mi się przemożnie. Oto czuję, że jogin mnie bada, że przenika mnie na wylot; czuję niemal wyraźnie, iż przegląda wszystkie moje myśli aż

do najtajniejszych, wydaje mi się, że jestem w tej chwili jak przedmiot pod silnie powiększającym szkłem mikroskopu. A jednak zewnętrznie jest tak samo nieruchomy i spokojny. Czyżbym się mylił? Nie, uczucie to jest zbyt wyraźne, i nie mogę się od niego uwolnić.

Bramin denerwuje się i daje mi znaki, że czas najwyższy odejść. Jeszcze chwila, a ulegnę jego milczącym namowom i oddalę się nic nie wskórawszy, odejdę zwyciężony. Nagle jogin czyni nieoczekiwany ruch ręką, wskazuje nam wysoką palmę w pobliżu, idzie ku niej, daje znak byśmy usiedli, a po chwili wciąż w milczeniu sam opuszcza się na ziemię. Mówi coś do bramina po tamilsku. Zauważam, iż głos jego posiada dziwny dźwięk i jeszcze jakąś właściwość, której nie umiem określić, a która mu nadaje niemal muzyczny rezonans.

– Pustelnik mówi, iż jest gotów z panem mówić – tłumaczy mój towarzysz i dodaje od siebie, że wędrował on w ciągu paru lat po nieznanym nadrzecznych okolicach.

Przede wszystkim pytam o imię, ale słyszę tak długi szereg sylab, iż muszę go dla siebie nazwać inaczej. Pierwsze jego imię brzmi: „Brahmasugananda”, posiada on jeszcze cztery inne równie długie lub dłuższe, nie ma więc innej rady, jak zwać go krótko Brahmą. Jeśli miałbym tu podać wszystkie imiona, wypełniłoby to pewnie całą stronę, tyle liter każde z nich posiada.

– Proszę mu powiedzieć, że bardzo interesuje mnie joga i chciałbym się czegoś o niej dowiedzieć – mówię memu towarzyszo-  
wi.

Brahma potakuje ruchem głowy usłyszawszy me słowa przetłumaczone.

– Tak, widzę to wyraźnie – mówi z uśmiechem – niech sahib zadaje pytania.

– Jaki system jogi praktykujecie?

– Systemem moim jest hatha joga, czyli joga opanowania i rządzenia ciałem. Jest ona najtrudniejsza ze wszystkich. Ciało fizyczne i oddech muszą być trenowane, nieraz się z nimi walczy jak z upartymi mułami, póki nie zdobędzie się zupełnej nad nimi władzy. Potem już łatwo przychodzi opanować nerwy i myśl.

– A jaka z tego korzyść?

Brahma patrzy znów w zadumie na rzekę.

– Doskonałe zdrowie fizyczne, długie życie i silna wola, to tylko parę zdobyczy, jakie daje hatha joga. Jogin, który staje się mistrzem w tym systemie, zdobywa jeszcze żelazny hart i wytrzymałość, ból

prawie go nie dotyka. Znam jednego, który przeszedł ciężką operację bez żadnego nasennego środka zupełnie spokojnie, bez oznak cierpienia. Nie doznaje się również uczucia zimna, można być nagim na mrozie, a jednak nie marznąć.

Dobrym notatnik, gdyż widzę, iż rozmowa ta może mi dać więcej ciekawego materiału, niż mogłem się spodziewać. Brahma uśmiech się znów, ale nie protestuje.

– Pragnąłbym wiedzieć coś więcej o tym systemie jogi – proszę.

– Mój mistrz żył przez długi czas w Himalajach, wśród śniegu, a nie nosił nic więcej poza cienką, pomarańczową szatą. Mógł siedzieć nieraz po parę godzin nieporuszony w miejscu, gdzie woda zamarzała momentalnie, a jednak nie odczuwał zimna. Taka jest moc naszej jogi.

– Jesteście jego uczniem?

– Tak. Wiele mi jeszcze szczytów zostaje do zdobycia, wspinanie się jest trudne. Poświęciłem już dwanaście lat nieustannych wysiłków codziennym ćwiczeniom naszej jogi.

– I rozwinęliście już w sobie jakieś niezwykłe moce?

Brahma potakuje lekkim ruchem głowy, lecz milczy.

Intryguje mnie i pociąga coraz bardziej ten dziwny człowiek.

– A czy mógłbym się dowiedzieć, jak zostaliście joginem? – pytam prawie nieśmiało.

Na razie nie ma odpowiedzi. Siedzimy dalej w milczeniu pod szerokolistną palmą. Dolatują krzyki dzikiego ptactwa z drugiego brzegu rzeki łącząc się z hałaśliwą rozmową grupy małych, igrających w koronach palm. Cicho pluszcze woda przy brzegu rzeczki.

– Najchętniej – brzmi nagła odpowiedź Brahmy.

Sądzę, iż zrozumiał, że pytania moje są podyktowane czymś więcej niż zwykłą ciekawością. Chowa ręce pod swój szal, wpatruje się w drugi brzeg i zaczyna mówić:

Byłem dzieckiem spokojnym i samotnym, nie znajdowałem żadnej przyjemności w zwykłych dziecinnych rozrywkach; nie lubiłem bawić się z innymi dziećmi, natomiast wałęsanie się po polach i ogrodach było mi najmielsze. Mało kto rozumie zamýślonego i milczącego chłopca, toteż nie mogę powiedzieć, abym był wówczas szczęśliwy. Miałem ze dwanaście lat, gdy zdarzyło mi się usłyszeć przypadkiem rozmowę starszych, z której po raz pierwszy dowiedziałem się o istnieniu jogi. Zbudziła się we mnie chęć, aby dowiedzieć się o niej więcej. Pytałem różnych ludzi i zdobyłem od nich nieco książek w języku tamilskim, z których dowiedziałem się o joginach wielu ciekawych rzeczy. Jak po długiej podróży wśród

pustyni koń spragniony jest wody, tak umysł mój pragnął wiedzieć o nich coraz więcej. Lecz doszedłem do punktu, gdy zdawało się niemożliwe zdobycie dalszych wiadomości. Pewnego dnia przerzucając na nowo którąś z mych książek zatrzymałem się na zdaniu: „Nie można uczynić prawdziwych postępów na drodze jogi bez kierownictwa nauczyciela”. Słowa te uderzyły mnie głęboko. Poczulem nagle, że nie znajdę nauczyciela, jeśli nie opuszczę domu i nie powędruję w świat. Ale rodzice nigdy nie daliby mi na to zezwolenia. Nie wiedząc więc, co dalej czynić, rozpocząłem w tajemnicy ćwiczenia oddechowe, o których strzępki informacji nachwytałem z książek. Nie pomogło mi to, a raczej poważnie zaszkodziło. Nie wiedziałem wówczas, że bez kierunku doświadczonego nauczyciela nie jest bezpiecznie próbować tych ćwiczeń; moja żarliwa niecierpliwność była tak wielka, iż nie mogłem czekać, aż spotkam kierownika. Po paru latach tych ćwiczeń przyszedł smutny rezultat – na szczycie głowy pojawiła się mała ranka, zdawało się, że czaszka w najdelikatniejszym miejscu, na ciemieniu, została nadwyręzona. Ranka krwawiła, a całe me ciało stało się zimne i zdrętwiałe, jakby uchodziło zeń życie. Zdawało mi się, iż umieram. Po paru godzinach takiego stanu miałem dziwną wizję: ujrzałem wewnętrznym wzrokiem czcigodnego starca, jogina, który mi rzekł: „Widzisz teraz, do jak niebezpiecznego stanu doprowadziłeś siebie przez te niedozwolone praktyki. Niechże ci to będzie surową przestroga”. Widzenie znikło, ale od tej chwili mój stan polepszył się i po pewnym czasie wróciłem do zdrowia. Blizna pozostała do dziś.

Brahma pochyla głowę, byśmy mogli sprawdzić. Nieduża wyraźna blizna jest wyraźnie widoczna.

– Po tym gorzkim doświadczeniu zaniechałem wszelkich ćwiczeń oddechowych i czekałem lat parę, aż więzy rodzinne nieco się rozluźniły dając mi więcej swobody. Pochwyciłem pierwszą sposobność, by opuścić dom i powędrować w poszukiwaniu nauczyciela. Wiedziałem, że najlepszą metodą, by wypróbować nauczyciela, jest pomieszkać z nim przez parę miesięcy. Znalazłem paru i podzieliłem czas między nich, lecz wkrótce, zawiedziony, wróciłem do domu. Jedni stali na czele wielkich klasztorów, inni byli kierownikami uczelni wiedzy duchowej, lecz żaden mnie nie zadowolił. Dawali mi dużo z filozofii, lecz bardzo mało z własnego doświadczenia. Większość powtarzała tylko to, czego się nauczyła z ksiąg, ale mało mogła dać praktycznych wskazówek. Nie łaknąłem teorii książkowych, pragnąłem doświadczeń praktycznych jogi. Szukając tak odwiedziłem aż dziesięciu nauczycieli, lecz żaden z nich nie zdawał się



prawdziwym mistrzem jogi. Nie rozpaczałem jednak. Moja młodość żarliwość paliła się coraz żywszym płomieniem, a niepowodzenia wzmagaly tylko mą wolę osiągnięcia celu, pomimo wszelkich trudności.

– Zbliżałem się już do wieku męskiego i mogłem decydować o sobie, postanowiłem więc na zawsze opuścić dom rodzicielski, wyrzec się świeckiego życia i poświęcić się szukaniu prawdziwego nauczyciela – choćby do śmierci. I tak, ruszając w jedenastą mą wędrowkę, pożegnałem rodzinny dom. Zaszedłem po pewnym czasie do dużej wsi niedaleko Tenażor (Tanjore); po porannej kąpieli w rzece szedłem wzdłuż jej brzegów, aż ujrzałem malutką świątynię z czerwonego kamienia; z ciekawością zajrzałem do wnętrza i ujrzałem ze zdziwieniem szereg ludzi siedzących wokół jakiegoś człowieka prawie zupełnie nagiego, miał bowiem na sobie tylko wąską przepaskę. Wszyscy obecni patrzyli nań z wyrazem największej czci. Przyglądałem się jego twarzy – było w niej coś dostojnego, pełnego powagi i jakiejś dziwnej tajemniczości. Wciąż stałem u wejścia jak przykuty i zaczarowany. Zrozumiałem po chwili, że jest to specjalne zebranie, na którym starzec daje jakieś wskazówki zgromadzonym, i odczuwałem żywo, że ten człowiek jest joginem prawdziwym, mistrzem pierwszorzędnym, a nie tylko czytany, pełnym wiedzy książkowej specjalistą od duchowości. Nie mógłbym wytłumaczyć, dlaczego to odczułem.

W pewnej chwili nauczyciel zwrócił się w mą stronę i oczy nasze spotkały się. Uśluhałem wówczas wewnętrznego rozkazu i wszedłem do wnętrza. Pozdrowił mnie przyjaźnie, wskazał miejsce i rzekł:

– Sześć miesięcy temu polecono mi wziąć cię na ucznia. A teraz przyszedłeś.

Przypomniałem sobie w tej chwili z radością, że dokładnie sześć miesięcy upłynęło, odkąd po raz jedenasty opuściłem dom.

Tak oto znalazłem mego mistrza. Odtąd towarzyszyłem mu wszędzie. Czasem zachodził do miast, to znów wędrował w ustronia leśne i samotne dżungle. Przy jego pomocy czyniłem szybkie postępy w jodze, i nareszcie znalazłem zadowolenie i szczęście. Nauczyciel mój był joginem o głębokim doświadczeniu, szedł drogą hatha jogi, czyli drogą opanowania ciała fizycznego. Istnieje kilka systemów jogi, bardzo różnych w swych metodach i ćwiczeniach, a ten, którego ja się nauczyłem, jest jedynym zaczynającym się od ciała fizycznego, a nie od umysłu. Uczył mnie również opanowania oddechu. Raz musiałem przez czterdzieści dni pościć, by się przygotować do otrzymania jednej z wielkich potęg jogi.

Może pan sobie wyobrazić, jak byłem zdziwiony, gdy pewnego dnia nauczyciel mój zawołał mnie i rzekł:

– Całkowite odejście od świata jest jeszcze nie dla ciebie. Wróc do rodziny i prowadź normalne życie. Ożenisz się i będziesz miał dziecko. W trzydziestym dziewiątym roku życia pewne nauki będą ci udzielone i wkrótce staniesz się wolny; wtedy będziesz mógł znów odejść od zwykłego życia. Pójdiesz wówczas w lasy i zagłębisz się w samotnej medytacji, aż osiągniesz cel, do którego dąży każdy jogin. Będę czekał na ciebie – wówczas do mnie powrócisz.

Ustuchałem jego rozkazu i powróciłem do mej wioski. Wkrótce ożeniłem się z wierną i oddaną kobietą, która, jak mi był mistrz przepowiedział, urodziła mi dziecko, lecz sama niedługo umarła. Rodzice moi już nie żyli, więc opuściłem swą wioskę i przeniósłem się tutaj, do domu sędziwej wdowy, która mnie zna od dziecka, bo pochodzi z tej samej miejscowości. Prowadzi mi ona gospodarstwo; lata nauczyły ją dyskrecji i milczenia, więc pozostawia mi zupełną swobodę życia tak jak chce, w takim oddaleniu od ludzi i gwaru, jak tego wymagają przepisy naszej szkoły.

Brahma milknie, a ja pozostaję pod tak silnym wrażeniem jego opowieści, że mój umysł i język wiecznie zadający pytania są też uciszone na chwilę. Dwie, trzy minuty zupełnego milczenia, po czym Brahma wstaje i powoli kieruje się ku domowi. Idziemy za nim. Droga prowadzi przez gaje palmowe i śliczne krzaki kazuaryny, rzeka połyskuje w słońcu. Idziemy tak prawie godzinę wzdłuż jej brzegu, aż dochodzimy do zamieszkałych uliczek. Rybacy, według pradawnego zwyczaju, łowią ryby nie z łodzi i nie z brzegu, lecz wchodząc głęboko, aż po pierś w wodę, gdzie stoją godzinami trzymając sieci swe lub koszyki.

Różnobarwne ptaki, raz po raz muskające wodę, dodają malowniczości całemu krajobrazowi. Lekki wietrzyk od morza przynosi jakieś aromatyczne zapachy i chłodzi nam twarze. Dochodzimy do drogi, gdzie muszę z żalem opuścić brzeg rzeki. Stado kwiczących prosiąt, gnanych przez starą kobietę z niskiej kasty, uzbrojoną w kij bambusowy, zachodzi nam drogę.

Brahma odwraca się, by nas pożegnać. Wyrażam nadzieję, że wolno mi będzie wkrótce znów go zobaczyć. Godzi się. Odważam się wówczas spytać, czy nie mógłbym dostąpić zaszczytu powitania go u siebie. Ku najwyższemu zdumieniu bramina zgadza się chętnie i obiecuje przyjść tegoż wieczoru.

Wraz z zapadnięciem zmierzchu oczekuję z niecierpliwością Brahmy. Tyle pytań ciśnie mi się do głowy. Jego krótki życiorys zajął mnie i zaintrygował, a dziwny jego charakter pociąga mnie i zdumiewa. Gdy służący oznajmia jego przybycie, schodzę pośpiesznie ze stopni werandy i witam go składając ręce dłońmi ku sobie. Nauczyłem się bardzo prędko tego znaku pozdrowienia powszechnie używanego w Indiach. Symbolizm jego może zda się dziwny moim zachodnim czytelnikom, oznacza on bowiem: „Moja dusza i twoja są jednym”. Hindusi bardzo lubią, gdy Europejczyk czyni ten znak, co zdradza rzadkość tego faktu, choć jest on ogólnie przyjęty w Indiach zamiast podawania ręki. Co do mnie chciałbym, aby rozumiano, iż przychodzę z życzliwością i dobrymi zamiarami, toteż staram się szanować i stosować się do hinduskich zwyczajów i tradycji wszędzie, gdzie o nich coś wiem. Nie znaczy to, że „zmieniam się w tubylca” – nie leży to bynajmniej w moim zamiarze; znaczy tylko, iż pragnę tak traktować innych, jak chciałbym, aby mnie traktowano.

Brahma idzie za mną do dużego pokoju i natychmiast opuszcza się na ziemię w swojej „pozycji jogi”.

– Czy nie chcecie usiąść na tapczanie? – pytam przez tłumacza – ma dużo poduszek i jest bardzo wygodny.

Woli jednak twardą podłogę. A podłogi w Indiach są przeważnie kamienne, nie drewniane.

Wyrażam mu wdzięczność za jego przybycie i proponuję kolację, którą przyjmuje i spożywa w milczeniu. Czuję, iż teraz na mnie kolej powiedzieć mu coś o sobie, wyjaśnić, dlaczego zacząłem go tak obcesowo. Opowiadam mu więc, co mnie skłoniło do przyjazdu do Indii.

Przy końcu mego opowiadania Brahma zrzuca swą maskę rezerwy, za którą krył się dotychczas, i kładzie mi serdecznie rękę na ramieniu.

– Jakże miło jest słyszeć, że tacy ludzie na Zachodzie istnieją. Nie przyjechał pan na darmo, na pewno nauczył się pan wiele. Szczęśliwy to dzień dla mnie, gdy los przywiódł nasze kroki w to samo miejsce i pozwolił się nam spotkać. Niech pan pyta o wszystko, co pana interesuje, a odpowiem chętnie, o ile tylko pozwolą mi na to me zobowiązania.

Co za szczęście! Pytam go, jaki jest rodzaj jego systemu jogi, jakie są jej cele i historia.

– Któż śmiałyby określić, jak dawno istnieje system hatha jogi, który studiuje? Nasze tajemne księgi twierdzą, że został on objawiony przez samego Śiwę mędrcomu Gheranda, ten przekazał go drugiemu imieniem Marteyanda, od niego nauczyli się inni i tak przekazywany był wciąż od jednego do drugiego przez lat tysiące, ale ile tysięcy lat minęło, odkąd się na ziemi pojawił, nie wiemy, i o to nie dbamy, choć sądzimy, że był to ostatni z systemów jogi stworzonych w starożytności. Ludzkość nawet w owych czasach pradawnych przeżywała okres upadku, tak iż bogowie musieli jej wskazywać drogę do duchowości, wiedzącą przez czysto fizyczne ćwiczenia. Joga opanowania ciała jest mało rozumiana przez ludzi z wyjątkiem tych, którzy się jej poważnie i całkowicie oddają; reszta ma o tej starożytnej nauce jak najfałszywsze pojęcie. A że prawdziwi jej adepci są dziś niestety bardzo nieliczni – najniedorzeczniejsze i spacone praktyki uchodzą wśród tłumów za nasz system i nikt temu nie zaprzecza. Może pan zobaczyć w Benaresie człowieka, który cały dzień siedzi, a nocą sypia na tapczanie pełnym ostrych kolców, gdzie indziej drugiego, który trzyma ramię wzniesione w powietrzu tak długo, aż ręka zaczyna wiotczeć i usychać od tego nieruchomego stanu, a paznokcie dochodzą do niebywałej długości. I może pan usłyszy objaśnienie, że to są właśnie ćwiczenia hatha jogi; tak nie jest. Ludzie tacy tylko wstyd nam przynoszą. Torturowanie ciała ku zachwytowi tłumów nie jest naszym celem; ci bezsensowni asceci to nieucy, którzy pochwytili od jakichś niepowołanych informatorów parę wskazówek co do specjalnych ćwiczeń ciała. Ale, nie znając naszych celów, paczą te ćwiczenia i nienaturalnie je przedłużają, a tłumy czczą tych wariatów i obdarzają pożywieniem i pieniędzmi. Bezsens!

– Ale czyż można ich potępiać? Gdy prawdziwi adepci jogi trzymają się tak daleko od ludzi, a nauki swe otaczają tajemnicą, spaczenia i niezrozumienia są niemal koniecznością – wtrącam.

Brahma wzrusza ramionami, a wyraz prawie wzdargy maluje się przez chwilę na jego twarzy.

– Czyż radża będzie trzymał swe klejnoty w pośrodku publicznego gościńca ku uciesze tłumów? – pyta. – Nie. Przechowuje je w skarbcu, schowane nieraz głęboko w podziemiach lub skrytkach swego pałacu. Nauka nasza to jeden z największych skarbów, jakie człowiek mieć może; czy miałby ją na rynku wystawiać na pokaz dla wszystkich? Każdy kto istotnie pragnie posiadać te skarby, musi sam szukać; to jedyna droga i droga słuszna. Nasze święte księgi otacza tajemnica, a mistrzowie naszej nauki powierzają ważne jej

części ustnie tylko tym uczniom, których wierność przynajmniej w ciągu kilku lat wypróbowali. Nasza joga jest ze wszystkich najtajniejszą, bowiem pełna jest niebezpieczeństw, grożących nie tylko uczniowi, ale i ludziom, którzy go otaczają. Czy myśli pan, że mi wolno odkryć panu więcej ponad najelementarniejsze jej twierdzenia? i to nie inaczej, jak z pełnym zaufaniem do dyskrecji pana?

– Ale istnieje gałąź naszej nauki, o której mogę mówić swobodnie. To ta, która uczy wzmocnienia woli i zdrowia początkujących, gdyż dopiero po przejściu dłuższego przygotowania mogą oni rozpocząć trudne i niebezpieczne ćwiczenia jogi prawdziwej.

– O, to by niezmiernie zajęło Zachód.

– Mamy szereg ćwiczeń wzmocniających różne części ciała i organy, usuwających i zapobiegających różnym chorobom. Niektóre z nich polegają na specjalnych pozycjach ciała, przy których następuje nacisk na pewne ośrodki nerwowe, a one ze swej strony wywierają wpływ na pewne organy pracujące niedostatecznie i pomagają do ich ożywienia.

– A czy używacie lekarstw?

– Używamy, gdy zachodzi tego potrzeba, pewnych ziół zbieranych przy księżycu przybierającym. Posiadamy cztery rodzaje ćwiczeń lub metod służących do dokonania tej pierwszej pracy, czyli zrównowżenia zdrowia fizycznego organizmu. Przede wszystkim uczymy się sztuki wypoczywania, która koi i rozpręża nerwy; rozporządza ona czterema ćwiczeniami. Następnie musimy nauczyć się „wyciągać się” – są to ćwiczenia zapożyczone od zdrowych, przeciągających się zwierząt. Dalej mamy wiele metod dokładnego oczyszczania ciała; mogą się one wydać panu dziwne, niemniej są doskonałe w swych skutkach. A wreszcie badamy sztukę oddechu i zdobywamy umiejętność rządzenia nim i kierowania.

Wyrażam chęć ujrzenia kilku takich ćwiczeń.

– Chętnie pokażę je panu, nie ma w nich nic tajemniczego – mówi Brahma śmiejąc się. Zacznijmy od sztuki wypoczywania. Możemy dużo się nauczyć od kota. Nauczyciel przynosi zazwyczaj kota i kładzie go wśród uczniów wskazując, jak pełna wdzięku jest każda poza zwierzęcia, gdy wypoczywa. Każe je obserwować uważnie, gdy układa się do snu, to znów, gdy czatuje na mysz; podkreśla, iż kot jest najdoskonalszym przykładem umiejętności wypoczynku i jak największej ekonomii energii. Zwykle wyobrażamy sobie, że umiemy wypoczywać, ale tak nie jest. Siedzi pan np. na tym krześle przez chwilę, potem kręci się pan, wyciąga nogi i zmienia pozycję, zwraca

na bok itd. Choć nie wstaje pan z krzesła i można by sądzić, że siedzi pan spokojnie i wygodnie, jedna myśl po drugiej przebiega przez mózg pana wciąż ruchliwy. Czy można to nazwać wypoczynkiem? Czyż nie jest to również pewnym rodzajem aktywności?

– Nigdy mi to nie przyszło na myśl.

– Zwierzęta umieją świetnie wypoczywać, ale bardzo niewielu ludzi posiada tę umiejętność; a to dla tego, iż zwierzęciem rządzi instynkt – ten prawdziwy głos przyrody, zaś człowiekiem kieruje jego myśl, a że przeważnie nie umie on nią rządzić, ani kontrolować swego mózgu, więc zarówno nerwy jak i całe ciało stają się niewolnikami tego wpływu, a wtedy, zaiste, mało mogą odpocząć.

– Cóż więc mamy czynić?

– Przede wszystkim nauczyć się wschodniego sposobu siedzenia. Krzesła mogą być użyteczne w mieszkaniach waszych północnych krajów, ale trzeba się od nich odzwyczaić podczas przygotowywania się do jogi. Nasz sposób siedzenia daje największą dozę wypoczynku po pracy lub ruchu, daje całemu ciału spokój. Najłatwiej panu będzie nauczyć się go kładąc mały dywanik lub matę przy ścianie, aby móc oprzeć się siadając najwygodniej, jak tylko się da. Może pan zresztą rozesłać dywanik i w środku pokoju, a tapczanu lub krzesła użyć za oparcie. A teraz niech pan zegnije kolana i skrzyżuje nogi ku środkowi; trzeba, aby nie było żadnego naprężenia mięśni. A więc pierwszym ćwiczeniem będzie siedzieć tak zupełnie spokojnie i bez ruchu, poza cichym rytmicznym oddechem. Teraz musi pan sobie przyrzec, iż siedząc w tej pozie, nie będzie pan myślał o żadnych trudnościach i światowych zajęciach; niech myśl zatrzyma się na czymś pięknym – obrazie, kwiecie itp. – i cicho odpoczywa.

Wstaję z mego wygodnego krzesła i siadam na podłodze naprzeciw Brahmy w pozie, którą przed chwilą opisał. Jest ona podobna do pozy średniowiecznych krawców siedzących nad robotą.

– Doskonale, robi to pan z łatwością – mówi Brahma. – Większość Europejczyków nie uważa tej pozy za wygodną tylko dlatego, że do niej nie przywykła. Robi pan jeden błąd, mianowicie garbi się pan, kręgosłup musi być zupełnie prosty, nie pochylony. Teraz pokaże panu drugie nasze ćwiczenie.

Brahma podnosi kolana ku twarzy, nogi pozostają skrzyżowane, lecz teraz oddalają się nieco od ciała, po czym splata ręce wokół kolan.

– Ta poza daje duży wypoczynek, jeśli się dłuższy czas stało. Główny ciężar musi opierać się o siedzenie. Może pan popróbuje tego

ćwiczenia, gdy pan będzie bardzo zmęczony; przynosi ono ulgę i uspokojenie ważnych ośrodków nerwowych.

W każdym razie jest ono niezmiernie proste – zauważyłem. – Tak. By nauczyć się sztuki wypoczywania, nie mamy wcale potrzeby uciekać się do złożonych ćwiczeń; najłatwiejsze daje najlepsze rezultaty. Następne: niech pan położy się na wznak równo na podłodze, stopa przy stopie lekko zwrócone na zewnątrz, ręce wyciągnięte wzdłuż ciała, oczy zamknięte. Każdy mięsień musi się rozprężyć swobodnie i cały ciężar ciała trzeba „powierzyć” podłodze. Na łóżku lub tapczanie ćwiczenia tego nie uda się zrobić odpowiednio, gdyż kręgosłup musi być zupełnie wyprostowany i leżeć płasko. Najlepiej na dywaniku lub kocu na podłodze. W pozie tej uzdrawiające energie przyrody działają najłatwiej, one też sprowadzą spoczynek. Przy pewnej praktyce może pan nauczyć się trwać godzinę w każdej z tych pozycji, co przyczynia się do usunięcia naprężenia mięśni i zupełnego uspokojenia nerwów. A wypoczynek mięśni poprzedza spokój umysłu.

– Właściwie te wasze ćwiczenia zdają się polegać na siedzeniu bez ruchu w takiej lub innej pozie.

– Czyż to mało? Was ludzi Zachodu wciąż korci, aby być w ruchu, a czyż wypoczynek i spokój są do pogardzenia? Czy równowaga nerwów nie ma znaczenia? Wypoczynek, spokój i równowaga są początkiem wszelkiej jogi; ale czyż są one tylko naszą potrzebą, czyż wasz świat nie potrzebuje ich jeszcze więcej?

Brahma ma słuszność.

– Na dziś dość będzie ćwiczeń, muszę już iść.

Dziękuję mu za naukę i proszę o więcej.

– Jutro rano może mnie pan znaleźć na brzegu rzeki.

Owija się w szal, składa ręce na pożegnanie, i już po nim. Zostaje sam i rozmyślam nad wszystkim, co usłyszałem.



Odtąd spotykam Brahme często, na jego życzenie towarzyszę mu w jego porannych przechadzkach, a czasem, gdy uda mi się zdobyć jego łaskę specjalną, spędza wieczór u mnie. Wieczory te są niezastąpione, uczę się podczas nich wiele; jakoś mu łatwiej odsłaniać przede mną bardziej tajemne cząstki nauki podczas księżycowych nocy aniżeli pod palącymi promieniami słońca.

Parę pytań, a wyjaśniam sobie kwestię, której nie pojmowałem dotąd, dlaczego Brahma ma skórę tak ciemną, że niemal przypomina Murzyna. Oto należy on do pierwotnej rasy, która zamieszkiwała

Indie, zanim Aryjczycy przyszedli tu poprzez góry północno – zachodnie, kilka tysięcy lat temu. Ta rasa Drawidyjczyków, zamieszkująca wówczas równiny, cofa się pod naporem na południe i do dziś dnia jest nieco odmienna, choć przyjęła religię aryjską; ma o wiele ciemniejszą skórę, co skłoniło niektórych etnologów do przypuszczenia, iż jest w bliskim pokrewieństwie z rasami zamieszkującymi Afrykę. Podobnie jak w dawnych zamierzchłych czasach, Drawidyjczycy noszą długie włosy i nieraz wiążą je w węzeł z tyłu głowy, mówią śpiewnym językiem, którego główną odmianą jest tamilski.

Brahma twierdzi, że joga była znana jego rasie od czasów najdawniejszych, że Aryjczycy przejęli ją od niej, jak wiele innych rzeczy. Lecz uczeni Hindusi, którym powtórzyłem to twierdzenie, uważali je za bezpodstawne i historycznie nieprawdziwe; co do mnie, nie mogę mieć o nim własnego zdania.

– Ile ćwiczeń zawiera wasz system?

– Osiemdziesiąt cztery stanowi całokształt tej części hatha jogi, ale ja umiem dotąd tylko sześćdziesiąt cztery – mówi Brahma, a jednocześnie przybiera jedną z tych pozycji siedzących i zdaje się czuć w niej tak naturalnie i wygodnie, jak ja na krześle. Mówi mi, iż jest to rzeczywiście najulubieńsza jego postawa. Nie zdaje się ona trudna, ale chyba nie jest wygodna: lewą nogę układa na biodrze, zaś piętę drugiej nogi podwija pod siebie i cofa nieco wstecz, tak iż główny ciężar ciała opiera się na niej.

– Jaka jest użyteczność takiej pozy? – pytam znów.

– Jeśli jogin używa jej wraz z pewnymi ćwiczeniami oddechowymi, zachowuje młodość przez długie lata.

– Jakież jest to ćwiczenie oddechowe?

– O, tego mi nie wolno panu pokazać.

– A jaki jest cel wszystkich tych pozycji?

– Sam fakt siedzenia lub stania w pewnych pozach przez określony czas codziennie może się panu zdawać rzeczą bez znaczenia i błahą. A jednak skupienie uwagi i woli na danej pozie jest tak duże – jeśli ma się dojść do wprawy – że budzi pewne energie drżące w naszym organizmie. Należą one do tajemnych dziedzin przyrody, rzadko budzą się całkowicie bez pomocy ćwiczeń oddechowych, gdyż oddech posiada kolosalną potęgę. Właściwym naszym celem jest właśnie zbudzenie tych mocy. Większość tych ćwiczeń może być używana dla wzmocnienia zdrowia lub usunięcia pewnych chorób, a niektóre usuwają energicznie wszelkie nieczystości z organizmu. Czyż nie jest to użyteczne? Inne ćwiczenia dopomagają



w opanowaniu myśli, w sięgnięciu w głąb duszy; gdyż prawdą jest niezaprzeczalną, że ciało ma równie duży wpływ na naszą myśl, jak myśl na ciało. W wyższych stanach jogi, gdy jesteśmy godzinami pogrążeni w medytacji, odpowiednia postawa ciała umożliwia i znacznie pomaga umysłowi pozostać w stanie skupienia. Do tych wszystkich korzyści można dodać jeszcze, iż wola każdego, kto wytrwale ćwiczy te trudne postawy, wyrabia się i hartuje. Teraz oceni pan może właściwie wartości naszych metod.

– Ale po co te wyginania i wykręcania?

– Istnieje wiele ośrodków nerwowych w całym organizmie; każda z tych postaw i każde z ćwiczeń wpływa na inny ośrodek, a przez nerwy można wywrzec decydujący wpływ, zarówno na różne organy ciała jak na mózg i myśli. Otóż skrety owe i wyginanie ciała służą do sięgnięcia aż do najdalszych nerwowych ośrodków, które przy innych pozach pozostałyby nietknięte.

Zaczynam rozumieć.

Istotnie podstawy tego systemu fizycznej kultury coraz wyraźniej zarysowują się w moim umyśle. Ciekawe byłoby porównanie ich z zasadami naszych zachodnich systemów. Dzielę się tą myślą z Brahmą.

– Nie znam zupełnie waszych zachodnich metod, ale widziałem ćwiczenia żołnierzy Europejczyków w dużym obozie koło Madrasu. Obserwując ich ruchy zrozumiałem, o co chodzi ich instruktorowi: rozwinięcie mięśni zdawało się być głównym celem, bo wy, ludzie Zachodu, za największą cnotę uważacie ruchliwość i aktywność. Pewnie dlatego chcecie tak bardzo rozwinąć mięśnie mógu, powtarzając setki razy ćwiczenia, które je w ruch wprawiają. Używacie energii niemal gwałtownie, chcąc jak najbardziej wzmocnić mięśnie i otrzymać większą fizyczną siłę w zamian za włożony wysiłek. Jest to bez wątpienia dobre w zimnych krajach Północy.

– A jakaż jest główna różnica między tymi dwoma metodami? Jakby się ją dało określić?

– Nasze ćwiczenia są raczej podstawami; gdy się je raz przyjmuje, nie wymagają dalszych ruchów. Nie staramy się bynajmniej o powiększenie zasobu naszej energii, lecz raczej o wzmocnienie odporności i wytrzymałości organizmu. Widzi pan, my uważamy, że chociaż rozwój mięśni może być użyteczny, jednak ukryta energia, która je ożywia, jest znacznie ważniejsza. Jeśli powiem panu np., że stanie w pewien sposób na rękach ma wpływ na mózg, gdyż przepłukuje go niejako świeżym dopływem krwi, oraz na nerwy, dając im duże uspokojenie, a także na usunięcie pewnych niedoma-

gań organizmu, to pan, jako człowiek Zachodu, zechce zapewne przerobić to ćwiczenie w szybkim tempie, powtarzając je porokrotnie jakby w pośpiechu, przez co wzmocni pan odpowiednie mięśnie, ale mało zyska z tego, co zyskuje któryś z nas robiąc to samo ćwiczenie we właściwy nam sposób.

– Jakaż będzie różnica?

– Uczeń jogi zrobi je bardzo powoli, ze skupieniem, pamiętając o celu, oraz wytrwa w tej postawie parę minut. Pokażę panu postawę, którą nazywamy wszechstronna, bowiem dla całego ciała jest użyteczna. Brahma kładzie się na plecach z rękami wyciągniętymi wzdłuż boków, nogi jedna przy drugiej, po czym podnosi je w górę, obie zginając w kolanach, aż osiągną około dwu trzecich kąta prostego z podłogą, następnie podtrzymuje dolną część pleców rękami wspartymi łokciami o podłogę i podnosi resztę ciała tak, iż tułów, biodra i nogi znajdują się w jednej pionowej linii; pierś podana lekko naprzód dotyka brody, ręce zaś tworzą rodzaj wygiętych podpórek. Cały ciężar podniesionego w ten sposób ciała opiera się na ramionach, tylnej części głowy i karku. Po wytrzymaniu prawie pięciu minut w tej dziwnej pozie, dosłownie do góry nogami, Brahma powstaje swobodnie i tłumaczy mi jej znaczenie.

– W pozycji tej krew własnym swym ciężarem spływa do mózgu przez parę minut. W zwykłej naszej postawie krew pompuje się w górę przy pomocy działania serca; w tej natomiast spływa ona w dół sama, odżywiając i uspokajając mózg oraz nerwy. Dla pracowników umysłowych, myślicieli czy studentów spokojnie wykonywanie tego ćwiczenia jest nieocenione. Przy dużym zmęczeniu mózgu przynosi zawsze ulgę. Ale nie tylko na tym polega jego znaczenie. Wzmacnia ono znacznie organy rozrodcze, jednak tylko pod warunkiem robienia go powoli według naszej metody, a nie pośpiesznie, według zachodniego zwyczaju.

– Czy dobrze rozumiem, że postawy jogi utrzymują ciało w stanie spokojnej równowagi, zaś ćwiczenia metodą Zachodu gwałtownie je poruszają i podniecają?

– Tak jest.

Wybiorę jeszcze jedno ćwiczenie z repertuaru Brahmy, które może być dostępnejsze od innych dla fizycznej budowy mych zachodnich współbraci; trochę praktyki i cierpliwości, a opanowuje się je łatwo.

Brahma siada z wyciągniętymi nogami, wznosi ramiona nad głową, krzyżując pierwsze palce, następnie pochyla się naprzód, wydychając powoli powietrze, i chwyta rękami duże palce u nóg, prawą ręką – prawy, lewą – lewy, po czym powoli pochyla głowę aż

do chwili, kiedy znajdzie się ona pomiędzy wyciągniętymi ramionami, dotykając całym czołem przedgoleni. Trwa czas pewiem w tej dziwnej pozie, poczym powraca powolutku do normalnej pozycji.

– Niech pan nie usiłuje robić tego od razu – przestrzega mnie – raczej niech pan się stara powoli coraz bardziej zbliżać głowę do kolan; może to nawet potrwać tygodnie, ale gdy się już uda, zostaje na lata.

Dowiaduję się, iż ćwiczenie to wzmacnia kręgosłup, co jest jasne, usuwa niedomagania nerwowe spowodowane słabością kręgosłupa i cudownie dopomaga krążeniu krwi.

W następnej postawie Brahma siada na podłodze na skrzyżowanych nogach, tak że stopy znajdują się zupełnie pod nim, przechyla się ku tyłowi, aż opiera się ramionami o podłogę, krzyżuje ramiona z tyłu głowy, tak aby się na nich całkowicie wspierała, po czym każdą ręką ujmuje przeciwne ramię. Pozostaje w tej pozie kilka minut. Tłumaczy mi, że ćwiczenie to wpływa dobroczynnie na ośrodki nerwowe ramion, szyi jak i nóg; płuca korzystają wtedy również.

Przeciętny Anglik tak jest skłonny uważać każdego Hindusa za słabeusza, za wątły przenerwiony wytwór tropikalnego słońca i niedożywienia, iż zdziwi się zapewne dowiadując się, że istnieje w Indiach od niepamiętnych czasów system fizycznej kultury, starannie, naukowo obmyślony. Jeśli nasze zachodnie systemy są o tyle użyteczniejsze, że nikomu na myśl by nie przyszło je kwestionować, to nie znaczy, aby były zupełne i wszechstronne i powiedziały ostatnie słowo co do fizycznego rozwoju, zachowania zdrowia i usuwania chorób. Może gdyby Zachód ze swymi naukowymi, ścisłymi metodami badań zechciał skorzystać z niektórych prastarych ćwiczeń jogi, zdobylibyśmy pełniejszą znajomość naszego organizmu, szersze pojęcie, czym jest zdrowie, i jakim winno być życie zgodne z jego prawami.

Zdaję sobie jednak sprawę, że nie więcej ponad tuzin tych postaw można z pożytkiem u nas stosować, to jest tylko te, które są dość łatwe, by warto było ich się nauczyć. Reszta – siedemdziesiąt dwie – może być przydatna tylko wyjątkowym entuzjastom i to dość młodym, mającym giętkie członki i dość gibkie ciało.

Brahma zgadza się z tym mówiąc mi:

– Przez dwanaście lat dzień w dzień ćwiczyłem sumiennie. Tylko w ten sposób mogłem opanować te sześćdziesiąt cztery postawy, jakie znam, przy tym miałem szczęście zacząć będąc bardzo młodym, bowiem zaczynanie ćwiczeń w wieku dojrzałym jest o wiele trudniejsze i prawie zawsze połączone z bólem; z wiekiem kości, mięśnie

i całe ciało jakby tężeją w pewnym stanie i nie można ich naruszyć bez wysiłku i cierpienia. Ale nawet i w tym wypadku, przy stałym dłuższym wysiłku można pokonać wszelkie trudności i przyswoić sobie wszystkie postawy.

Nie wątpię, iż Brahma się nie myli; istotnie, przy stałym wysiłku może każdy mógłby opanować te ćwiczenia, ale powolne nałamywanie i wyginanie członków, stawów i mięśni, przy przyzwyczajaniu ich do nowych pozycji może rozciągnąć się na lata. Brahma zaczął bardzo wcześnie – ma to znaczenie kolosalne. Podobnie jak najlepszymi akrobatami są ci, którzy rozpoczęli gimnastykę w dzieciństwie, tak jest zapewne i z uczniami hatha jogi: największe rezultaty osiągną ci, którzy zaczęli ćwiczenia przed dwudziestym piątym rokiem życia, zanim nie minął okres rozwoju i wzrostu fizycznego ciała. Nie jestem pewien, czy dorosły Europejczyk mógłby nauczyć się tych ćwiczeń bez nadwyżnienia sobie kości. Brahma wprawdzie twierdzi uparcie, iż w większości wypadków, choć może nie we wszystkich, wytrwały wysiłek może zwyciężyć, zgadza się jednak, że dla Europejczyków zadanie to będzie trudniejsze.

My na Wschodzie od dzieciństwa siadujemy ze skrzyżowanymi nogami, a Europejczyk czyż może tak usiedzieć spokojnie przez dwie godziny bez cierpienia? A ta poza skrzyżowanych nóg z odwróconymi w kostkach stopami stanowi początkową postawę kilku naszych ćwiczeń. Uważamy ją za jedną z najlepszych. Pokażę ją panu.

Brahma siada w pozie, którą znamy na Zachodzie z licznych obrazów i rzeźb, przedstawiających Buddę. Siedzi zupełnie prosto, zgina prawą nogę tak, by stopa dotykała lewego biodra, po czym to samo czyni lewą, tak by stopa jej znalazła miejsce pomiędzy pachwiną a prawym biodrem, obie stopy są zwrócone ku górze. Jest to poza pełna równowagi i artystycznego piękna. Mówię do siebie, iż warto zadać sobie trud i spróbować.

Siadam usiłując przybrać tę samą postawę, ale ból w stawach jest nieznośny, skarżę się, że ani przez chwilę nie potrafiłbym usiedzieć w tej pozie. Jakże mi się ona wydawała egzotycznie piękna, gdy podziwiał posągi Buddy za witrynami wystaw, a jak trudną i nienaturalnie wyginającą stawy wydaje mi się dziś w Indiach, gdy sam usiłuję ją wypróbować. Nawet zachęty i uśmiechy Brahmy nie przekonują mnie i nie pocieszają; mówię mu, iż chyba zaniecham dalszych prób.

– Istotnie, nie ma pan giętkich stawów – zauważa – niech pan wetrze trochę oliwy w kostki i kolana przed następną próbą, może to znacznie dopomóc. Tak pan przywykł do krzesel, że z początku

będzie pan odczuwał naprężenie i zmęczenie w nogach, ale codzienne powtarzanie ćwiczenia wkrótce usunie tę trudność.

– Wątpię, abym kiedykolwiek nauczył się tej pozy.

– Niechże pan nie wątpi, nie ma nic niemożliwego; może być, iż będzie to wymagało nieco czasu, ale rezultat jest pewny. Przyjdzie dzień, gdy uda się panu nagle, bez wysiłku i bólu, jakby od niechcenia. Powodzenie – rezultat wysiłku – przychodzi nagle.

– Ależ to bolesne, istna tortura!

– Ból będzie się zmniejszał niemal codziennie, a choć nie zaraz ustąpi, nadejdzie jednak chwila, gdy zniknie zupełnie.

– Czy warto próbować?

– Oczywiście! Postawa lotosu, tak ją nazywają, jest uważana przez mistrzów jogi za tak ważną, iż żadnemu z uczniów nie wolno jej pominąć, choć pozwala mu się opuszczać wiele innych ćwiczeń. W tej postawie najwięksi joginowie odbywają swe medytacje. Jedną z jej zalet jest równowaga i mocne oparcie, jakie daje ciału chroniąc je od upadku w razie tak głębokiej medytacji, że przechodzi niemal w rodzaj transu; zdarza się to joginom często, czasem przychodzi nagle i nieoczekiwanie, częściej zaś – zwłaszcza u najdoświadczonych – zupełnie świadomie i dobrowolnie. Poza tym w tej postawie nogi tworzą jakby zamknięty krąg, całe ciało jest w spokoju zupełnym. Gdy ciało jest zdenerwowane i niespokojne – przeszkadza myśli, a w tej pozie uspakaja się samo przez się łatwo. Odczuwamy bardzo prędko równowagę i opanowanie, gdy tak siedzimy. W tej pozie najłatwiej też o skupienie myśli, o prawdziwą koncentrację, której tak wielką nadajemy wagę. A w końcu nasze ćwiczenia oddechowe najlepiej robić w tej postawie, gdyż przyczynia się to do obudzenia duchowego płomienia, drzemającego w organizmie. Gdy budzi się ten ogień niewidzialny, wszystka krew organizmu jest jakby na nowo rozesłana po ciele, a siła nerwowa skierowana jest niezmiernie starannie ku pewnym ważnym ośrodkom ciała.

Wyjaśnienia te wystarczają mi na razie. Kończę na tym moje pytania co do różnych ćwiczeń, gdyż Brahma jeszcze poprzednio pokazał mi wiele z najbardziej skomplikowanych postaw, najprzeździwniej powyginanych figur, abym widział, jakie osiągnął rezultaty w swym opanowaniu mięśni i całego ciała. Któż z nas, ludzi Zachodu, miałby na to cierpliwość? Kto zadałby sobie trudu nauczenia się tych niezmiernie trudnych, złożonych ćwiczeń? Któż miałby na to czas?

# JOGA PRZEZWYCIĘŻAJĄCA ŚMIERĆ

Brahma wyraża życzenie, bym go odwiedził. Opowiada, iż nie mieszka w domu, ale w zbudowanej przez siebie chatce w głębi ogrodu, aby mieć zupełną swobodę i niezależność.

Pewnego więc popołudnia – przyznaję, nie bez wzruszenia – wybieram się do niego. Dom stoi przy ulicy zaniedbanej, pustej, pełnej kurzu. Zatrzymuję się na chwilę przed starym, bielonym murem obserwując wyższe drewniane pięterko, które przypomina mi swoimi okiennicami średniowieczne domki europejskie; muszę pchnąć ciężką, starą bramę, wydającą rozgłosny dźwięk przy otwieraniu – i znajduję się w podwórzu. Wywołana skrzypieniem bramy starsza kobieta o serdecznym, macierzyńskim uśmiechu zbliża się do mnie i nisko pochyla w ukłonie, po czym prowadzi mnie przez długi, ciemny korytarz i kuchnię do ogrodu po drugiej stronie domu.

Widzę rozłożyste, wspaniałe drzewo podobne do lipy, a pod jego przyjaznym cieniem starą studnię. Kobieta prowadzi mnie ku chatce, zbudowanej z bambusu i cienkich, drewnianych prętów, a pokrytej strzechą porośłą trawą. Zatrzymuje się przed progiem zamkniętych drzwi chatki i, widocznie bardzo przejęta, mówi szybko w języku tamilskim głosem prawie drżącym ze wzruszenia. Dźwięczny, metaliczny głos odpowiada z wewnątrz, drzwi się uchylają i pojawia się Brahma witając mnie serdecznie i wciągając do swej pustelni. Drzwi pozostawia otwarte, a kobieta, równie ciemna jak on, trwa przy nich parę minut pożerając mnie oczami z wyrazem nieopisanego szczęścia.

Znajduję się w prostej, skromnej izbie; niski tapczan bez poduszek zajmuje jedną jej ścianę, w kącie stoi drewniana ława zarzucona papierami. Od stropu zwisa ciężki, miedziany dzban na wodę; podłoga zasłana matą.

– Niechże pan siada – mówi Brahma wskazując matę – krzesel niestety nie mamy.

Siadamy na macie, Brahma, ja i młody student, który mi towarzyszy i służy za tłumacza. Po paru minutach staruszka znika, by pojawić się wkrótce z garnczkiem herbaty, którą stawia na macie, jakby na stole. Za chwilę przynosi jeszcze pomarańcze, banany, herbatniki, wszystko ułożone starannie na metalowych tackach.

Zanim zaczynamy pożywiać się, Brahma znika i przynosi po chwili długi i delikatny wieniec żółtych kwiatów, który zawiesza mi na szyi. Jestem zaskoczony i protestuję energicznie, gdyż wiem, że ten dawny hinduski zwyczaj stosuje się tylko do bardzo szanownych i wybitnych osób, a nie zaliczam siebie bynajmniej do tej kategorii.

– Ależ bracie! – z najserdeczniejszym uśmiechem mówi Brahma – jesteś pierwszym Europejczykiem, który przestąpił próg mego domu, i pierwszym, który ma zostać mym przyjacielem. Wszak muszę wyrazić mą radość, jak i radość tej niewiasty i uczyć cię tym naszym prastarym zwyczajem.

Na nic się nie zda protestować, muszę usiąść na podłodze z tym wieniecem uroczym złoćącym się na mej marynarce. Jak to dobrze, że Europa daleko i nikt z moich przyjaciół nie może mnie zobaczyć w tej roli, na pewno kpiliby ze mnie!

Pijemy herbatę, jemy owoce i rozmawiamy przyjemnie. Brahma opowiada, że zbudował chatkę i sklecił sprzęty własnoręcznie. Papiery rozrzucone na ławie wzbudzają mą ciekawość, zapytuje o nie; widzę, iż są wszystkie różowego koloru, a pismo zaznacza się zielono. Brahma bierze pęk kartek, rozpoznaje dziwne litery tamilskie; student usiłuje odczytać, lecz stwierdza, że mało rozumie. Brahma wyjaśnia, że jest to stary język tamilski, ongi literacki, dziś rozumiany przez niewielu. Dodaje, że klasyczne dzieła, największe pomniki filozofii i literatury tamilu, są wszystkie pisane w tej starożytnej jego odmianie, trudniejszej do zrozumienia dla współczesnych niż średniowieczny język angielski dla dzisiejszego przeciętnego Anglika.

– Piszę te księgi przeważnie w nocy – mówi Brahma. – Niektóre, to opisy wierszem moich doświadczeń w jodze, inne, to dłuższe poematy, gdzie pozwalam memu sercu mówić o jego religii. Jest tu kilku młodych ludzi, którzy nazywają siebie moimi uczniami. Przychodzą często i głośno czytają te kartki.

Brahma bierze artystycznie wyglądający dokument, złożony z kilku kartek złożonego papieru zapisanego czerwonym i zielonym atramentem, związanych zieloną wstążką, i podaje mi go z uśmiechem.

– Napisałem to specjalnie dla pana.

Młody mój tłumacz poznaje, że jest to poemat o osiemdziesięciu czterech liniach, że zaczyna się i kończy moim imieniem, ale niewiele więcej może zrozumieć. Odcyfrowuje pojedyncze słowa, przypuszcza, że poemat mówi o czymś osobistym, ale pisany jest tak wyszukany klasycznym językiem, że jego wiedza jest zbyt uboga, by go zrozumieć, a tym bardziej oddać w odpowiednim tłumaczeniu. Mimo to ten nieoczekiwany dar sprawia mi ogromną przyjemność, zwłaszcza jako wyraz serdecznych uczuć Brahmy.

Po herbacie i oficjalniejszej części mej wizyty staruszek odchodzi, a my zaczynamy poważną rozmowę. Pytam znów o naukę oddychania, która tak wielką rolę odgrywa w jodze, a tak wielką tajemnicą jest otoczona. Brahma żałuje, iż nie może pokazać mi więcej ćwiczeń, ale gotów jest powiedzieć mi trochę z teorii.

– Przyroda wyznaczyła każdemu człowiekowi 21 600 oddechów lub rytmów na 24 godziny, od jednego wschodu słońca do drugiego. Krótki, szybki, głośny oddech przekracza tę liczbę, a tym samym skraca życie człowieka. Powolny, głęboki i spokojny nie wyczerpuje tej liczby, jakby ekonomizuje energię, a więc – przedłuża życie. Każdy zaoszczędzony oddech tworzy pewną rezerwę, z której człowiek może czerpać i latami przedłużać życie. Ludzie praktykujący jogę mniej zużywają oddechów od innych, nie potrzebują też... ale jakże mogę dać panu dalsze wyjaśnienia bez złamania przysięgi?!

To urwane zdanie podnieca niebywale mą ciekawość. Czyż to możliwe, by wiedza tak starannie, tak głęboko ukrywana nie miała rzeczywistej wielkiej wartości? A jeśli tak, to można zrozumieć, dlaczego ci dziwni ludzie tak ukrywają swe ślady, a tajemnicą otaczają skarby swej wiedzy, by ochronić się przed powierzchowną ciekawością płytkich, myślowo niedojrzałych, a może i duchowo niegodnych ludzi. Możliwe, że i ja należę do jednej z tych kategorii, a w takim razie będę pewnie musiał opuścić ten kraj mało zdobywszy mimo szczerego trudu.

Brahma mówi dalej:

– Czyż nie posiadają nasi mistrzowie kluczy do potęgi oddechu? Znają oni ścisły związek, jaki zachodzi między krwią a oddechem, wiedzą, iż myśl również poddaje się oddechowi, posiadają tajemnicę, jak można zbudzić świadomość duszy przez działanie oddechu i myśli. Mógłbym powiedzieć, iż oddech jest tylko wyrazem w tym fizycznym świecie subtelniejszej i wyższej energii, która jest właściwą siłą podtrzymującą organizm; niewidzialna, ukrywa się ona w organach żywotnych, a gdy opuszcza ciało, oddech ustaje również i następuje śmierć. Ale umiając rządzić oddechem możemy



też władać i tym niewidzialnym prądem. Choć zdobywamy niebywałą władzę nad ciałem – aż do kierowania biciem serca – czyż myśli pan, że nasi dawni mędracy mieli na celu tylko rządzenie ciałem i jego różnymi władzami, gdy tworzyli nasz prastary system?

Cokolwiek myślałbym o celach mędrców starożytności, znika to w tej chwili z mej pamięci pod naciskiem żywej, nagle zbudzonej ciekawości.

– Czyż możecie rządzić biciem serca? – wołam w zdumieniu.

– Automatycznie działające organy mego ciała, jak serce, żołądek i nerki, zmusiłem w pewnym stopniu do posłuszeństwa – odpowiada spokojnie, bez cienia przechwałki Brahma.

– Jakże to można zrobić?

– Zdobywa się tę umiejętność praktykując jednocześnie pewne ćwiczenia woli, oddechu i postawy; oczywiście, należy to do bardzo trudnych części jogi, tak trudnych, iż mało kto zdoła się ich nauczyć. Przy pomocy tych ćwiczeń zdobyłem pewną władzę nad mięśniami serca, a przez nie mogłem wpływać i na inne organy, poddając je mej woli.

– Ależ to jest nadzwyczajne!

– Tak pan myśli? Proszę położyć rękę na mej piersi, na sercu, tak, i potrzymać ją mocno.

Jednocześnie Brahma zmienia pozę, przybierając bardzo dziwną postawę i zamyka oczy.

Posłuszny kładę rękę na jego sercu i czekam. Przez parę minut siedzi nieruchomy, zastygły jak posąg, po czym uderzenia serca powoli przycichają, stają się coraz powolniejsze, aż wszelki jego rytmiczny ruch ustaje zupełnie. Dreszcz przechodzi mnie od stóp do głów, a nerwy w napięciu najwyższym wsłuchują się w biegnące sekundy – oto mija ich siedem.

Staram się wmówić w siebie, że się łudzę, lecz mój niepokój jest tak wielki, że wysiłek to daremny. Oddycham z ulgą, gdy czuję pod ręką powracający ruch serca, gdy mijają te sekundy pozornej śmierci; po chwili uderzenia stają się szybsze, aż zupełnie normalny rytm znowu powraca.

Brahma nie od razu przerywa swą nieruchomość. Powoli otwiera oczy i pyta:

– Czuł pan, jak serce staje?

– Czułem najwyraźniej.

Jestem zupełnie pewny, że nie była to halucynacja ani złudzenie. Jakież to jeszcze dziwy może Brahma wyczyniać ze swym fizycznym

mechanizmem? pytam sam siebie. I jakby w odpowiedzi na nie wypowiedziane pytanie, Brahma odzywa się:

– Jest to niczym w porównaniu z tym, co mistrz mój może dokonać. Można przeciąć jedną z jego arterii, a on potrafi całkowicie opanować przepływ krwi, a nawet zupełnie go zatrzymać! Tak! Ja zdobyłem też pewną wiedzę nad obiegiem krwi, ale tego jeszcze nie potrafię.

– A czy mógłbyś mi pokazać, do jakich granic dochodzi to opanowanie?

Prosi, bym ujął go za rękę, gdzie najlepiej czuć tętno. Czynię to skwapliwie. Po dwu lub trzech minutach zauważam wyraźne słabnięcie cichego rytmu pod palcami, aż ustaje zupełnie. Brahma zatrzymał puls!

Znów z niepokojem oczekuję na powrót tętna. Przechodzi minuta – nic. Druga – czuję ostro każdą jej sekundę obserwowaną na mym zegarku. Trzecia. Wreszcie w połowie czwartej minuty – czuję słabutki uderzenia pod palcami; powoli stają się silniejsze – napięcie moje zmniejsza się również – wkrótce czuję znów normalne, zdrowe tętno.

– Jakież to dziwne! – wrywa mi się mimo woli.

– Ale to nic – mówi po prostu Brahma.

– Dzisiaj jest dzień przedziwnych wyczynów, może więc jeszcze coś ujrzę?

Brahma waha się.

– Jeszcze tylko jedno i musi pan być zadowolony. – Patrzy w zamysleniu w podłogę. – Zatrzymam oddech.

– Jak to? przecież to śmierć! – wołam nerwowo.

Brahma śmieje się, ale nie odpowiada.

– Niech pan trzyma rękę przy moich nozdrzach.

Nie bez wahania czynię to. Ciepły oddech pieści delikatnie skórę mej ręki. Brahma zamyka oczy, całe jego ciało znów tężeje w zupełnej nieruchomości, zdaje się zapadać w rodzaj transu. Czekam trzymając wciąż rękę przy samych jego nozdrzach. Jest tak nieruchomu i zastygły jak posąg bez życia. Powoli, bardzo powoli delikatna pieszczota na mojej ręce zmniejsza się, aż zupełnie ustaje.

Patrzę na jego nozdrza, na usta; badam ramiona i piersi, nie odkrywam nigdzie najśłabszej oznaki oddechu. Wiem, że nie są to jeszcze ostateczne dowody, pragnę znaleźć jakiś najoczywistszy, niezaprzeczalny. Mózg pracuje szybko: nigdzie nie ma kawałka lustra. Ach, oto dostrzegam metalowy talerzyk! Biorę go i przykła-

dam do nozdrzy Brahmy, potem do ust – wypolerowana, lśniąca jego powierzchnia nie zasnuwa się nigdzie mgiełką oddechu.

Zdaje się, że to niemożliwe, wprost nie do wiary, by w tym zwykłym domu w spokojnej dzielnicy najzwyklejszego miasta można było zetknąć się z czymś tak niezwykłym. Oto nawiązałem kontakt z czymś, co nauka Zachodu będzie musiała z czasem uznać, choćby wbrew swej chęci. Dowody są oczywiste i niezaprzeczalne, joga jest więc istotnie czymś więcej niż mitem przeszłości.

Gdy Brahma powraca powoli ze swego dziwnego stanu do zwykłej przytomności, zdaje się być nieco znużony.

– Zadowolony pan teraz? – pyta ze zmęczonym uśmiechem.

– Więcej niż zadowolony! Ale nie mogę wyjść z podziwu, jak można to zrobić.

– Tego panu wytłumaczyć nie mogę, nie mam prawa. Zatrzymanie oddechu jest częścią wyższej jogi. Wam, ludziom Zachodu, może się to wydawać bezużyteczne, lecz my dużą do tego przywiązujemy wagę.

– Nas uczono zawsze, że człowiek nie może żyć bez oddechu. Czy pojęcie to jest niesłuszne, czy niedorzeczne?

– Nie jest niedorzeczne, ale jest niezupełnie ściśle. Mogę zatrzymać oddech na dwie godziny, jeśli zechcę. Czyniłem to wielokroć, a jednak, jak pan widzi, nie umarłem – uśmiecha się Brahma.

– Ogarnia mnie zdumienie. Jeśli nie wolno dać pełnego wytłumaczenia, może choć nieco światła można rzucić na teorię, której demonstracją są takie eksperymenty?

– Dobrze, postaram się. Obserwując niektóre zwierzęta możemy wyciągnąć pewną naukę – mistrz mój lubi uczyć nas na takich przykładach. Słoń oddycha o wiele wolniej od małpy, a żyje o wiele dłużej. Niektóre wielkie węże oddychają wolniej od psów, a żyją nieporównanie dłużej. A więc – istnieją zwierzęta o wolnym oddechu a długim życiu. Jeśli pan mnie dotąd rozumie, następny krok uczynić łatwo. Są w Himalajach nietoperze usypiające na zimę. Zawisają na długie tygodnie, uczepione do ścian grot górskich, i przez cały czas snu nie oddychają aż do zbudzenia się ponownego. Tak samo i niedźwiedzie, zapadające w zimowy sen, zdają się zupełnie bez życia. W wielu niedostępnych lasach Himalajów, gdzie przez całą zimę trudno o jakiegokolwiek pożywienie, istnieją też dziki, zapadające w paromiesięczny sen z pełnym ustaniem oddechu. Jeśli zwierzęta te mogą nie oddychać przez pewien czas, a jednak żyją, dlaczegoż by człowiek nie mógł tego dokonać? .

Przykłady Brahmy są ciekawe, ale mniej przekonujące od tego, co sam zademonstrował. Nie tak łatwo pozbyć się lub odrzucić choćby nawet chwilowo utarte pojęcie, iż oddychanie jest nieodzowną funkcją i warunkiem życia.

– Nam, ludziom Zachodu, tak trudno pojąć, jak może życie trwać w organizmie, gdy oddech w nim ustaje.

– Życie trwa zawsze – mówi Brahma zagadkowo – śmierć jest tylko przyzwyczajeniem ciała.

– Przecież nie chcesz przez to powiedzieć, że można śmierć przezwyciężyć? pytam niedowierzająco.

Brahma patrzy na mnie w dziwny sposób.

– Dlaczegoż by nie?

Następuje chwila naprężonego milczenia. Brahma patrzy na mnie raz jeszcze badawczo i przenikliwie, ale przyjaźnie.

– Widzę w panu różne możliwości, toteż powiem panu jedną z naszych prastarych tajemnic, ale wprawdzie muszę mieć pańską zgodę na jeden warunek.

– Jaki?

Nie będzie pan próbował żadnych oddechowych ćwiczeń dla eksperymentu prócz tych, które panu sam potem pokażę.

– Zgadza się!

– Niech pan pamięta – słowo! Dotychczas wierzył pan, że ustanie oddechu jest równoznaczne ze śmiercią?

– Tak jest!

– A czyby nie można przypuścić, że całkowite zatrzymanie oddechu w organizmie utrzymuje w nim życie przynajmniej dopóty – dopóki oddech w nim przebywa?

– A więc?

– Nie chcemy nic więcej. Twierdzimy, że mistrz w wiedzy oddychania, który potrafi dowolnie zatrzymywać oddech, może też zatrzymać i prąd życia. Czy rozumie pan teraz?

– Może i rozumiem.

– Niechże pan wyobraz sobie mistrza jogi, który potrafi zatrzymać tak oddech nie tylko na parę minut, ale na tygodnie, miesiące, a może nawet na lata. Przyjmuje pan, że gdzie jest oddech, tam musi być życie, czyż nie otwiera się więc tu możliwość przedłużania życia?

Zdumienie głos mi odbiera. Czyż mogę odrzucić takie twierdzenie jako absurdalne? Ale jakże mam je przyjąć? Czyż nie przypomina to daremnych snów średniowiecznych alchemików, tych marzycieli, szukających eliksiru życia, a padających jeden po drugim pod

uderzeniami śmierci? Lecz jeśli Brahma nie łudzi się sam, po cóż by miał łudzić mnie? Wszak nie szukał mego towarzystwa, nie stara się o uczniów ani naśladowców.

Dziwny strach mnie przejął. A jeśli on nie jest zupełnie przy zdrowych zmysłach? Nie, niemożliwe, jest tak trzeźwy i rozumny, tyle ma w innych rzeczach zdrowego rozsądku... niemożliwe! Czy nie lepiej uważać, że się wprost myli? Jednak, coś we mnie wątpi nawet w taki wniosek. Jestem osłupiały.

– Nie przekonuje to pana? A czy nie słyszał pan historii o fakirze, który został na rozkaz króla Randžita Singha zagrzebany do ziemi w Lahore? Zakopanie fakira odbyło się w obecności oficerów armii angielskiej, a ostatni król sikhów sam pilnował całego eksperymentu. Żywy grób fakira zostawał pod najściślejszą strażą żołnierzy przez sześć tygodni, a jednak po upływie tego czasu fakir wyszedł zeń zdrowy i cały. Niech pan sam postara się sprawdzić tę historię; mówiono mi, że znajduje się zapisana w dokumentach waszego rządu. Ów fakir zdobył takie panowanie nad oddechem, że mógł go dowolnie zatrzymywać bez niebezpieczeństwa, nie ryzykując bynajmniej życia. A nie był on nawet uczniem jogi prawdziwej, gdyż słyszałem od pewnego bardzo sędziwego człowieka, który go znał osobiście, że charakter jego przedstawiał wiele do życzenia. Nazywał się Harjidas, mieszkał na północy. Jeśli on mógł wytrzymać tak długo, zupełnie pozbawiony powietrza, o ileż więcej może dokonać prawdziwy mistrz jogi, który rozwija w sobie te możliwości w ciszy i tajemnicy i nigdy, za żadne pieniądze, nie czyni takich cudów publicznie.<sup>1</sup>

Chwiała znaczącego milczenia.

– Istnieje wiele innych przedziwnych władz, które można zdobyć przy pomocy naszej wspaniałej nauki jogi, ale któż w dzisiejszych, zmaturalizowanych czasach zechce dać za nie wysoką cenę wysiłku, czasu, pracy, wytrwałości...?

Znowu milczenie.

– Żyjąc i działając w zwykłym świecie codziennych zajęć, dość mamy do roboty bez szukania tych specjalnych władz – próbuje bronić mej epoki.

---

1 Sprawdziłem następnie wspomniany przez Brahme fakt – miał on istotnie miejsce w Lahore w 1837 r. Fakira zagrzebano w obecności króla Randžita Singha, przedstawiciela rządu angielskiego Claude'a Wade'a, dr Honigsbergera i wielu innych. Straż żołnierzy sikhów dzień i noc pilnowała „grobu”, by nie dopuścić do żadnego podstępu. Po 40 dniach odkopano fakira żywego. Szczegóły można znaleźć w archiwach w Kalkucie.

– Tak. Toteż droga tej jogi jest tylko dla bardzo nielicznych. Dlatego to mistrzowie naszej wiedzy utrzymywali ją przez wieki w ukryciu i otaczali tajemnicą. Rzadko sami szukają uczniów; kto chce ich znaleźć, sam musi podjąć trud szukania.



Następny raz spotykamy się u mnie. Jest wieczór, spożywamy razem obiad i po krótkim odpoczynku przechodzimy na zalaną księżycem werandę, gdzie siadam na leżaku, Brahma na macie na podłodze. Rozkoszujemy się przez chwilę w milczeniu srebrną poświatą pełni. Nie zapomniałem bynajmniej zadziwiających zdarzeń i ostatnich twierdzeń Brahmy, toteż wkrótce wracam do tematu ludzi, którzy mogą śmierci poświęcić wężdzidła.

– A dlaczegoż by nie? – zaczyna Brahma swym ulubionym pytaniem. W górach Nilgiri, niedaleko stąd na południu, przebywa jeden z mistrzów jogi; nie opuszcza on nigdy swego schronienia. A na północy mieszka drugi, w grotcie, wśród śnieżnych Himalajów. Spotkać ich trudno, gdyż gardzą tym światem, ale tradycja mówi nam o nich i wiemy, że żyją już setki lat.

– I... naprawdę w to wierzycie? – pytam z szacunkiem, a jednak z pewnym powątpiewaniem.

– Oczywiście! Czyż nie mam przed oczami widzialnego przykładu w osobie mego mistrza?

Od dawna krążyło mi po głowie pytanie, które w tej chwili ożywa; dotąd nie śmiałem go zadać, ale teraz, gdy przyjaźń nasza z dniem każdym się zacieśnia, mogę chyba postawić je odważnie i prosto. Patrząc poważnie w oczy Brahmy i pytam:

– Brahmo, kto jest twym mistrzem?

On również patrzy mi w oczy dziwnie długo, lecz milczy. Waha się. Po chwili mówi ze złością i jakby uroczyście:

– Uczniowie jego na południu znają go pod imieniem Jerumbu Swami, co znaczy – Nauczyciel Mrówek.

– Cóż za dziwne imię! – wrywa mi się mimo woli.

– Mistrz nosi zawsze ze sobą woreczek mąki ryżowej, którą karmi mrówki wszędzie, gdzie się znajduje. Ale na północy, wśród wiosek Himalajów, gdzie niejednokrotnie przebywa, inne nosi imię.

– Czy jest doskonałym mistrzem twej jogi?

– Tak jest!

– I wierzysz, że żyje już...?

– Tak, wierzę, że żyje ponad czterysta lat! – kończy spokojnie Brahma.

Następuje napięta chwila milczenia. Patrę nań w niemym podziwieniu.

– Wielokrotnie opowiadał mi o panowaniu cesarzy Mogołów, jak i wiele historii z czasów, gdy pierwszy raz przybyło do Madrasu wasze Angielskie Towarzystwo dla Indii.

Dla sceptycznego ucha są to nic nie mówiące przykłady.

– Ależ każde dziecko po przeczytaniu historii mogłoby to opowiadać – wtrącam półgłosem.

Brahma ignoruje moją uwagę i mówi dalej:

– Mistrz mój pamięta dokładnie pierwszą bitwę pod Panipat,<sup>1</sup> nie zapomniał też bitwy pod Plassey.<sup>2</sup> Pamiętam, jak raz, mówiąc o jednym z braci uczniów, nazwał go dzieckiem niemal osiemnastoletnim.

Widzę w jasnym świetle księżycy, że ciemna twarz Brahmy pozostaje szczególnie poważna i nieruchoma, gdy to mówi. Ale jak może mój mózg, wychowany na ścisłych metodach badania wprowadzonych przez naukę współczesną, przyjąć podobne twierdzenie? Brahma jest Hindusem i musi posiadać pewną zdolność operowania legendami jako rzeczywistością, podobnie jak reszta jego ziomeków. Daremne byłoby dyskusowanie z nim i używanie argumentów, lepiej milczeć. Po chwili mówi dalej:

– Mistrz mój był przez jedenaście lat duchowym kierownikiem i doradcą jednego z sędziwych maharadzów Nepalu, państewka położonego pomiędzy Indiami a Tybetem. Jest tam znany i kochany przez wieśniaków zamieszkujących Himalaje, czczą go niemal jak boga, gdy odwiedza ich i rozmawia z nimi serdecznie jak ojciec z dziećmi; nie zwraca uwagi na przepisy kastowe, ale nie je ryb ani mięsa.

– Jak może człowiek tak długo żyć?! – wracam uparcie do myśli, która mnie niepokoi.

Brahma zapatrzył się w dal i zdaje się zapomnieć o mej obecności.

– Trzy są sposoby, jakimi można zdobyć długowieczność. Pierwszy – to praktykowanie wszystkich postaw, wszystkich ćwiczeń oddechowych i tych ćwiczeń tajemnych, które należą do naszego systemu jogi. Praktykować je należy nieustannie, aż zdobędzie się doskonałość, a można to czynić tylko pod kierunkiem odpowiedniego nauczyciela, mogącego na sobie pokazać każdą rzecz, której naucza.

---

1 W 1526 r. armia zaborcza Babera, jednego z potomków okrutnego Tamerlana, starła się z siłami króla Agry pod Panipat.

2 Słynna bitwa pod Plassey otworzyła drogę potężnej brytyjskiej w Indiach w 1757 r.

Drugi sposób – to stałe używanie pewnych bardzo rzadkich traw, znanych tylko bardzo nielicznym mędrcom, przed którymi odkryte są tajemnice przyrody. Mają oni zawsze przy sobie te trawy, ukrywają je nieraz starannie w swych płaszczach podczas długich podróży, a gdy nadchodzi czas ostatecznego odejścia, wybierają zwykle jednego ze swoich uczniów, najbardziej godnego zaufania, i odsłaniają mu tajemnicę powierzając trawy – nikt inny nie może ich dostać. Trzeci sposób nie jest łatwy do wytłumaczenia – urywa Brahma.

– A może spróbujesz? – przynaglami.

– Może pan będzie się śmiał z mych słów!

Zapewniam go, że nie będę, że przyjmę z szacunkiem wszystko, co mi powie.

– Dobrze więc. Istnieje wewnątrz mózgu ludzkiego, swobodna przestrzeń, jakby komora; w niej to przebywa dusza. Komorę chroni rodzaj klapki. U podstawy kręgosłupa wytwarza się niewidzialny prąd żywotnej energii, o którym parokrotnie już wspomniałem; nieustanne używanie tego prądu jest przyczyną starzenia się, wędnięcia ciała, natomiast umiejętne kierowanie nim może ciało odmłodzić, napęlić nowym życiem i utrzymywać ten stan przez czas dłuższy. Gdy człowiek opanuje siebie, może pokusić się o zdobycie władzy i nad tym prądem przez pewne trudne ćwiczenia, znane tylko najdoświadczeńszym joginom naszej szkoły. Gdy nauczy się kierować nim i zatrzymywać go w kręgosłupie, może też spróbować skupić go w owej komorze mózgu. Jednak bez pomocy mistrza nie zdoła tego uczynić, gdyż tylko mistrz może mu wskazać metody i dopomóc w otwarciu ochronnej klapki. Jeśli znajdzie nauczyciela, który zechce dlań to zrobić, wówczas ów prąd życia skupia się w małej komorze i przemienia w nektar długowieczności, jak go nazywamy. Jest to zadanie trudne i niebezpieczne – niechybna zguba czeka człowieka, który by pokusił się o dokonanie tego samego, bez pomocy. Lecz ten, który jest dość szczęśliwy, by znaleźć odpowiednią pomoc i osiągnąć cel, może dowolnie wywołać stan pozornej śmierci oraz zdobyć władzę oddalania prawdziwej. Właściwie, może dowolnie wybrać chwilę swej śmierci, a nawet najściślej-sze badanie nie wykryje, że nie była ona zupełnie naturalna. Otóż istnieją ludzie, którzy na swe rozkazy mają wszystkie trzy metody, całkowicie opanowane – ci mogą żyć setki lat. Tak mnie uczono. A gdy umrą, żadne robactwo nie tknie ich ciała; sto lat przejść może, a będzie ono w tym samym stanie, co w chwili śmierci, nietknięte rozkładem.



Dziękuję Brahmie, lecz nie mogę się pozbyć mego zdziwienia. Zainteresował mnie, lecz nie przekonał. Anatomia nic nie wie o tym prądzie, a na pewno nie przypuszcza nawet możliwości istnienia takiego nektaru. Czyż te historie o fizjologicznych cudach miałyby być tylko przesadami? Wracamy ku czasom baśni, ku prastarym legendom o długowiecznych czarodziejach i magach, posiadających eliksir życia. A jednak to, co mi Brahma zademonstrował ze swej władzy nad oddechem i obiegiem krwi, stanowi pewien dowód, iż moce jogów to nie chimery, że są oni w stanie wywołać bezsprzecznie takie zjawiska, które zdać się muszą bajką wszystkim, co o tego rodzaju rzeczach nie wiedzą. To jest najdalszy punkt mego rozumienia, dalej już iść za Brahmą nie zdołam<sup>1</sup>.

Milczę z pewnym szacunkiem dla jego wierzeń, usiłując ukryć wewnętrzną walkę myślową, by nie odbiła się na mojej twarzy.

– Trzeba przypuszczać, że o te władze specjalne kusili by się ludzie starsi, zbliżający się do śmierci – mówi Brahma – ale droga do nich jest tak bardzo niebezpieczna! Czyż można się dziwić, że mistrzowie nasi przestrzegają nas zawsze co do tych ćwiczeń: „Zachowujcie je w tajemnicy jak szkatułę najcenniejszych diamentów”.

– Nigdy więc nie będziesz mógł mi ich odsłonić?

– Każdy, kto chce zostać mistrzem, musi nauczyć się chodzić, zanim będzie mógł biegać – mówi z uśmiechem Brahma.

– Jeszcze ostatnie pytanie...

Brahma wyraża zgodę skinieniem głowy.

– Gdzie przebywa w tej chwili twój mistrz?

– W ustronnym klasztorze wśród gór Nepalu, po drugiej stronie dżungli Terai.

– A czy istnieje możliwość, że wróci znów na równiny Indii?

– Któż może przewidzieć, co zrobi? Może zostanie wiele lat w Nepalu, a może podejmie z powrotem trud podróży i wędrowania. Lubi najbardziej Nepal, gdyż nasza szkoła lepiej się tam rozwija niż w Indiach. Widzisz, przyjacielu, nawet nauki dotyczące opanowania fizycznego ciała różnią się znacznie w rozmaitych szkołach. Nasza, to tak zwana szkoła tantry, której nauki w atmosferze Nepalu są lepiej rozumiane aniżeli w Indiach.

---

1 Cała ta rozmowa z jej niebywałymi twierdzeniami zdaje mi się dziś fantastycznym snem. Przelewając ją na papier zastanawiałem się wielokrotnie, czy nie opuścić jej w ogóle. Jak to czynię z wielu innymi rozmowami, nie podając ich w tej książce. Widzę już, ilu Europejczyków skrzywi usta w uśmiechu lekceważenia dla azjatyckich przesądów... Jeśli decyduję się przytoczyć tę rozmowę – opieram się na rozumniejszym sądzie niż mój własny.

Brahma milknie. Domyślam się, że myśl jego uleciała ze czcią ku zagadkowej postaci jego mistrza. Ale jeśli te dziwy, które dziś usłyszałem, są bardziej rzeczywistością niż legendą, czyż nie moglibyśmy choćby w jednym błysku ujrzeć tego marzenia wieków: Człowiek długowieczny... Człowiek, zwycięzca śmierci?!...



Jeśli nie popędzę mego pióra, rozdział ten nigdy się nie skończy. Postaram się więc upamiętnić tu jeszcze tylko ostatnie chwile mej przyjaźni z Brahmą.

Noc hinduska zapada szybko, jakby w pośpiechu następowała na pięty wieczoru; nie ma tu tych godzin zmierzchu po zachodzie słońca jak w Europie. Ciemność spada na ogród i chatkę Brahmy prawie nagle. Zapala więc latarnię naftową i wiesza ją u sufitu. Znow siadamy. Staruszka usuwa się dyskretnie, zostawiając nas samych z mym studentem – tłumaczem. Zapach kadzidła napęlnia chatkę cichą i mistyczną atmosferą.

Smutne myśli o rozstaniu zawisają nade mną, staram się je obalić, jednak nadaremnie. Nie mogę wyrazić dokładnie temu człowiekowi poprzez nieznośną przegrodę tłumacza, co mam w sercu. O ile legendarne lub słuszne są fakty i dziwne teorie; jakie roztoczył przede mną, nie mogę tego osądzić, ale głęboko cenię jego gotowość podzielenia się wiedzą i dopuszczenia mnie do swego samotnego życia. Czułem wielokroć, jak serca nasze rozumiały się i odczuwały wzajemnie, wiem, jak blisko się żyły, i dziś dopiero rozumiem, czym było dlań przewyciężenie swej zwykłej rezerwy.

Próbuję tego wieczoru po raz ostatni, w nastroju bliskiego odjazdu, skłonić go do odsłonięcia mi czegoś z jego głębszych tajemnic.

– A czy gotów jesteś, przyjacielu, rzucić życie miejskie i oddalić się w jakieś ciche ustronie w górach czy dżungli, przynajmniej na parę lat samotności? – pyta mnie badawczo.

– Muszę się nad tym zastanowić, Brahmo.

– Czy gotów jesteś porzucić wszelką inną działalność, wszelką pracę, wyrzec się przyjemności i rozrywek, a poświęcić cały czas ćwiczeniom naszego systemu – i to nie przez parę miesięcy, tylko przez szereg lat?

– Nie sądzę. Nie, na to nie jestem jeszcze gotów. Może przyjdzie ten dzień, ale dziś – jeszcze nie...

– Jakże więc mógłbym prowadzić cię dalej? Nasza joga to rzecz zbyt wielka, zbyt poważna, by mogła stać się tylko sportem przyjemnym, uprawianym w wolnych od innej pracy godzinach.

Widzę, iż moje nadzieje zostania joginem rozwiewają się szybko. Z żalem stwierdzam, że cały ten system z jego wieloletnim i trudnym treningiem, jego surową i ascetyczną dyscypliną – nie jest dla mnie. Ale przecież istnieje coś więcej, i to bliższego memu sercu, niż ta władza nad fizycznym organizmem. Dzielę się tą myślą z moim przyjacielem.

– Brahmo, te moce waszej jogi są cudowne, przyciągają mnie i fascynują; może nadejdzie dzień, gdy będę mógł głębiej poświęcić się tej nauce, ale powiedz mi, czy mogą one dać trwałe szczęście? Czy nie istnieje w jodze jeszcze coś subtelniejszego? Czy rozumiesz mnie? Może źle to wyrażam.

Brahma potrząsa głową.

– Rozumiem doskonale.

I obaj śmiejemy się, po czym mówi powoli:

– Widzisz, nasze księgi mówią, iż człowiek rozumny będzie robił ćwiczenia naszej jogi razem z ćwiczeniami opanowania umysłu. Można śmiało powiedzieć, że pierwsze przygotowują drogę i ułatwiają drugie. Gdy bóg Siwa powierzył naszym najdawniejszym kierownikom zasady naszego systemu, rzekł im jednocześnie, że jego cel ostateczny nie będzie bynajmniej fizyczny; że zdobycie władzy nad ciałem musi być uważane tylko za krok do opanowania umysłu, a to znów jest jeno drogą do duchowej doskonałości. A więc system nasz posługuje się tym, co jest tu widzialne i najbliższe, tj. naszym organizmem, ale tylko jako środkiem do sięgnięcia w duchowość. Mój mistrz też powtarzał mi: „Najpierw przejdź cały kurs fizycznego opanowania ciała, a wtedy możesz się wziąć do pracy nad opanowaniem myśli i zbliżyć się do Nauki Królewskiej.<sup>1</sup> Trzeba pamiętać, że ciało opanowane właściwie przestaje być przeszkodą dla umysłu; nieliczni tylko mogą się pogrążyć od razu w trudną pracę nad myślą. Jeśli jednak ktoś czuje to pragnienie i potrzebę, nie przeszkadzamy i nie odradzamy mu, gdyż oznacza to, iż jest to jego droga.

– Więc jest to joga czysto myślowa?

– Tak jest. Są to ćwiczenia, których celem jest uczynić umysł nasz jakby stałym, nieruchomym światłem i wówczas zwrócić to światło w głąb ku duchowi.

---

1 Radża-joga.

- A jak można zacząć takie ćwiczenia?
- Do tego również potrzebny jest nauczyciel.
- Gdzie go szukać?

Brahma wzrusza lekko ramionami.

- Bracie, ludzie, którym się chce jeść, będą szukali pożywienia, lecz ci, których głód silnie przycisnie, rzucają się w to poszukiwanie jak szaleńcy. Jeśli zapragniesz znaleźć mistrza z taką intensywnością, jak człowiek niemal ginący z głodu pragnie strawy, wówczas znajdziesz go na pewno. Każdy, kto szuka naprawdę, znaleźć musi, gdy odpowiednia chwila nadejdzie.

- Czy wierzysz w przeznaczenie w tej dziedzinie?

- Tak jest. Wierzę, bezwzględnie.

- Widziałem książki...

Brahma potrząsa głową i przerywa mi.

- Bez mistrza wszystkie książki są tylko martwym papierem. Nazywamy go „guru”, co znaczy: ten, który rozprasza ciemności. Człowiek, którego los jest tak szczęśliwy (stworzony jego własnymi wysiłkami zresztą), że pozwala mu znaleźć prawdziwego nauczyciela, prędko wchodzi w światłość, bowiem mistrz używa swych własnych wyższych mocy, by dopomóc uczniowi.

Brahma idzie do swej ławki z zapisanymi papierami i wraca z dużym arkuszem, który mi podaje. Widzę na nim wyrysowane w pewnym porządku kabalistyczne znaki, symbole specjalne i litery tamilskie, wypisane starannie czerwonym, zielonym i czarnym atramentem. Na samej górze widnieje symboliczny ornament, w którym znajdują słońce, księżyc i oczy. Zarówno ornamenty jak pismo okalają puste miejsce w środku.

- Wczoraj wieczorem poświęciłem parę godzin, by to wykończyć – mówi Brahma. – Gdy wrócisz do domu, weź którąś z moich fotografii i umieść w środku tej karty.

Tłumaczy mi dalej, że ilekroć wieczorem, przed spaniem, przez pięć minut skupię myśl na tej kartce, przyśni mi się żywo i wyraźnie.

- Nawet gdyby pięć tysięcy mil oddzielało nas tu w fizycznym świecie, zatrzymaj swą myśl tu na tym arkuszu, a dusze nasze spotkają się w nocy – twierdzi z przekonaniem. Tłumaczy, że takie nocne spotkania będą równie żywe i konkretne, jak były nasze spotkania dotychczasowe u niego lub u mnie.

To mi przypomniało, że walizy moje czekają gotowe, że za chwilę trzeba się pożegnać. Bóg wie, czy gdzie i kiedy spotkam go znowu?

Brahma mówi, iż nie wątpi, że cokolwiek nam jest przeznaczone, musi się wypełnić.

– Na wiosnę opuszczę Madras udając się do Tandźor, gdzie dwóch uczniów na mnie czeka. Co będzie potem – któż zgadnie. Wiesz, że spodziewam się, iż przyjdzie wkrótce tak oczekiwany dzień, gdy dostanę wezwanie od mego mistrza.

Następuje długie milczenie, po czym Brahma mówi cicho, prawie szeptem. Sądzę, że będzie to jakaś nowa tajemnica, i wołam tłumacza.

– Ostatniej nocy widziałem mego mistrza, mówił mi o tobie. Powiedział: „Twój przyjaciel sahib pragnie gorąco wiedzy. W swym zesłym wcieleniu był z nami, praktykował nauki jogi, ale nie naszej szkoły. A dziś przybył znów do Indostanu, choć białą ma skórę. Co wiedział ongi, dziś zapomniane zostało. Ale zapomnienie nie może trwać długo. Wszakże przypomnieć sobie swej dawnej wiedzy nie może, zanim mistrz nie otoczy go swą łaską; potrzeba mu tego duchowego dotknięcia, by przywrócić pamięć dawno posiadanej wiedzy. Powiedz mu, że wkrótce spotka mistrza. A wtedy światłość doń przyjdzie sama. Jest to pewnikiem. Powiedz mu, by się uspokoił. Nie opuści naszego kraju, zanim mistrza nie spotka. Wyrokiem przeznaczenia jest, że nie odejdzie od nas z pustymi rękami”.

Cofam się w osłupieniu. Słabe światło lampy pada na nas z góry; twarz mego młodego tłumacza wydaje się w jej żółtawym blasku pełna powagi i prawie trwożnej czci.

– Czyż nie mówiłeś mi, że twój nauczyciel znajduje się w odległym Nepalu? – pytam prawie z wyrzutem.

– Oczywiście. Przebywa tam wciąż.

– Jakże więc, na Boga, może przelecieć tysiąc dwieście mil w jedną noc?

Brahma śmieje się zagadkowo.

– Mistrz mój jest ze mną ciągle, choć ogromna przestrzeń całych Indii rozciąga się fizycznie między nami. Dostaję od niego wieści bez pośrednictwa listów i posłańców. Myśl jego chyżo leci poprzez przestrzeń, a ja umiem rozumieć.

– Co? Telepatia?

– Jeśli chcesz to tak nazwać!

Wstaję, gdyż czas już na mnie. Wychodzimy razem na naszą ostatnią przechadzkę przy księżycu. Idziemy obok murów starej świątyni, księżyc prześwieca przez delikatne gałązki drzew. Zatrzymujemy się wreszcie pod grupą palm koło drogi, tu się już trzeba pożegnać.

Brahma mówi cicho:

– Wiesz, że mało rzeczy posiadam. To jest rzecz, którą cenię najbardziej. Weź ją.

Widzę, jak ściąga coś z lewej ręki i trzyma w prawej. Wyciąga ją ku mnie, a na otwartej dłoni błyszczy w świetle księżycy pierścień. Siedem drobnych, złotych pazurów trzyma okrągły zielony kamień o czerwonych żyłkach. Brahma kładzie mi go w rękę przy pożegnalnym uścisku. Naprzód staram się zwrócić nieoczekiwany dar, ale spotyka mnie tak zdecydowany sprzeciw, że muszę ulec.

– Dostałem go od człowieka o wielkiej mądrości, jogina, gdy kraj przebiegał w poszukiwaniu wiedzy. Teraz proszę, noś go ty.

Dziękuję i pytam pół żartem:

– Czy przyniesie mi szczęście?

– Nie, to nie jest możliwe. Ale posiada on wielką moc, czar jest bowiem w kamieniu, który dopomoże ci odnaleźć wielkich mędrców i zbudzić w tobie samym mistyczną, wewnętrzną siłę. Przekonasz się o tym sam. Noś go, gdy ci ona będzie potrzebna.

Ostatnie, serdeczne, przyjacielskie pożegnanie i każdy idzie swoją drogą.

Idę powoli z głową pełną tłoczących się myśli. Zastanawiam się nad niezwykłym posłaniem otrzymanym od mistrza Brahmy, het, z odległych Himalajów. Jest ono zbyt niezwykle, abym mógł je analizować. Zachowuję wobec tego faktu milczenie, choć sceptycyzm i wiara ścierają się wciąż we mnie, pomimo mej woli.

Spojrzenie me pada na złoty pierścień i pytam siebie, jakżeby mógł pierścień ten posiadać jakikolwiek wpływ na rzeczy wewnętrzne? Nie rozumiem, jak mógłby on wpływać na mnie czy też na innych w duchowych i myślowych sprawach. Wiara ta zakrawa na przesadę. A jednak Brahma jest tak niewzruszenie pewny jego niezwykłych właściwości. Czyż to możliwe? I czuję się prawie zmuszony rzec: „W tym przedziwnym kraju wszystko jest możliwe!” Ale intelekt rzuca się na pomoc i wznosi barykadę obronną przed dalszymi pytaniami.

Wpadam w stan głębokiego zamyślenia, z którego budzi mnie dotkliwe uderzenie w czoło. To wiotka sylwetka palmy wyrasta przede mną. Tysiące świetlików otacza ją tańczącymi gwiazdkami światła.

Na głębokim granacie nieba Wenus tak jasna i tak bliska zda się naszej ziemi. Niezmierny spokój otacza wszystko. I mnie ogarnia nieskończona, tajemna cisza. Nawet nietoperze, przelatujące od czasu do czasu, zdają się cichutko poruszać skrzydłami. Światło księżycy czarem pada na wszystko. Zbliżający się człowiek zdaje się duchem skrzydlatym. Staję na chwilę – niewymowny czar!

**W domu odlatuje mnie sen zupełnie. Dopiero nad ranem wir myśli  
znajduje ukojenie.**

# MĘDRZEC, KTÓRY NIGDY NIE MÓWI

Muszę przerwać chronologiczny charakter mej opowieści i cofnąć się nieco wstecz, nie chcąc opuścić znamienego i ciekawego spotkania.

Podczas mego pobytu w Madrasie nie ominałem żadnej sposobności, by dowiadywać się w kołach hinduskich o wybitnych joginów. Zwracałem się do sędziów i prawników, nauczycieli i kupców, nawet do kilku znacznych powag świata religijnego. Zaczepiałem zawodowych reporterów, spędziłem miłych parę godzin z przedstawicielami mego fachu. Odnalazłem dziennikarza, który zwierzył mi się, iż był gorącym zwolennikiem jogi w młodości i uczniem człowieka, którego do dziś dnia uważa za niezrównanego mistrza w nauce opanowania myśli. Na nieszczęście umarł dziesięć lat temu.

Uczeń jego jest przemiłym, wysoce wykształconym i inteligentnym Hindusem, nie umiał mi jednak wskazać, gdzie można dziś szukać prawdziwych mistrzów jogi.

Poza tym spotkałem się z wielu legendami, bajkami, a nawet zgoła nonsensownymi opowieściami. Natknąłem się wprawdzie na jednego świątobliwego człowieka, którego chrystusowa twarz i szata byłyby najżywszą sensacją wśród prozaicznych ulic Londynu, ale ten mi powiedział, że podobnie jak ja, wędruje po świecie w poszukiwaniu wyższego życia. Opuścił ładny majątek ziemski, by zostać bezdomnym wędrowcem, świętym żebrakiem. Gotów mi był ofiarować swą posiadłość pod warunkiem, że tam zamieszkam i będę służył ciemnym, cierpiącym masom ludu. Niestety sam jestem ciemnym, cierpiącym śmiertelnikiem. Jego hojny dar został przez kogoś innego przyjęty.

Pewnego dnia przyniesiono mi wiadomość o bardzo szanowanym joginie, mieszkającym o pół mili od Madrasu, mało jednak znanym, bo unikającym kontaktów z ludźmi. Ciekawość moja, żywo podniecona, zniewoliła mnie starać się o audiencję.

Domek, ukryty za bambusowym, wysokim płotem, stoi samotnie na kwadracie szczerego pola. Towarzysz mój tłumacz mówi: „O ile



wiem, jogin ten jest większą część dnia pogrążony w medytacji tak głębokiej, że podobna jest do transu. Nie sędzę, aby nas usłyszał, gdybyśmy zaczęli wołać na niego lub walić w bramę, a poza tym – nie byłoby to delikatnie”.

Brama jest istotnie mocno zamknięta. Nikogo nie widać. Pustka zupełna. Obchodzimy płot dokoła, zastanawiając się, jak dostać się do wnętrza. Cofamy się na przylegające pole rozglądając się, wreszcie spotykamy chłopaka, który wie, jaką drogą dostać się do stróża, sprawującego rolę służącego. Jeszcze parę okrażeń i jesteśmy na miejscu. Jest to płatny stróż. Żona jego i gromada dzieci wysypuje się z chaty i przygląda się nam ciekawie. Przedstawiamy stróżowi cel naszego przybycia, ale odmawia nam kategorycznie twierdząc, że jogin nigdy nikogo nie przyjmuje, że prowadzi życie zupełnie zamknięte i pustelnicze; pogrążony wciąż w medytacji, byłby wysoce niezadowolony, gdyby ktokolwiek mu ją przerwał, wstęp wszelkim odpowiedzialnym jest więc najsurowiej wzbroniony.

Proszę o uczynienie dla mnie wyjątku, ale stróż jest nieubłagany. Towarzysz mój dalej przekonywa go energicznie, wreszcie grozi policją – oczywiście niesłusznie i bezpodstawnie

– ale i ja go podtrzymuję, zamieniając z nim porozumiewawcze spojrzenie, wreszcie obiecuję duży napiwek. Stróż w końcu ulega i przynosi klucze. Towarzysz mój zauważa, że gdyby to był uczeń jogina, a nie płatny służący, nie poszłoby nam tak łatwo, gdyż ani groźby, ani największe napiwki nie zdołałyby go wzruszyć.

Wracamy do bramy wejściowej, którą dozorca otwiera. Informuje nas, że jogin nic nie posiada, nawet klucza własnego, toteż musi zamykać go od zewnątrz, aż do czasu swego powrotu. Mędrzec cały dzień pogrążony jest w transie, wieczorem spożywa trochę owoców, orzechów i kubek mleka. Jednak niejednokrotnie zdarzało się, że wszystko pozostawało nietknięte do następnego dnia. Czasem o zmierzchu jogin wychodzi ze swej zagrody. Przechadzka po polach otaczających jest jedynym urozmaiceniem jego pustelniczego życia.

Przechodzimy przez podwórze i znajdujemy się przed nowym, współczesnym domkiem, zbudowanym solidnie z kamienia, o drewnianych, malowanych słupkach. Stróż dobywa drugiego klucza i otwiera ciężkie drzwi. Wyrażam zdziwienie, po co tyle zamków i ostrożności; czyż nie słyszeliśmy przed chwilą, że mędrzec nic nie posiada? Dozorca wyjaśnia: jogin mieszkał poprzednio w tym domu bez żadnych bram, zamknięć i ochron, aż pewnego dnia jakiś pijak skorzystał z tego i wtargnąwszy do mieszkania, rzucił się na bezbronnego. Obrzucił go stekiem plugawych słów, wytargał za

brodę, pobił kijem i nie wiadomo, jakby się to skończyło, gdyby hałas nie zwrócił uwagi kilku chłopców, grających na polu w piłkę. Pośpieszyli do domku, obronili jogina, a jeden z nich pobiegł z wiadomością do pobliskich domostw. Wkrótce zebrała się znaczna gromada ludzi oburzonych do żywego na pijaka, który śmiał podnieść rękę na świętego. Mało brakowało do energicznego samosądu nad złoczyńcą.

Wówczas jogin, który zachował całkowity spokój i milczenie, zareagował i napisał następujące słowa: „Jeśli uczynicie krzywdę temu człowiekowi, tym samym mnie ją uczynicie; kto jego uderzy, mnie uderzy. Niech odejdzie w spokoju, ja mu przebaczyłem”.

Słowa jogina były rozkazem i prawem dla wszystkich, więc usłuchano, choć niezbyt chętnie, i puszczono pijaka bezkarnie.



Stróż zagląda do pokoju i ostrzega nas, byśmy zachowali zupełną ciszę, gdyż jogin jest w najgłębszym transie. Odsznurowawszy cicho obuwie, pozostawiam je na werandzie, zgodnie z nieodmiennym hinduskim zwyczajem. Schylając się dostrzegam mały, płaski kamień w ścianie, zapisany literami tamilskimi: „Pustelnia jogina, który nigdy nie mówi”, czyta mój towarzysz.

Wchodzimy cicho do jedyne go pokoju. Jest bardzo wysoki, obszerny i najskrupulatniej czysty. Pośrodku widzimy rodzaj wzniesienia marmurowego, przykrytego bogatym w rysunku dywanem perskim – na nim siedzi nieruchoma postać milczącego mędrca.

Wyobraźcie sobie pięknego człowieka o lśniącej, ciemnej skórze, w pozie wyprostowanej a swobodnej – poznaję natychmiast jedną z postaw, którą mi Brahma pokazywał jako podstawową w jodze – o długich włosach spływających na ramiona i okalających bogato piękną głowę, zastygłego nieruchomo jak posąg. Szyja, głowa i kręgosłup tworzą jedną prostą linię, ręce splecione swobodnie na kolanach. Muskły rozwinięte wspaniale, całe ciało tchnie mocą, zdrowiem i harmonią. Ma na sobie tylko wąską przepaskę.

Twarz niewzruszona. Obraz tryumfu człowieka nad życiem, przezwyciężenia wszelkich słabości i trosk, które dręczą nas, zwykłych śmiertelników. Prosty, grecki nos, usta lekko wygięte, jakby za chwilę miały się rozchylić w uśmiechu. Oczy szeroko otwarte, wpatrzone nieruchomo w dal. Cała postać – jak rzeźba wykuta w kamieniu.

Informowano mnie już wpierw, iż milczący mędrzec pograża się tak głęboko w koncentrację i jakiś inny stan istnienia, że ludzka

część jego natury jest jakby sparaliżowana czasowo i zupełnie nieświadoma swego otoczenia. Obserwuję go uważnie. Nie ulega wątpliwości, że jest to rodzaj kataleptycznego snu. Upiływają minuty i kwadranse, a on pozostaje równie nieruchomy.

Jestem pod wrażeniem jego oczu: czas uchodzi, ani jednego mrugnięcia. Nigdy dotąd nie widziałem człowieka wpatrzonego nieruchomo w dal przez dwie godziny bez najmniejszego poruszenia źrenicą ani powieką. Wkrótce dochodzę do wniosku, że te oczy, choć otwarte, są jakby zupełnie nie widzące. Myśl jego, jeśli w ogóle działa, to w każdym razie bez żadnego związku z widzialnym, otaczającym światem. Wszelkie władze organizmu zdają się uspione. Od czasu do czasu spada łza z oczu, widać wyraźnie, że nieruchomość gałek ocznych nie pozwala jej wypełnić swej zwykłej roli.

Zielona jaszczurka zesuwa się szybko z pułapu i przez dywan i nogę jogina przebiega na drugą stronę marmurowego wzniesienia. Noga pozostaje tak samo nieruchoma jak powierzchnia kamienia. Od czasu do czasu muchy siadają na twarzy jogina lub przechadzają się po skroni, lecz nie mogę dostrzec najmniejszej reakcji mięśni czy nerwów, jakby to była twarz z kamienia czy brązu.

Obserwuję oddech. Jest bardzo cichy, prawie niedostrzegalny, bezgłośny, a przecież równy i rytmiczny – jest on jedyną oznaką życia.

Czekając tak, przychodzi mi na myśl skorzystać z nieruchomości tej zadziwiającej postaci i sfotografować ją. Wyjmuję ostrożnie aparat i nastawiam obiektyw. Oświetlenie jest marne, postanawiam zrobić parę zdjęć z wytrzymaniem. Patrząc na zegarek, dwie godziny minęły. Ani jednego znaku, by jogin miał się wkrótce zbudzić ze swej koncentracji. Posągowa nieruchomość jego zadziwia mnie i zachwyca.

Gotów bym siedzieć tak cały dzień, byle doczekać się rozmowy z tym niezwykłym człowiekiem; ale stróż podchodzi do nas i szeptem namawia do opuszczenia pokoju, gdyż mała jest nadzieja, byśmy dziś mogli doczekać się końca koncentracji. Lepiej powrócić nazajutrz lub za kilka dni, może lepiej trafimy, choć oczywiście nic nam nie może obiecać.

Odchodzimy więc jakby po chwilowej porażce kierując się ku miastu. Zainteresowanie moje nie tylko nie osłabło, ale znacznie wzrosło.

Przez kilka następnych dni staram się zebrać trochę wiadomości o mędrca, który nigdy nie mówi. Nie jest to łatwe, muszę wyławiać

dane spośród wielu rozmów, zacząwszy od krzyżowych pytań i badań stróża, skończywszy na zasięgnięciu języka aż u inspektora policji. Tym sposobem odtwarzam ułamek historii jogina.

Przybył on w okolice Madrasu przed ośmiu laty. Nikt nie wiedział, kim jest ani skąd pochodzi. Zamieszkał na kawałku nieużytku przylegającego do jego dzisiejszego domku. Ciekawi, usiłujący dowiedzieć się coś o nim, nie otrzymywali odpowiedzi. Nie mówił z nikim, nie zwracał uwagi na żadne dźwięki ani osoby i nikt nie zdołał go skłonić do wymówienia jednego, choćby przygodnego słowa. Od czasu do czasu prosił o trochę stawy, trzymając w milczeniu swą miseczkę ze skorupy kokosowego orzecha.

Dzień w dzień siadywał wśród tego niemiłego otoczenia mimo zażartości nieubłaganej słonecznych promieni i ulew pory deszczowej, mimo kurzu i wszelakiego rodzaju owadów. Nie starał się nigdy o żadne schronienie ani osłonę, pozostawał zawsze tak samo pogodnie obojętny na wszelkie warunki zewnętrzne. Prócz wąskiej przepaski nic nie przykrywało jego ciała ni głowy. Nie zmieniał też nigdy swej postawy jogina.

Podmiejska okolica tak wielkiego miasta jak Madras była chyba najmniej odpowiednia dla pustelnika, który pragnął pograżać się w medytacji na otwartej dla każdego przestrzeni, niemal na widoku publicznym; jakże mało odpowiednie było to miejsce dla jakichkolwiek abstrakcyjnych rozmyślań! Być może w dawnych wiekach, w Indiach starożytnych zjednałoby to cześć i podziw, lecz dzisiejszy jogin tylko w dżungli, w zaciszach puszczy lub grot górskich, czy też w odosobnieniu swej celi znaleźć może odpowiednie warunki dla swych mistycznych koncentracji i ćwiczeń jogi.

Dlaczegoż więc ten dziwny człowiek wybrał dla swej pracy tak niewłaściwe miejsce? Pewne wysoce niemiłe zdarzenie miało dać wkrótce na to odpowiedź.

Pewnego dnia paru głupich wyrostków, włóczęgów, natrafiło przypadkiem na samotnego jogina i poczęło mu dokuczać. Codziennie o tej samej godzinie zaczynali go bombardować grudkami ziemi, kamykami, śmieciami, śmiejąc się przy tym i szydząc. Jogin pozostawał niewzruszony; nie zmieniając postawy, znosił cierpliwie wszelkie prześladowania, choć był dość silny, by łatwo sobie poradzić z całą gromadą. Nawet nie odezwał się do chłopców z wymówką – wiązał go bowiem ślub milczenia.

Nie wpłynęło to bynajmniej na niecnym młokosów, aż brutalnie ich figle odkrył ktoś z przechodniów i w oburzeniu, użalając się nad bezbronnością milczącego człowieka, zwrócił się o pomoc do policji.

Otrzymał ją rychło, uliczników rozpedzono uprzedzając, że spotka ich kara, gdyby się to powtórzyło.

Przy tej sposobności urzędnik policji chciał zebrać nieco danych o osobie nieznanego, lecz nie znalazł nikogo, kto by o nim coś wiedział. Zwrócił się wówczas bezpośrednio do jogina z zapytaniem, popierając je powagą i autorytetem prawa. Po długim wahaniu jogin napisał na tabliczce: „Jestem uczniem Marakajara. Mistrz mój rozkazał mi przebyć równiny i udać się na południe do Madrasu. Opisał mi miejsce i wytłumaczył, jak mam znaleźć to pole. Polecił mi osiedlić się tutaj i dalej ćwiczyć się w jodze, aż osiągnę w niej doskonałość. Dawno opuściłem życie światowe i świeckie. Pragnę tylko, aby mnie pozostawiono sobie samemu. Nie obchodzą mnie żadne sprawy Madrasu, o nic mi więcej nie chodzi, jak o możliwość podążania mą drogą duchowego rozwoju”.

Odpowiedź ta zadowoliła urzędnika. Zrozumiał, iż ma przed sobą prawdziwego fakira i to wyższego typu, obiecał dalszą opiekę i oddalił się, pozostawiając pustelnika w spokoju. Imię Marakajara nie było mu też nieznanne, był to bowiem słynny fakir mahometański, który niedawno zmarł.

„Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło”, głosi przysłowie. Dzięki temu niemiłemu zajściu o obecności jogina dowiedział się pewien nabożny obywatel Madrasu i pospieszył go odwiedzić. Najpierw prosił go o przeniesienie się do miasta, gdzie posiadał piękny dom, lecz nie zdoławszy przekonać pustelnika, który chciał pozostać do końca posłuszny woli swego mistrza, postanowił zbudować dlań domek na tym samym miejscu. Jogin zgodził się w nim zamieszkać i odtąd miał dach nad głową, chroniący go od deszczu i skwaru. Nie potrzebował też zebrać, gdyż jego nowy opiekun wynajął stróża, polecając mu zająć się pożywieniem świętego męża. Trudno wiedzieć, czy Marakajar, mistrz jego, przewidział takie zakończenie pierwotnych trudności posyłając swego ucznia na puste, podmiejskie pola madraskie.

Dowiedziałem się, że mędrzec, który nigdy nie mówi, nie posiada wcale uczniów. Nie szukał i nie przyjął dotąd żadnego. Jest jednym z tych samotników, którzy wolą żyć w zupełnym odosobnieniu dążąc jak najusilniej do własnego „wyzwolenia duchowego”. Jeśli ma ono jakąś wartość, można by taki stosunek nazwać egoistycznym, sądząc według naszego zachodniego wartościowania. A jednak, gdy pomyślimy nad głębokim współczuciem jogina dla pijaka, jak i nad niechęcią do jakiegokolwiek reagowania przeciw prześladowającym go

wyrostkom, czyż możliwość samolubstwa w nim nie wyda się nam nieco wątpliwą?



W parę dni później ponawiam swą prośbę dostania się do jogina w towarzystwie dwóch osób: jedna z nich to tłumacz, druga to mój przyjaciel Brahma, którego zwa „Anachoretą znad rzeki Adiaru”. Nie lubi on miasta i zazwyczaj unika, ale gdym mu opowiedział o celu mej wycieczki i poprosił go, by mi towarzyszył, zgodził się chętnie.

U wejścia spotykamy jeszcze jednego gościa, który zostawiwszy samochód na polu, przyszedł piechotą, z tym samym, co i my pragnieniem ujrzenia milczącego świętego. Mówi mi, iż jest bratem królowej Gadwalu, małego państewka zależnego od Nizama Hajderabadu, że pomaga również w utrzymaniu pustelni, a przybywszy na dni parę do Madrasu pragnie oddać cześć joginowi i otrzymać jego błogosławieństwo. Jak potężnym ono być może, dowiaduję się z dalszej opowieści księcia. Oto jednej z dam dworu królowej Gadwalu zachorowało ciężko i nieuleczalnie dziecko. Usłyszawszy przypadkiem o milczącym mędrцу, postanowiła jechać do Madrasu i błagać go o błogosławieństwo dla swego synka. Uzyskuje je i od tej chwili dziecko poprawia się szybko i niemal cudownie. Królowa widząc to jedzie również do Madrasu. Pragnie złożyć jakąś ofiarę, prosi jogina o przyjęcie szkatułki z pieniędzmi, lecz ten odmawia stanowczo, a gdy królowa błaga i nastaje, pisze wreszcie, iż może użyć tych pieniędzy na wzniesienie płotu wokół pustelni. Stąd wysokie ogrodzenie bambusowe, które zwróciło moją uwagę.

Wchodzimy, wpuszczeni znów przez stróża, i zastajemy jogina w tej samej pozycji, pogrążonego w równie głębokiej koncentracji jak za pierwszą moją bytnością.

Siadamy cicho na podłodze i czekamy cierpliwie patrząc na wysoką, majestatyczną postać na marmurowym wzniesieniu. W połowie drugiej godziny pierwsze słabe oznaki powrotu do świadomości dają się zauważyć: oddech staje się głębszy i dosłyszalny, powieki drgają, gałki oczu wywracają się zastraszająco do góry, aż widać tylko białka, po czym powracają spokojnie do normy. Lekki dreszcz przechodzi po jego ciele.

W pięć minut potem wyraz oczu o tyle się zmienia, że spostrzegamy, iż jogin powrócił do świadomości i zdaje sobie sprawę ze swego otoczenia. Patrzy uważnie i badawczo na mego tłumacza, potem

obraca się szybko i przygląda Brahmie i księciu, po czym skierowuje wzrok ku mnie.

Korzystam z tego i kładę przed nim ćwiartkę papieru i ołówek. Waha się chwilę, wreszcie bierze ołówek i pisze dużymi literami po tamilsku: „Kto tu przychodził przed kilku dniami i próbował fotografować?”

Muszę się przyznać. A właściwie cały mój wysiłek poszedł na marne, wszystkie zdjęcia były niedoświetlone.

Jogin pisze znów: „Jeśli będziesz kiedykolwiek jeszcze odwiedzał joginów i zastaniesz ich pogrążonych w głębokiej koncentracji – nie przeszkadzaj im nigdy podobnymi czynnościami. Nie czyn nic, co mogłoby przerwać nagle ich medytację, gdyż może to być niebezpieczne i mieć fatalne skutki dla nich, a na ciebie może ściągnąć klątwę. W tym wypadku, co do mnie, nie miało to żadnego znaczenia, ale chcę cię przestrzec, gdybyś chciał innych joginów odwiedzać”.

Zdaje się, iż przerywanie samotności tych świętych ludzi jest uważane za rodzaj świętokradztwa. Wyrażam żal z powodu mego czynu.

Teraz brat królowej Gadwału wyraża swą cześć i oddanie mędrcom, a gdy kończy mówić, zdobywam się na odwagę wyrażenia, jak bardzo mnie interesuje starożytna wiedza Indii. Dodaję, iż słyszałem po tamtej stronie oceanu, że Indie posiadają jeszcze niezliczonych mędrców o niezwykłych osiągnięciach w jodze. Pragnę ich odszukać i poznać, czy nie może mi udzielić nieco światła?

Pustelnik pozostaje nieporuszony i posagowy, najmniejszy wyraz twarzy nie zdradza, iż pytanie moje doszło do jego świadomości. Tak przechodzi prawie dziesięć minut. Poczynam się obawiać, żem pytał daremnie. Może uważa przedstawiciela materialistycznego Zachodu za niezdolnego do przyjęcia choćby odrobiny wiedzy? A może moja niedorzeczna impertynencja z aparatem obraziła go? Czyż nie chcę zbyt dużo od tego pustelnika, przedstawiciela dziwnego gatunku samotników, oczekując przerwania jego milczenia dla jakiegoś obcego przybysza, członka rasy niewiernych? I żal mnie ogarnia.

Moje uczucie rozczarowania jest jednak przedwczesne. Jogin bierze ołówek i kreśli coś na kartce. Gdy skończył, pochylam się i przysuwam ją tłumaczowi.

– A cóż jest do rozumienia? – czyta powoli, gdyż litery są trudne do odcyfrowania.

– Świat jest pełen zagadek i problemów – odpowiadam nieco stropiony.

Wydaje mi się, że lekko drwiący uśmiech pojawia się na twarzy jogina.

– Nie rozumiejąc nawet swej własnej istoty, jakże można chcieć zrozumieć świat? – pisze znów.

Patrzy mi teraz prosto w oczy. Czuję, iż za tym spokojnym spojrzeniem kryje się jakaś głęboka wiedza, jakieś skarby tajemne, nieubłagane chronione. Nie mogę się oprzeć dziwnemu wrażeniu, które mnie przenika.

– A jednak niepokoją mnie one i męczą – to wszystko, co mogę wykrztusić.

– Dlaczegoż więc, na podobieństwo pszczoły, krążysz wysysając miód wiedzy po kropelce, gdy ogromna masa czystego miodu czeka na ciebie?

Odpowiedź ta przypomina mi męki Tantala, tj. nadzieję daremną; wystarczyłaby może dla wschodniego umysłu. Mnie jej mistyczna nieokreśloność podoba się jako poezja, lecz nie zadowala bynajmniej w tym, co jest szukaniem wyjaśnienia zawiłych zagadnień życia.

– A gdzież go szukać należy? – pytam dalej.

– Szukaj swej własnej jaźni, a znajdziesz Prawdę, która tai się w niej głęboko ukryta – brzmi odpowiedź.

– Ależ, znajduję w sobie tylko pustkę niewiedzy!

– Niewiedza istnieje tylko w twej myśli – pisze znów lakonicznie.

– Wybacz, mistrzu, lecz odpowiedzi twe nie rozjaśniają mi nic, raczej w dalszą pograżają niewiedzę!

Jogin uśmiecha się nad mą śmiałością. Waha się chwilę, podnosi brwi jakby w zastanowieniu i pisze:

– Twoja obecna niewiedza jest tylko rezultatem twej myśli. Teraz musisz myśleć inaczej wracając w mądrość, która jest tym samym, co rozumienie siebie. Myśl jest jak wóz przez woły ciągniony, a wiozący człowieka w ciemności tunelu górskiego. Zawróć go, a znów znajdziesz się w światłości.

Zastanawiam się chwilę nad dziwnymi słowami, staram się przeżuć je, lecz jeszcze mało rozumiem. Widząc to jogin znów sięga po papier, chwilę trzyma w zamyśleniu ołówki i dodaje:

– Owo cofanie myśli wstecz jest najwyższą jogą. Rozumiesz teraz?

Słabiutkie światełko zaczyna mi świtać. Czuję, że gdybym miał dość czasu, by zastanowić się głębiej, zrozumielibyśmy się na pewno, nie chcę więc nalegać dalej i prosić wciąż o jaśniejsze wytłumaczenie.

Tak się zapatrzyłem na jogina, iż nie zwróciłem uwagi, że przybył nowy gość, który skorzystał z otwartej bramy i przyłączył się do



grupy siedzących. Zauważyłem go dopiero, gdy mi szepnął do samego niemal ucha – siadł bowiem tuż za mną – dziwną uwagę. Właśnie zastanawiałem się nad sformułowaniem odpowiedzi na ostatnie słowa jogina z wyrażeniem pewnego żalu, że są one tak zagadkowe, symboliczne, gdy dochodzą mnie ciche słowa w doskonałym angielskim języku:

– Mój mistrz może panu dać odpowiedź, której pan szuka.

Odwracam się i przyglądam intruzowi. Ma on nie więcej nad czterdzieści lat, odziany w pomarańczową szatę wędrownego jogina. Dobrze zbudowany, o szerokich ramionach, skórze jak metal połyskującej, silnej i pięknej postaci. Nos cienki, wyrazisty, z dużym garbem jak u papugi, oczy niewielkie, a pełne wesela i śmiechu. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami prawie obok mnie i uśmiecha się, pokazując wszystkie zęby, ilekroć oczy nasze się spotkają.

Nie mogę popełnić takiej niedelikatności, by wchodzić tu w przygodną rozmowę z jakimś obcym przybyszem, toteż zwracam się znów ku pustelnikowi. Nowe pytanie powstaje w mym umyśle – być może jest ono zbyt śmiałe lub nawet bezczelne, ale ryzykuję:

– Mistrzu, świat tak bardzo potrzebuje pomocy, czy słuszne jest, by mędrcy tacy jak ty byli dlań zupełnie straceni, zamknięci w samotności i odosobnieniu?

Zagadkowy, nie pozbawiony ironii wyraz pojawia się na posągowo spokojnej twarzy.

– Synu, jeśli nie znasz nawet siebie, jakże mógłbyś się kusić o rozumienie mnie? Nad sprawami ducha nie da się dyskutować. Staraj się wejść w głąb siebie przez praktykę jogi. Musisz pracować rzetelnie, a wtedy wszystkie twe problemy i zagadnienia rozwiążą się same przez się.

Jeszcze raz zdobywam się na wyzwanie go:

– Świat potrzebuje głębszej wiedzy, więcej światła; pragnę znaleźć je i podzielić się. Co mam czynić?

– Gdy poznasz Prawdę, będziesz najdokładniej wiedział, co czynić należy, by najlepiej służyć ludzkości, i nie zbraknie ci na to sił ni mocy. Gdy kwiat jest miodem ciężarny, pszczoły same znajdują doń drogę. Kiedy człowiek posiada duchową wiedzę i moc, nie potrzebuje iść szukać ludzi, gdyż sami garną się doń zewsząd. Poznawaj swą wewnętrzną istotę coraz głębiej, aż poznasz ją w pełni. Żadna inna nauka nie jest potrzebna. To jest jedyna rzecz, którą czynić należy.

Dodaje, że chce zakończyć już przyjęcie, by powrócić do swego stanu kontemplacji.

Proszę go jeszcze o ostatnie słowo.

Milczący mędrzec patrzy w dal, gdzieś ponad mą głowę, za chwilę pisze i przysuwa mi kartkę. Czytam:

– Rad jestem, żeś tu przyszedł. Przyjmij to jako moje wtajemniczenie.

Ledwie kończę czytać te słowa, gdy czuję dziwną energię przenikającą moje ciało. Wchodzi jakby przez kregostup, aż szyja tężeje, a głowa sama się podnosi. Potęga woli zdaje się we mnie wzmagać aż do najwyższego możliwego stopnia. Staję się nagle świadom jakiejś dynamicznej siły rozkazu, by zwyciężyć siebie, a ciało uczynić posłusznym woli, której jedynym celem – urzeczywistnienie najgłębszych ideałów. Czuję, że ideały te, to głos mej najlepszej istoty, że ona jedna może mi dać trwałe, nieprzemijające szczęście.

Przychodzi mi na myśl, że to mędrzec rzutuje we mnie jakiś niewidzialny, telepatyczny prąd. Czyż to możliwe, by raczył mi dozwolić wziąć na chwilę pewien udział w swych duchowych osiągnięciach?

Wzrok pustelnika znów nieruchomieje, wyraz nieobecności powraca, całe ciało zastyga w medytacyjnej postawie. Widzę wyraźnie, iż cofa całą swą uwagę od zewnętrżności w głąbię, zapewne daleko poza intelekt, że pogrąża się w bezdnie świadomości, do której większą przywiązuje wagę aniżeli do tego widzialnego świata.

Czyż jest więc prawdziwym joginem? Czy pochłania go odkrywanie wewnętrznych tajemnic, które – kto wie – może jest z pożytkiem dla całej ludzkości? Któż zdoła rzec: nie!?

Gdy wychodzimy z Brahumą na pole, zwraca się on do mnie:

– Wiesz, że jogin ten osiągnął już bardzo wysoki stan, choć jeszcze nie ostateczny cel. Posiada wiele okultystycznych darów i potęg, ale więcej mu chodzi o coraz większą doskonałość duchową. Przypisuję jego świetny fizyczny stan praktykowaniu przez czas dłuższy hatha jogi, choć zauważyłem dziś, że uczynił znaczne postępy w jodze panowania nad myślą. Znam go od dawna.

– Odkąd?

– Odnalazłem go przed paru laty, gdy żył na otwartym polu, bez żadnego schronienia. Poznałem w nim od razu jogina, idącego tą samą co i ja drogą. Powiedział mi raz, oczywiście piśmiennie, że był dawniej w armii, ale pod koniec swej służby, znużony życiem świeckim, zapragnął całkowitej samotności. Wówczas to spotkał słynnego fakira Marakajara i został jego uczniem.

Idziemy dalej w milczeniu przez pola aż do pełnego kurzu gościńca. Nic nie wspominam o swym nieoczekiwanym i dziwnym przeżyciu doznanym przed opuszczeniem pustelnika, gdyż chcę wmyśleć się w nie i zagłębić, póki jest jeszcze tak świeże, że czuję je niemal we wszystkich mych członkach.

Nie widziałem mędrca więcej. Nie chce, bym przerywał ciszę jego pustelniczego życia, więc muszę szanować jego wolę i pozostawić go milczeniu i samotnym medytacjom, otoczonego nieprzeniknioną tajemnicą. Nie pragnie zakładać szkoły ani gromadzić uczniów, zdaje się, iż woli przejść przez życie nikomu nieznany. Nie ma nic do dodania do tego, co mi powiedział, a przecież rozmowa dla rozmowy jako cel sam w sobie, w przeciwieństwie do Zachodu, który się w tym lubuje, tu nie istnieje.

# Z DUCHOWYM KIEROWNIKIEM POŁUDNIOWYCH INDII

Nie doszliśmy jeszcze do końca drogi wiodącej do Madrasu, gdy ktoś stanął przy mnie. Odwracam się – to jogin w szafranowej szacie, który przemówił do mnie w domku pustelnika. Spojrzenia nasze spotykają się, darzy mnie znów uśmiechem od ucha do ucha, a oczy przy tym zwężają mu się i błyszczą.

– Chcesz mówić ze mną? – pytam.

– Tak jest – odpowiada szybko, ze świetnym akcentem. – Czy mogę zapytać, co pan robi w naszym kraju? Waham się przed tak obcesowym zapytaniem i daję wymijającą odpowiedź.

– Podróżuję, zwiedzam...

– A czy nie interesują pana nasi święci i joginowie?

– Tak, trochę.

– Ja właśnie jestem joginem, proszę pana.

– Od jak dawna?

– Od trzech lat, proszę pana.

– Nie robisz wcale wrażenia ascety, tak sprawnie i dzielnie wyglądasz.

– Z dumą staje na bacność, a że jest boso, wyobrażam sobie tylko dźwięk ostróg.

– Byłem przez siedem lat żołnierzem Jego Królewskiej Mości.

– Naprawdę?!

– Tak jest, proszę pana. Służyłem w armii indyjskiej podczas kampanii w Mezopotamii. Po wojnie przydzielono mnie do wydziału rachunkowego dzięki mej wybitnej inteligencji.

Muszę się uśmiechnąć z tej naiwnej przechwałki.

– Opuściłem wojsko z powodu trudności rodzinnych; przeszedłem też okres bardzo ciężki, niemal rozpaczliwy, to mnie skłoniło do zwrócenia się ku duchowości i wstąpienia na drogę jogi!

Podaję mu swą kartę wizytową:

– Może powiemy sobie swoje imiona?

– Moje imię jest Subrahmanja, a imię moje kastowe Aijar – mówi szybko.

– Otóż, panie Subrahmanjo, chciałbym mieć wytłumaczenie słów rzuconych mi szeptem w domu pustelnika.

– Ja właśnie na to tylko czekam, by je panu wyjaśnić. Niech pan się zwróci ze swym pytaniem do mego mistrza; on jest człowiekiem największej mądrości w całych Indiach, większej nawet aniżeli joginowie.

– Tak? A czy pan zna całe Indie? Czy spotkał pan wszystkich joginów, że może pan tak twierdzić?

– Spotykałem wielu, gdyż znam Indie od przylądka Komoryn aż po Himalaje.

– I co?

– Panie, nie spotkałem nikogo, kto by mu był podobny. Jest wielkim duchem. Musi go pan poznać.

– Dlaczego?

– Gdyż on to skierował mnie do pana! I jego pomoc przywiodła pana do Indii.

Ten przesadny wykrzyknik wydaje mi się niepoważny i cofam się nieco w siebie. Przestraszają mnie zawsze takie przesadne retoryczne zwroty osób egzaltowanych, a mój rozmówca zdaje mi się być typem emocjonalnym posuniętym aż do egzaltacji. Zdradzają to jego ruchy, głos, wygląd i cała atmosfera wokół niego.

– Nie rozumiem – odpowiadam zimno.

Tłumaczy dalej:

– Spotkałem go osiem miesięcy temu. Przez pięć wolno mi było być przy nim, a potem posłano mnie znów w zwykłą wędrowkę. Nie sądzę, aby pan mógł spotkać drugiego takiego człowieka; jego duchowy rozwój jest tak wielki, że odpowiada on na nie wypowiedziane pytania, na najtajniejsze myśli. Wystarczy pobyc z nim krótki czas, by pojąć, jak wysoko stoi.

– A czy jest pan pewien, że przyjąłby mnie chętnie?

– Ależ naturalnie! Wszak to on posłał mnie do pana.

– Gdzie on przebywa?

– Na Arunaczali – Górze Świętego Płomienia.

– Gdzie to jest?

– W północnym Arkot, na południe od Madrasu. Będę panu służył za przewodnika. Niech pan się zgodzi pojechać ze mną. Mistrz mój rozproszy wszystkie wątpliwości, rozwiąże wszystkie zagadnienia, bowiem zna prawdę najwyższą.

– To brzmi istotnie ciekawie – mówię z pewną niechęcią – na nieszczęście jednak nie będę mógł go teraz odwiedzić. Walizy moje spakowane i wszystko przygotowane do podróży na północny wschód. Czekają mnie tam dwa ważne spotkania.

– Ależ to jest ważniejsze!

– Szkoda, spotkaliśmy się za późno. Wszystko już zarządziłem i nie mogę zmieniać. Wrócę po pewnym czasie na południe. Na razie musimy odłożyć tę podróż.

Jogin nie kryje swego szczerego zawodu.

– Omija pan ważną sposobność i...

Przewidując zbędny argument, przerywam mu dość szorstko:

– Muszę pana teraz pożegnać; w każdym razie – dziękuję.

– Nie, nie przyjmuję pańskiej odmowy – odpowiada z uporem. – Jutro wieczorem wrócę jeszcze do pana, miejmy nadzieję, że do tego czasu zmieni pan swe postanowienie.

Rozmowa nasza urywa się nagle. Patrzę na jego silną, zgrabną, oddalającą się postać w szafranowych fałdach szaty.

Gdy wracam do domu, poczynam czuć, iż możliwe jest, żem zblądził w rozpoznawaniu. Jeśli mistrz urzeczywistnia choć połowę z tego, co o nim mówi uczeń, to warto podjąć męczącą podróż na południe półwyspu. Ale tak mnie już znużyli ci egzaltowani wyznawcy. Śpiewają peany na cześć swych nauczycieli, a przy bliższym badaniu okazują się oni stokroć mniejsi i nie zadowolają krytycznych wymagań Zachodu. Przy tym tyle bezsennych nocy i męczących dni oddziało nieco na moje nerwy. Są one dziś słabsze, niż były. Może dlatego przypuszczenie, że podróż może dać tylko rozczarowanie, przestrasza mnie więcej, niż należało.

Jednak mimo wszelkich argumentów dziwne uczucie trwa; jakby instykt mówi mi, że jakaś głębsza przyczyna jest podstawą gorącej natarczywości jogina oraz wszystkiego, co o swym mistrzu mówił. Nie mogę się pozbyć jakby uczucia zawodu co do własnego sądu.



W czasie tiffinu, czyli popołudniowej herbaty, służący melduje mi gościa. Jest to kolega po fachu, pisarz Venkataramani.

Miałem znaczną ilość listów polecających do Indii. Większość z nich leży spokojnie na dnie mej walizy. Nie mam ochoty ich używać, mając jakieś bezpodstawne wrażenie – można je nazwać fantazją – że lepiej szukać szczęścia samemu próbując, co bogowie przyniosą. Użyłem tylko jednego listu w Bombaju jako wstępu do mych poszukiwań, a drugiego w Madrasie, gdyż zawierał i osobiste

wiadomości. Wizytę mego kolegi zawdzięczam właśnie temu drugiemu listowi. Jest on członkiem senatu uniwersyteckiego w Madrasie, ale jest bardziej znany jako utalentowany autor szkiców i powieści z życia wiejskiego. Jest też pierwszym pisarzem hinduskim w prowincji madraskiej, który, używając stale języka angielskiego, otrzymał nagrodę za zasługi na polu literackim w postaci rzeźbionej tarczy z kości słoniowej. Pisze delikatnym, wyszukany stylem, który mu zjednał uznanie Rabindranatha Tagorego w Indiach, a lorda Haldane'a w Anglii. Proza jego obfituje w piękne przenośnie, lecz wszystkie powieści mówią o nędzy życia zaniedbanej hinduskiej wsi.

Wchodzi właśnie do pokoju. Patrzą na jego wysoką, nieco pochyloną postać o małej głowie z niedużą kępką włosów spadającą na oczy, kryjące się za okularami – głębokie oczy myśliciela, idealisty i poety. Tai się w nich smutek nad cierpieniem tych tysięcy wieśniaków, których losy przeżywa i opisuje.

Bardzo prędko znajdujemy wspólne zainteresowania. Porównujemy nasze zdania o dziesiątkach zagadnień, załatwiamy się pogardliwie z polityką, kadzimy z zapalem przed ulubionymi autorami, aż nagle, w środku rozmowy, odczuwam potrzebę wyjaśnienia mu właściwego celu mej podróży. Mówię mu zupełnie otwarcie, co sobie postawiłem za zadanie. Pytam, czy nie zna prawdziwych joginów o konkretnych i sprawdzalnych osiągnięciach, uprzedzając przy tym, że nie interesują mnie bynajmniej prochem usmarowani asceci ani żonglujący fakirzy.

Pochyla głowę w zamyśleniu, wreszcie czyni gest przeczący.

– Indie nie są już dziś krajem takich ludzi. Wraz ze wzmagającym się materializmem w naszym kraju, jego moralnym upadkiem oraz zaszczepieniem nam tak zupełnie pozbawionej duchowości cywilizacji Zachodu ludzie, których pan szuka, wielcy mistrzowie jogi, znikli niemal wszyscy. Jednak wierzę mocno, że paru się jeszcze ukrywa w głębokich lasach i samotnych schronieniach, ale trzeba chyba całe życie poświęcić, by ich odnaleźć. Gdy moi ziomkowie Hindusi podejmują takie poszukiwania, muszą wędrować daleko i zapuszczać się głęboko w lasy i góry, o ile więc trudniejszym będzie to zadanie dla Europejczyka.

– Czyż więc nie wróży mi pan powodzenia?

– Trudno przewidzieć. Może pan ma specjalne szczęście.

– A czy nie słyszał pan o mistrzu, który zamieszkuje góry w północnym Arcot?

Zaprzecza gestem. Wracamy do tematów literackich. Proponuje papierosa, lecz kolega mój nie pali. Zaciągam się sam wonnym dymem tureckiego tytoniu i słucham, z jakim entuzjazmem mówi o zanikających ideałach prastarej kultury hinduskiej. Mówi o ideale prostoty życia, służenia społeczności, spokojnego rytmu istnienia i duchowych celów. Pragnąłby wymieść wszelkie pasożytnicze niedorzeczności, pleniące się jak narośle na ciele hinduskiego społeczeństwa, ale najbardziej go obchodzi zagadnienie, jak wybawić pół miliona hinduskich wiosek od roli ośrodków, zasilających najędźniejsze dzielnice wielkich, przemysłowych miast. Choć niebezpieczeństwo to nie zdaje się dziś jeszcze tak bliskie i realne, jego daleko widzące oczy i przenikliwość prorocza oraz pamięć historii uprzemysłowienia Zachodu widzi to już jako nieunikniony a prędki skutek dzisiejszych warunków. Opowiada mi, iż urodził się w majętności ziemskiej niedaleko jednej z najstarożytniejszych wsi południowych Indii i zawsze bardzo ubolewał nad kulturalnym upadkiem i straszliwą materialną nędzą, w jaką wpadły wsie hinduskie. Lubi tworzyć plany polepszenia losu tych prostych wieśniaków i nie chce być szczęśliwy, dopóki oni są tak nieszczęśliwi.

Słucham spokojnie, usiłując zrozumieć jego punkt widzenia. Wreszcie podnosi się, a ja znów patrzę z przyjemnością na jego wysoką, szczupłą postać.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, ze zdziwieniem widzę go znów u siebie. Samochód jego zajężdza szybko w obawie, czy mnie jeszcze zastanie.

– Dostałem wczoraj późnym wieczorem wiadomość, że mój najbliższy opiekun przybędzie na jeden dzień do Czingleput – mówi zdyszany, a po zaczerpnięciu oddechu dodaje – Jego Świątobliwość Śri Siankara-Aczaria z Kumbakonam jest duchowym kierownikiem południowych Indii. Miliony czczą go jako jednego z nauczycieli od Boga posłanych. Swego czasu zainteresował się mną i zachęcał do pracy literackiej. Do niego zwracam się zawsze we wszystkich duchowych sprawach i słucham jego rad. Uważamy go za nauczyciela o wielkich duchowych osiągnięciach, lecz nie jest on joginem. Jest kierownikiem hinduizmu na południu, prawdziwym świętym i filozofem religijnym. Zna doskonale wszelkie duchowe ruchy i prądy naszych czasów, a dzięki temu, jak i dzięki własnemu wysokiemu rozwojowi musi znać wszystkich prawdziwych joginów w Indiach. Wiele jeździ od wioski do wioski i od miasta do miasta, a wszędzie spotyka joginów i świątobliwych mężów, którzy przycho-



dzą go pozdrawiać. Sądzę, że mógłby panu dać cenne wskazówki. Czy chciałby go pan zobaczyć?

– Ależ to niezmierna dobroć z pana strony! Owszem, chętnie pojedę. Jak daleko jest Czingleput?

– Trzydzieści pięć mil tylko. Ale...

– Co?

– Nie jestem pewien, czy Jego Świątobliwość pana przyjmie. Zrobię wszystko, co będzie w mej mocy, tylko...

– Jestem Europejczykiem! – kończę zdanie za niego. – Rozumiem.

– Czy chce pan ryzykować odmowę – pyta mnie z pewnym niepokojem.

– Oczywiście. Jedźmy więc.

Po lekkim śniadaniu wyruszamy do Czingleput. Zarzucam mego towarzysza pytaniami co do osoby kierownika, którego mam zobaczyć. Dowiaduję się, iż Śri Siankara prowadzi życie niemal ascetycznie proste i skromne tak w ubraniu jak w pożywieniu, ale godność jego wysokiego urzędu wymaga niemal królewskiego przepychu podczas jego licznych podróży. Towarzyszy mu wówczas orszak słoni i wielbłądów w bogatych rzędach, szereg panditów i uczniów, heroldów i wyznawców, cały duży obóz. Gdziekolwiek się udaje, przyciąga tłumy słuchaczy i odwiedzających ze wszystkich pobliskich miejscowości. Przychodzą po pomoc równie duchową, jak myślową i fizyczną, a nawet materialną. Bogaci składają mu codziennie tysiące rupii, ale sam, złożywszy ślub ubóstwa, nigdy z nich nie korzysta, używa ich natomiast na różne cele. Dopomaga ubogim, popiera instytucje wychowawcze, odnawia podupadłe świątynie i utrzymuje sztuczne zbiorniki wody deszczowej, tak użyteczne na pozbawionych rzek równinach południa. Lecz posłannictwo jego jest przede wszystkim duchowe. Wszędzie, gdzie się zatrzymuje, stara się natchnąć lud głębszym rozumieniem hinduizmu, usiłuje wznieść myśli i serca. Zazwyczaj przemawia w świątyni, a potem prywatnie odpowiada na setki pytań i zagadnień cisnącej się rzeszy.

Dowiaduję się, że Śri Siankara jest sześćdziesiątym szóstym religijnym nauczycielem noszącym to imię w prostej linii od pierwszego Siankary. Chcąc zrozumieć znaczenie jego urzędu i potęgi we właściwej perspektywie, muszę zadać memu towarzyszo- wi parę pytań co do założyciela tej linii, pierwszego Siankara – Aczarii. Żył on dwa tysiące lat temu i był jednym z największych mędrców braminizmu. Można go nazwać rozumowym mistykiem i pierwszorzędnym filozofem. Zastał hinduizm swoich czasów

w stanie chaosu, bezwładu i zanikającej żywotności duchowej. Był człowiekiem przeznaczenia, wielkiego posłannictwa. Mając osiemnaście lat zaczął pieszo wędrować przez całe Indie dyskutując z inteligencją ówczesną i z kapłanami, którzy gromadzili się w każdej miejscowości, przez którą przechodził. Wszędzie nauczał i kazał zyskując rzesze wyznawców. Miał tak bystry i potężny intelekt, iż nikt mu nie mógł dorównać; zwyciężał wszystkich, których spotykał. Przypadł mu w udziale rzadki, szczęśliwy los – był za życia uznany i czczony jako prorok.

Był człowiekiem szerokim i wszechstronnym. Choć głosił i walczył o główną religię swego kraju, nie wahał się zdecydowanie potępiać zgubnych praktyk, chroniących się pod jej płaszczkiem. Podkreślał wartość rzetelności i cnót osobistych przedstawiając, iż poleganie na rytuałach i ceremoniach, bez własnego wewnętrznego wysiłku, jest zgoła nonsensem. Złamał przepisy kastowe odprawiając ceremonię pogrzebową własnej matki, za co kapłani go wykleli. Nieustraszony był młody Siankara, godny następcą Buddy, tego pierwszego rewolucjonisty w dziedzinie kast. Nauczał, w przeciwieństwie do kapłanów, iż każdy człowiek bez względu na kastę, rasę czy barwę skóry może osiągnąć łaskę Boga i wiedzy, Prawdy najwyższej. Nie stworzył żadnej religii twierdząc, iż każda jest drogą do Boga, jeśli szczerze nią żyć i sięgać w jej mistyczną, wewnętrzną treść. Stworzył natomiast wszechstronny i subtelny system filozoficzny, udowadniający głoszoną naukę. Pozostawił bogatą spuściznę piśmienniczą, otaczaną do dziś czcią w każdym mieście Indii posiadającym ośrodek wiedzy duchowej. Jest ona niezmiernie ceniona przez braminów i panditów, choć, oczywiście, niejednokrotnie różnie interpretowana.

Siankara wędrował po całych Indiach w szafirowej szacie, o kiju pielgrzymim. Założył cztery wielkie instytucje, na czterech krańcach Indii, co było mądrą strategią. Jedna była w Badrinath, na północy, druga w Puri, na wschodzie. Siedzibę główną, wraz z klasztorem i świątynią, założył na południu, które do dziś dnia jest świętym świętych hinduizmu. Z instytucji tych, po każdej porze deszczowej wychodzili przygotowani i wyćwiczeni mnisi, niosąc po całym kraju naukę Siankary. Umarł on jako wielki człowiek w wieku wczesnym trzydziestu dwu lat, ale legenda głosi, że tylko znikł, a nie umarł.

Dowiaduję się też, że następcą jego, którego dzisiaj mam spotkać, prowadzi to samo dzieło, głosi tę samą naukę. Istnieje w tym względzie dziwna tradycja. Pierwszy Siankara przyrzekł swym uczniom, iż będzie przebywał z nimi w duchu i nad każdym ze swych

następców będzie czuwać działając przez niego. Podobna teoria jest przywiązana do wysokiego urzędu wielkiego lamy Tybetu.

Każdy z następców Siankary umierając wyznacza kogoś najgodniejszego, kto po nim ma objąć urząd. Zazwyczaj jest to bardzo młody chłopak, którym zajmują się odtąd najlepsi nauczyciele, pomagając mu przygotować się do jego wzniesłego posłannictwa. Nauka jego obejmuje nie tylko dziedzinę religijną i umysłową, ale też ćwiczenia jogi i praktyki medytacji. Dopiero gdy okres nauki jest na ukończeniu, oddaje się on aktywnemu służeniu ludowi i to na całe życie.

Ciekawa rzecz, że choć linia ta istnieje od wieków, nie było dotąd ani jednego z zajmujących ten urząd, który by nie miał najpiękniejszego, najczystszeo, najbardziej bezinteresownego charakteru.

Venkataramani dodaje parę opowieści o zadziwiających władzach, jakie obecnie Śri Siankara posiada. Opowiada o cudownym uzdrowieniu swego kuzyna, który z powodu ostrego reumatyzmu był prawie kaleką, od lat przykutym do łóżka. Śri Siankara, gdy go odwiedził, dotknął go tylko, a w przeciągu trzech godzin polepszenie było tak znaczne, iż mógł wstać; wkrótce wyzdrowiał zupełnie.

Twierdzi również, iż Jego Świątobliwość z łatwością czyta myśli ludzkie, w każdym razie Venkataramani wierzy w to całkowicie.



Wjeżdżamy do Czingleput gościńcem obrzeżonym palmami. Miasteczko całe to chaotyczny zbiór pobielanych domków, czerwonych dachów i wąskich uliczek. Wysiadamy i idziemy piechotą do centrum miasta, gdzie widać zbierające się tłumy. Za chwilę znajduję się w domu, w którym szereg sekretarzy załatwia olbrzymią korespondencję nadesłaną w ślad za Jego Świątobliwością z Kumbakonam. Czekam w pustym przedpokoju, gdy tymczasem Venkataramani posyła jednego z sekretarzy z kartką do Śri Siankary. Mija więcej niż pół godziny, zanim sekretarz wraca z odpowiedzią, iż nie będę mógł uzyskać audiencji. Jego Świątobliwość nie widzi dość poważnej przyczyny dla udzielenia jej Europejczykowi, gdy dwustu ludzi czeka już zapisanych i wielu z nich przyjechało z daleka umyślnie na noc, by zdobyć posłuchanie. Sekretarz przeprosza i tłumaczy. Przyjmuję odmowę filozoficznie, lecz Venkataramani twierdzi, iż skorzysta ze swych praw przyjaciela, postara się zobaczyć Jego Świątobliwość i sam przedstawi mi sprawę. Kilku obecnych zaczyna szemrać, gdy widzą, że chce przeniknąć w głąb

domu, poza kolejką. Po długich namowach i tłumaczeniach uzyskuje ich zgodę. Powraca ze zwycięskim uśmiechem:

– Jego Świątobliwość uczyni wyjątek i przyjmie pana za godzinę.

Idę powąłęsać się nieco wśród wąskich uliczek wiodących do głównej świątyni. Napotykam służebników prowadzących do studni szereg szarych słońi i dużych, ciemnych wielbłądów. Ktoś pokazuje mi wspaniałe zwierzę, na którym kierownik duchowy południowych Indii odbywa swe podróże. Istotnie, po królewsku podróżuje, wzniesiony wysoko ponad tłumem w małej, bogato przybranej lektyce na grzbiecie ogromnego słońia. Spokojne, wspaniałe zwierzę o dostojnych ruchach jest przykryte ozdobną, bogato złotem wyszywaną tkaniną. Kołysze się majestatycznie przechodząc koło mnie. Patrzę nań z żywą przyjemnością.

Pamiętając o odwiecznym zwyczaju, wymagającym ofiary z owoców, kwiatów czy słodczy przy odwiedzaniu czcigodnych osób, nabywam trochę pomarańcz i kwiatów, by złożyć je u stóp dostojnika.

W tłumie, otaczającym wejście tymczasowej rezydencji Jego Świątobliwości, zapominam o drugim zwyczaju, dopiero Venkataramani przypomina mi pośpiesznie:

– Obuwie!

Zdejmuję je szybko i zostawiam u wejścia na ulicy, ufając, iż mi nie zniknie do czasu, gdy wrócę.

Wchodzimy przez maleńkie drzwi do pustej sieni. W oddali, w samej głębi, widać oświetlony rodzaj alkowy, gdzie dostrzegam rysującą się w cieniu niską postać. Zbliżam się do niej, składam na ziemi me dary i nisko pochylam się w pokłonie powitalnym. Ceremonia ta ma dla mnie swe duże, artystyczne piękno poza głębszym wyrazem szacunku oraz niewinną, a przyjętą powszechnie kurtuazją. Wiem, iż Śri Siankara nie jest papieżem, gdyż to stanowisko nie istnieje w hinduizmie, ale jest nauczycielem duchowym i religijnym, dającym natchnienie nieprzeliczonym rzeszom. Całe południowe Indie skłaniają się przed nim uznając go za kierownika.



Patrzę nań w milczeniu. Niskiego wzrostu, w szafranowej szacie mniszej, wsparty na kiju żebraczym. Mówiono mi, że ma dopiero około czterdziestu lat, to też zadziwia mnie jego siwa głowa. Twarz szlachetna i piękna, o siwiźnie zarostu odbijającej od brązu oblicza. Zostanie ona zawsze w mej pamięci obrazem otoczonym czcią.

Nieuchwytna cecha, zwana przez Francuzów „spirituel”, maluje się na jego twarzy. Wyraz jej jest skromny i pełen słodczy. Wielkie czarne oczy niezmiernie spokojne i piękne. Nos krótki, prosty, klasycznie regularny. Nieduża broda nie może zasłonić uderzającej powagi ust. Twarz o tym wyrazie mogła należeć do któregoś ze świętych, których obecność łaską spływała na średniowieczne chrześcijaństwo, z tą różnicą, że tu jeszcze widać dużą moc intelektu. Sądzę, że nasz praktyczny Zachód nazwałby takie oczy marzycielskimi. A ja w dziwny, niewytłumaczony dla siebie sposób, czuję coś więcej niż marzenie w tych spokojnych, rozumnych źrenicach.

– Jego Świątobliwość była bardzo łaskawa wyznaczając mi przyjęcie – mówię jako wstęp.

Zwraca się do mego towarzysza pisarza i mówi coś w tamilijskim. Domyślam się z łatwością.

– Jego Świątobliwość rozumie doskonale angielski, lecz obawia się, że pan by nie rozumiał, gdyby sam zaczął mówić w tym języku, woli więc, bym tłumaczył jego odpowiedzi – mówi Venkataramani.

Pominę pierwszą część naszej rozmowy, gdyż dotyczyła bardziej mojej osoby niż jego. Pyta o me doświadczenia w Indiach. Interesują go wrażenia, jakie ludzie i instytucje jego kraju wywierają na cudzoziemcu. Odpowiadam zupełnie szczerze, chwając i krytykując swobodnie. Rozmowa kieruje się ku szerszym zagadnieniom, stwierdzam ze zdziwieniem, iż czyta regularnie gazety angielskie i ma dobre informacje o wszelkich wydarzeniach i ruchach na świecie. Zna nowinki westminsterskie, jest w pełni świadom, przez jak dotkliwe próby przechodzi w Europie niesforne dziecię, jakim jest demokracja.

Przypominam sobie wiarę mego kolegi, iż Śri Siankara posiada głęboki dar przewidywania; coś mnie korci, by go zapytać o przyszłość naszego świata.

– Czy polityczna i ekonomiczna sytuacja świata może ulec wkrótce poprawie, jak Wasza Świątobliwość myśli? – pytam.

– Trudno przypuszczać, by zmiana na lepsze dokonana się szybko. Proces to powolny i trudny. Narody całego świata co rok więcej wydają na narzędzia śmierci.

– Ale wszak dużo się dziś mówi o rozbrojeniu, czy to nie ma żadnego znaczenia?

– Nawet gdybyście zniszczyli wszystkie okręty wojenne i pozwolili zardzewieć armatom, jeszcze nie przeszkodzi to wojnie. Ludy nadal będą walczyć ze sobą, choćby miały kijów za broń używać!

– Cóż można zrobić, by temu przeszkodzić?

– Tylko duchowe zbliżenie, rozumienie się wzajemne między narodami, wyrównanie zbyt wielkich różnic między ubogim i bogatym może stworzyć prawdziwą, dobrą wolę, a więc przynieść istotny spokój i pomyślność.

– Ale to zdaje się być niezmiernie odległe. Niewesołe więc perspektywy mamy przed sobą.

Jego Świątobliwość zdaje się mocniej wspierać na swym kiju pielgrzymym, ręce jego zdają się aż ciężkie.

– Wszak jest Bóg – zauważa łagodnie.

– Jeśli w ogóle jest, zdaje się być bardzo od nas daleko – wybucham śmiałym protestem.

– Tylko miłość ma On dla ludzkości – brzmi cicha odpowiedź.

– Sądząc po wszystkim, co dziś widzimy, sądząc z nędzy, nieszczęścia i zła, ma dla nas tylko obojętność – mówię dalej impulsywnie i nie mogę uwolnić się od gorzkiej w głosie ironii.

Jego Świątobliwość patrzy na mnie tak dziwnie. Prawie natychmiast żałuję mych porywczych słów.

– Wzrok cierpliwego człowieka patrzy głębiej. Bóg użyje ludzkich narzędzi dla zrównoważenia sił, ułożenia spraw, gdy godzina właściwa nadejdzie. Niesnaski wśród narodów, moralna nędza ludzi i cierpienie milionów wywołać muszą jako reakcję pojawienie się jakiegoś wielkiego, przez Boga natchnionego człowieka, który przyjdzie z pomocą i ratunkiem. W tym znaczeniu każdy wiek ma swego zbawcę. Proces ten jest ściśle naukowy, działają tu prawa niezłomne jak w fizyce. Im większa nędza i materializm, spowodowane duchową ślepotą i niewiedzą, tym większy będzie człowiek, który powstanie, by dopomóc światu wyjść z matni.

– Czy Jego Świątobliwość wierzy, że ktoś wielki pojawi się i w naszych czasach?

– W naszym stuleciu – poprawia. – Bez wątpienia. Duchowy mrok jest tak głęboki, świat w tak wielkiej znajduje się w potrzebie, że wielki, natchniony Boży wysłaniec przyjść musi.

– Czy Jego Świątobliwość jest zdania, że ludzie coraz bardziej upadają?

– Nie, nie myślę tego – mówi z ogromną wyrozumiałością. – Wszak w każdym człowieku dusza Boska przebywa i musi go w końcu z powrotem do Boga przyprowadzić.

– Lecz w naszych miastach na Zachodzie istnieją złoczyńcy, którzy postępują tak, że można sądzić, iż szatan w nich mieszka – mówię myśląc o typie współczesnego, wyrafinowanego bandyty.

– Nie tyle należy ludzi potępiać, ile środowisko, w którym przychodzą na świat. Otoczenie i warunki zmuszają ich do stawiania się gorszymi niż właściwie są. Stosuje się to równie do Wschodu jak do Zachodu. Całe społeczeństwo trzeba nastroić na wyższą nutę. Materializmowi przeciwstawić idealizm. Nie ma innego trwałego środka na chorobę świata, nie ma innego ratunku na jego stan. Trudności, w których znajdują się dziś niemal wszystkie kraje, to męka, która je zmusi do przemiany, jak nieraz upadek czy klęska stają się punktami zwrotnymi, przelomami, kierującymi na nową drogę.

– Czy Wasza Świątobliwość chciałaby, aby ludzie wprowadzili moralne, duchowe zasady we wszystkie ziemskie i światowe sprawy?

– Tak jest! Nie jest to niemożliwe. Przeciwnie – jest to jedyna droga do osiągnięcia rezultatów, które w końcu zadowolą wszystkich i będą trwałe, nie znikną prędko. Gdyby na świecie było więcej ludzi, którzy urzeczywistnialiby w sobie światło duchowe, szerzyłyby się ono i zwyciężało prędzej. Indie, ku swej chwale, zawsze uznawały i szanowały swych wielkich, uduchowionych ludzi, choć może dziś nieco mniej niż w przeszłości. Gdyby wszystkie narody czyniły podobnie, gdyby przyjmowały kierownictwo duchowych dalekowidzów, cały świat łatwiej wyszedłby z matni, znalazłby prędzej prawdziwy pokój i wzrósł w dobrobyt.

Zauważyłem bez trudu, iż Śri Siankara nie poniża i nie krytykuje Zachodu, by wywyższyć Wschód, jak to czyniło wielu z jego ziomków. Przyznaje, iż każda półkula posiada swe zalety i wady specyficzne; a w ogólnym rachunku pewnie są one równe. Ufa, że następne pokolenie będzie mądrzejsze i zdoła połączyć najlepsze strony azjatyckiej i europejskiej kultury w wyższym, bardziej zharmonizowanym ładzie społecznym.

Przerywam ten temat i proszę o pozwolenie zadania kilku osobistych pytań. Otrzymuję je bez trudu.

– Od jak dawna Jego Świątobliwość nosi ten tytuł?

– Od 1907 r. Miałem wtedy zaledwie dwanaście lat. W cztery lata po mym naznaczeniu usunąłem się od świata i przebywałem w wiosce nad brzegami rzeki Kaweri (Cauvery). Oddawałem się tam studiom i medytacji przez trzy lata. Dopiero wówczas rozpocząłem swą pracę publiczną.

– Wasza Świątobliwość rzadko przebywa w swej głównej rezydencji w Kumbakonam?

– Tak, a to z tej przyczyny, że otrzymałem w 1918 r. zaproszenie do maharadzy Nepalu, przyjąłem je i odtąd powoli kieruję się ku jego państwu, na dalekiej północy. Ale przez wszystkie te lata posunąłem się zaledwie o kilkaset mil, gdyż tradycja mego urzędu wymaga, bym zatrzymywał się po drodze w każdym miasteczku i wsi, wszędzie, gdzie mnie zaproszą, jeśli nie jest to miejscowość zbyt odległa. Muszę mieć zawsze przemówienie w świątyni i przekazać trochę nauki i natchnienia mieszkańcom każdej z tych miejscowości.

Nie pytam już więcej. Teraz Jego Świątobliwość zapytuje mnie, kogo z joginów i świętych spotkałem dotąd w Indiach. Odpowiadam mu na to otwarcie:

– Pragnąłbym spotkać kogoś o wysokich osiągnięciach w jodze, kto mógłby mi dać jakieś konkretne tego dowody, zademonstrować mi swą moc. Wielu macie świętych, których stać tylko na jedno przemówienie więcej, gdy ich prosić o dowody. Czyż pragnę zbyt wiele?

Spokojne oczy patrzą wprost w moje.

Chwilę trwa milczenie. Śri Siankara w zamyśleniu gładzi brodę.

– Jeśli panu chodzi istotnie o wtajemniczenie w prawdziwą jogę wyższego typu, w takim razie nie za wiele pan chce. Szczeroci dążenia dopomoże panu, a siłę postanowienia widzę. W głębi pana zaczyna budzić się światło, które bez wątpienia doprowadzi pana do celu poszukiwań.

Nie jestem pewien, czym go dobrze zrozumiał.

– Dotychczas polegałem tylko na sobie i nikt nie był moim kierownikiem. Czyż nie mówią nawet niektórzy z waszych dawnych mędrców, że nie ma innego Boga ponad tego, który w naszej własnej duszy przebywa? – ryzykuję znów odważnie.

– Bóg jest wszędzie, jakże można Go ograniczyć do naszej duszy wyłącznie? Podtrzymuje On wszechświat i przebywa w całym wszechświecie.

Czuje, iż tracę podstawę, i odwracam rozmowę od tego na poły teologicznego tematu.

– Jaka droga byłaby dla mnie najpraktyczniejsza?

– Niech pan dalej podróżuje szukając. Gdy pan zakończy podróżę, niech pan przejrzy w myśli wszystkich joginów i świątobliwych mężów, których pan spotkał, i zatrzyma się przy tym z nich, który najbardziej do pana przemówił i największe zrobił wrażenie. Niech pan powróci do niego, a nie omieszka on pana przyjąć i udzielić mu swego wtajemniczenia.



Patrzę uważnie na jego jasny, spokojny profil i podziwiam szczególną jego pogodę.

– A jeśli żaden z nich dostatecznie do mnie nie przemówi? Co wtedy?

– Gdyby tak było, nie pozostanie panu nic innego, jak iść dalej samotnie, aż sam Bóg pana wtajemniczy. Niech pan medytuje regularnie, niech pan skupia uwagę na najwyższej duchowości z miłością w sercu. Niech pan myśli jak najczęściej o duszy, a pomoże to w odnalezieniu do niej drogi. Najlepszym czasem do medytacji jest wczesna godzina poranna, następnie godziny mroku; wszystko jest ciche o tym czasie i mniej przeszkadza w skupieniu.

Patrzy na mnie z życzliwością. Poczynam zazdrościć tego świętego spokoju, promieniującego z jego oblicza. Serce jego na pewno nie zaznało nigdy tych niszczących buntów, jakie zna moje. Rzucam impulsywne pytanie:

– A jeśli nie znajdę, czy wolno mi będzie wtedy zwrócić się znów i prosić Waszą Świątobliwość o pomoc?

Śri Siankara łagodnie zaprzecza ruchem głowy.

– Jestem na czele instytucji społecznej, czas mój do mnie nie należy. Obowiązki me wymagają całkowitości żądając poświęcenia całego mego czasu. Od wielu lat sypiam tylko trzy godziny na dobę. Jakżebym mógł przyjmować uczniów osobistych? Musi pan znaleźć mistrza, który może mu czas swój poświęcić.

– Ale ludzie mi powtarzają, że prawdziwi mistrzowie są dziś rzadkością. Europejcykowi tym trudniej ich odnaleźć.

Przytakuje ruchem głowy, lecz dodaje:

– Prawda istnieje, znaleźć ją można.

– A czy nie mogłaby mnie Wasza Świątobliwość skierować do takiego mistrza, który mógłby mi dać dowody istności i rzeczywistości wyższej jogi?

Odpowiedź przychodzi po długiej chwili skupionego milczenia.

– Mogę. Znam tylko dwóch mistrzów, którzy by mogli dać to, o co panu chodzi. Jeden z nich mieszka w Benaresie, ukryty w ogromnym domu, położonym niedostępnie wśród rozległych gruntów. Bardzo nieliczni znają doń dostęp, na pewno żaden Europejczyk dotąd nie mógł przeniknąć do jego samotni. Mógłbym pana posłać do niego, lecz nie jestem pewien, czy nie odmówiłby przyjęcia Europejcykowi.

– A drugi?... – uwaga moja jest napięta.

– Drugi mieszka dalej, na południu. Byłem raz u niego, wiem, że jest to prawdziwy mistrz. Niech pan tam jedzie.

– Któż to?

– Zważ go Mahariszi.<sup>1</sup> Przebywa na Arunaczali, Górze Świętego Płomienia. Znajduje się ona w północnym Arkot. Czy chciałby pan mieć dokładniejsze informacje, aby móc tam trafić?

Widzę nagle przed sobą joga w szafranowej szacie, który daremnie starał się mnie przekonać, bym udał się z nim do jego mistrza. Słyszę jego słowa: „Na Górze Świętego Płomienia”.

– Dziękuję najserdeczniej Waszej Świątobliwości, mam przewodnika, który pochodzi z tej miejscowości.

– Więc pojedzie pan?

Waham się.

– Przygotowałem wszystko do odjazdu na północ, chciałem jutro wyruszyć – mówię niepewnie.

– W takim razie mam jedną prośbę.

– Z radością.

– Proszę mi przyrzec, że pan nie opuści południa, zanim pan nie odwiedzi Maharisziego.

Czytam w jego oczach szczerą chęć dopomożenia mi. Przyrzekam chętnie. Dobry, serdeczny uśmiech pojawia się na jego twarzy.

– Niech pan będzie spokojny. Znajdzie pan to, czego pan szuka.

Dochodzą w tej chwili odgłosy tłumu zebranego na ulicy.

– Tyle cennego czasu Waszej Świątobliwości zająłem, przepraszam najmocniej! – tłumaczę się.

Powaga ust Śri Siankary łagodnieje w serdecznym wyrazie. Idzie ze mną do sieni i coś mówi o mnie do mego towarzysza. Przy drzwiach odwracam się i pochylam w pożegnalnym pokłoniu. Przywołuje mnie raz jeszcze skinieniem i mówi na rozstanie:

– Będiesz zawsze pamiętał o mnie, a ja zawsze będę pamiętał o tobie!

Z tymi zagadkowymi słowami odchodzę, żegnając tego ciekawego człowieka, którego całe życie od dzieciństwa Bogu było poświęcone. Jest on dostojnikiem nie dbającym w władzę, gdyż wyrzekł się i oddał w ofierze wszystko. Wszystko, cokolwiek mu dają, przekazuje zaraz innym, potrzebującym. Jego piękna, łagodna postać długo pozostanie żywą w mej pamięci.

Włóczę się jeszcze nieco po mieście aż do wieczora oglądając ślady starożytnego arcyzmu i piękna, i raz jeszcze przed odjazdem, chcąc z dali spojrzeć na Śri Siankarę, zachodzę do największej świątyni. Drobna, skromna postać w swej pomarańczowej szacie przemawia

1 Maha znaczy wielki, riszi – mędrzec, stąd nazwa: Wielki Mędrzec.

do ogromnego tłumu zastygłego w milczeniu. Nie rozumiem słów tamilskich, ale widzę i rozumiem dobrze, jak głębokie wywołują skupienie, jak przykuwają uwagę wszystkich obecnych, od intelektualisty bramina do wieśniaka analfabety. Nie wiem, lecz śmiem przypuszczać, że mówi o najgłębszych zagadnieniach w najprostszy sposób, gdyż taka jest jego natura. A jednak, choć zachwycam się pięknem jego duszy, zazdroszczę prostej wiary temu tłumowi. Wydaje mi się, że życie nie postawiło ich nigdy wobec głębokich zwątpień bez wyjścia. Bóg jest – i na tym wszystkie zagadnienia się kończą. Nie zdają się wiedzieć wcale, co znaczą mroczne noce duszy, gdy świat cały przedstawia się jako ponury teren dzikiej, zwierzęcej walki, gdy Bóg oddala się w cień niebytu, a nasze własne życie wydaje się nam jeno drobnym przesunięciem się po tym znikomym ułamku wszechświata, jakim jest nasza ziemia.

Wyjeżdżamy z Czingleput pod ciemnym granatem nieba usianym gwiazdami. Wsłuchuję się w majestatyczny poszum palm nad brzegiem rzeki w nagłym podmuchu wiatru. Towarzysz mój przerywa milczenie:

– Ma pan istotnie szczęście!

– A to czemu?

– Gdyż jest pan pierwszym Europejczykiem, któremu Jego Świątobliwość udzielił posłuchania.

– A więc...?

– To przyniesie panu jego szczególne błogosławieństwo!



Jest prawie północ, gdy wracam do domu. Jeszcze raz patrzę na bezmiar nieba i miliard płomyków gwiazdnych. Nigdzie w Europie nie widzi się ich tyle. Wchodzę powoli na werandę zapalając ręczną latarkę.

Z ciemności podnosi się wysoka postać i pozdrawia mnie z uśmiechem.

– Subrahmanja! – wołam zdumiony. – Co tu robicie?

Jogin śmieje się:

– Czyż nie obiecałem panu odwiedzić go jeszcze tego wieczora? – przypomina mi z lekkim wyrzutem.

– Ach prawda, oczywiście!

Wchodzimy do pokoju. Tu rzucam mu nagle:

– Mistrz mój nazywa się Mahariszi, tak?

Teraz na niego kolej stanąć w zdumieniu.

– Skąd pan wie? Kto mógł to panu powiedzieć?

– To wszystko jedno. Jutro obaj ruszamy do niego. Zmieniłem swoje plany.

– A to radosna wiadomość!

– Ale zabawię tam niedługo, parę dni za ledwie i ruszam dalej.

Zadaję mu jeszcze kilka pytań i w pół godziny niespełna, do cna zmęczony, rzucam się na łóżko. Subrahmanji wystarcza do snu kawałek maty rozestany na podłodze. Owija się w cienką bawełnianą tkaninę, która służy za materac, prześcieradło i kołdrę jednocześnie, nie przyjmując mej propozycji przygotowania wygodniejszego pościelenia.

Następna rzecz, której jestem świadkiem, to nagłe przebudzenie. W pokoju jest zupełnie ciemno. Nerwy moje zdają się dziwnie naprężone. Cała atmosfera wokoło jest jak mocno naelektryzowane powietrze. Wydobywam zegarek i widzę na jaśniejącej tarczy trzy kwadransy na trzecią. W tej chwili zauważam obecność czegoś lekko świetlistego w nogach mego łóżka. Siadam natychmiast i poczynam pilnie mu się przyglądać.

W nieopisanym zdumieniu widzę twarz i postać Śri Siankary. Jest wyraźna i nieomylnie widzialna. Nie zdaje się wcale elektryczną zjawą, raczej zupełnie normalną, ludzką postacią, tylko jakaś tajemnicza świetlistość otacza ją i odgranicza od dalszej ciemności.

Stanowczo obecność jego normalna nie jest możliwa. Czyż nie pozostawiłem go w Czingleput? Zamykam mocno oczy, by się przekonać, czy się nie łudzę, za chwilę znów je otwieram i znów widzę go tak samo wyraźnie!

Czyż nie wystarczy mi uczucie dobrej, serdecznej, błogosławiącej obecności? Znów zamykam i otwieram oczy: patrzę na łagodną postać w luźnej żółtej szacie. Twarz zmienia wyraz, usta się uśmiechają i zdają się mówić: „Bądź pokorny, a znajdziesz to, czego szukasz!”

Dlaczego czuję, że to żywa istota ludzka zwraca się do mnie w te słowa, dlaczego nie uważam jej przynajmniej za ducha?

Widzenie znika równie tajemniczo, jak się pojawiło. Pozostawia mnie z uczuciem nieopisanego spokoju, szczęścia i podniesienia na duchu, nie zaniepokojonego bynajmniej swym nadnaturalnym pojawieniem się. Czy mam oddalić je jako sen? Czy to ważne? Czyż nie wszystko jedno?

Nie mogę już zasnąć. Leżę spokojnie i myślę o wydarzeniach dnia, o pamiętnym na zawsze spotkaniu Śri Siankary z Kumbakonam, wysłańca Bożego do prostego ludu południowych Indii.

# GÓRA ŚWIĘTEGO PŁOMIENIA

Na madraskiej stacji południowej kolei hinduskiej wsiadamy z Subrahmanią do wagonu pociągu cejlońskiego. Pędzimy przez kilka godzin wśród różnorodnych krajobrazów: zielone pola ryżu przeplatają się z czerwonymi, nagimi wzgórzami, cieniste plantacje kokosowych palm ustępują zalanym polom, rojącym się od pracujących postaci.

Siedzę przy oknie aż do zapadnięcia szybkiego indyjskiego zmierzchu, przysłaniającego krajobraz, następnie odwracam się i tonę w zadumie. Myślę, ile to dziwnych rzeczy spotkało mnie, odkąd włożyłem złoty pierścień Brahmy. Wszystkie me plany zmieniły się. Szereg nieoczekiwanych zdarzeń pchnął mnie ku południowi, zamiast, jak zamierzałem, ku wschodowi. Czyż to możliwe, pytam siebie, by ten kamień istotnie posiadał jakąś tajemną moc, w którą wierzył Brahma? Choć staram się mieć myśl otwartą, trudno człowiekowi Zachodu o naukowo wyćwiczonym umyśle przyjąć bez zastrzeżeń taką myśl.

Odrzucam wszelkie spekulacje, lecz nie udaje mi się uwolnić od jakiejś niepewności, utajonej na dnie mych myśli. Dlaczego tak dziwnie kierowano moimi krokami ku tej samotni górskiej, do której się oto zbliżam? Dlaczego dwóch ludzi, obaj w szafranowej szacie, służyło za wysłańców przeznaczenia, by skierować mój oporny wzrok ku Mahariszi? Używam tu słowa „przeznaczenie” nie w jego zwykłym, przeciętnym znaczeniu i tylko dlatego, że odpowiedniejszego nie mogę znaleźć. Doświadczenie nauczyło mnie, iż często pozornie nic nie znaczące zdarzenia odgrywają nieoczekiwane dużą rolę w kształtowaniu się naszego życia.

Wysiadamy na niewielkiej stacji o czterdzieści mil od Pondichery, tego szczątka francuskich posiadłości terytorialnych w Indiach. Mamy się tu przesiąść na boczną linię, idącą w głąb kraju. Musimy czekać parę godzin. Spędzam je w półmroku poczekalni. Towarzysz mój przechadza się po peronie. Wysoka jego postać, raz po raz wynurzająca się z mroku, to znów ukazująca się na tle gwiazdzonego nieba, zdaje się na wół fantastyczną zjawą.

Nareszcie powolny, ciężko dyszący i gwizdzący pociąg zabiera nas wraz z kilkoma pasażerami. Zmęczony, usypiam od razu niespokojnym, pełnym widzeń snem. Budzę się na energiczne wołanie mego towarzysza:

– Wysiadamy!

Malutka, cicha stacyjka. Zupełnie pusto. Oddalający się pociąg świeci chwilę czerwonymi ślepiami wśród nocy, aż wreszcie niknie zupełnie. Chronimy się znów do pustej sali o wąłym świetleku naftowej lampy chcąc doczekać się świtu. Walczy on z nocą powoli, aż nareszcie słaby brzask przedziera się przez zakratowane okienko i mogę odróżnić kontury otaczających przedmiotów. Wychylam się nieco chcąc się rozejrzeć i oto dostrzegam rysujący się w dali kształt samotnej góry. Szeroka u dołu, wyrastająca z wielkiej masywnej podstawy, kryje szczyt wśród gęstej, porannej mgły.

Przewodnik mój wychodzi przed dworzec i znajduje wózek zaprzężony w parę białych wołów. Woźnica chrapie, budzi go więc energicznie i tłumaczy, dokąd chcemy jechać. Na wpeł zbudzony, uśmiecha się radośnie i zaprasza nas do wnętrza swego wehikułu. Patrząc z lekkim niepokojem na szczupłość miejsca na tej małej platformce drewnianej, o dwóch kołach i bambusowym daszku – jakże się tam mamy pomieścić? Gramolimy się z trudem. Towarzysz mój usiłuje się zrobić możliwie najmniejszym, a ja schylam głowę pod niskim wiązaniem bambusowego daszka i nogi spuszczam na zewnątrz wózka. Walizy umieszczamy obok; woźnica siada w kucki prawie na samym dyszlu pomiędzy wołami, opierając się niemal brodą o kolana. Ruszamy. Nie można powiedzieć, byśmy posuwali się szybko mimo najszczerszych wysiłków paru małych, silnych wołów. Są to zwierzęta przemiłe i niezmiernie użyteczne, ale powolne. W Indiach używa się ich na wsi wszędzie, są bowiem o wiele wytrzymalsze na upały od koni, a zadowolają się byle jakim pożywieniem. W tych cichych wioskach i miasteczkach Indii od szeregu stuleci zwyczaj mało się zmieniły. Taki sam zaprzęg służył podróżnym w setnym roku przed Chrystusem i dziś, po upływie dwóch tysięcy lat.

Woźnica nasz, o skórce barwy kutego brązu, jest nieskończenie dumny ze swoich zwierząt. Ich długie, pięknie zagięte rogi przybrał w złożone, symetryczne ozdoby. Do zgrabnych, cienkich nóg przymocował miedziane dzwoneczki o miłym, jasnym dźwięku. Kieruje nimi przy pomocy lejców i przewleczonego przez nozdrza sznura. Gdy tak szparko przebierają dzwoniącymi wesoło nogami po białej drodze, mogę obserwować, jak szybko tropikalna jutrzienka zmienia się

w jasny dzień. Po obu stronach drogi roztacza się pełen czaru krajobraz. Zamiast monotonnej równiny, ze wszech stron, jak okiem sięgnąć, wzgórza i wyniosłości, czerwone pagórki, porzeżynane szmaragdowymi polami ryżu i zaroślami ciernistych, ciemnozielonych krzaków.

Mija nas wieśniak o poranej troską twarzy, zapewne śpieszy w pole do pracy. Dalej spotykamy dziewczynę z dzbanem metalowym na głowie. Skromna, ciemnomalinowa szata owija jej wiotkie ciało, ramiona pozostawiając nagie, jaskrawy rubin ozdabia nozdrza, a złote bransolety połyskują w promieniach wschodzącego słońca na jej ciemnych ramionach. Barwa ich wskazuje, iż należy do rasy drawidyjskiej, jak znaczna większość tutejszych mieszkańców – oprócz braminów i mahometan. Dziewczęta drawidyjskie są z natury wesołe i radosne, bardziej rozmowne aniżeli ich aryjskie siostrzyce, o miłych, melodyjnych, głosach. Dziewczyna przygląda się nam z ciekawością pełną zdumienia. Domyślam się, iż niewielu Europejczyków można spotkać w tych odległych stronach.

Dojeżdżamy do miasteczka. Domki jego wyglądają zasobnie; biegną wzdłuż ulic, obejmujących z dwóch stron olbrzymią świątynię. Jeśli się nie mylę, ma ona ćwierć mili długości. Zdaję sobie sprawę z jej ogromu i architektonicznej, imponującej wielkości, gdy dojeżdżamy do jednej z bram. Zatrzymuję na chwilę wózek, by móc zajrzeć do wnętrza podwórza. Uderza mnie dziwny charakter tego olbrzyma. Nigdy nie widziałem podobnych gmachów. Ogromny kwadrat wysokiego muru otacza rozległy podwórzec wewnętrzny, przypominający labirynt. Mury, od szeregu stuleci wystawione na bezlitosne promienie tropikalnego słońca, zdają się mieć przyćmioną, spaloną barwę. Każda strona czworoboku posiada jedną bramę, nad którą wznosi się dziwna, całkowicie pokryta rzeźbami nadbudowa, w rodzaju kolosalnej pagody, kształtem przypominającej piramidę. Dolna jej część wykuta z kamienia, lecz górna, pod rzeźbami, zdaje się być z cegły. Piramidę – podzieloną na szereg pięter – zdobią aż do szczytu przeróżne postacie i sceny rzeźbione. Oprócz czterech piramid głównych naliczyłem jeszcze wśród wewnętrznego podwórza pięć takich wielkich wież. Jakże bardzo przypominają mi one swym kształtem piramidy Egiptu! Ostatnim spojrzeniem dostrzegam jeszcze długi szereg arkad, podobnych do klasztornych krużganków, las gładkich kolumn kamiennych, wielki przybytek w środku i mnóstwo małych świątyniek i kapliczek wokoło. Obiecuję sobie wrócić tu jak najprędzej i zbadać szczegółowo ten przedziwny gmach.

Ruszamy dalej. Woły drepczą żwawo. Wkrótce znajdujemy się wśród pięknego krajobrazu rozległych pól. Drogę pokrywa czerwonawy kurz. Po obu jej stronach widać niskie krzaki, od czasu do czasu kępy drzew. Mnóstwo ptaków kryje się wśród ich gałęzi, słyszę trzepotanie skrzydeł i ostatnie dźwięki wspaniałego chorału, jakim na całym świecie ptaki witają wschód słońca.

Wzdłuż drogi wznosi się szereg przesłicznych świątynek. Zadziwia mnie różnorodność ich stylów. Wnioskuje, iż są dziełem różnych czasów i epok. Jedne bogate w ornamenty, niemal przeładowane starannie wykonanymi rzeźbami, co jest zwykle w hinduizmie. Inne, znacznie większe, wspierają się tylko na gładkich, prostych kolumnach. Podobnych, poza południem nie widziałem w Indiach nigdzie. Prostota, prawie surowość linii kilku z tych świątyń jest niemal klasycznie grecka.

Po przejechaniu pięciu do sześciu mil zbliżamy się do podnóża góry, której zarysy widziałem o świcie ze stacji. Wznosi się teraz wprost przed nami, jak olbrzym czerwonobrazowy w promieniach porannego słońca. Mgła rozproszyła się odsłaniając szczyt szeroką linią rysującą się na tle nieba. Samotna, wyniosła góra, prawie naga, o brązowych złożach skalnych i czerwonawej glince, o szerokich, bezdrzewnych ścieżkach i dużych stosach głazów rzuconych bezładnie, jakby od niechcenia, ręką jakiegoś olbrzyma.

– Arunaczala! święta, płomienna góra! – odzywa się mój towarzysz, zauważywszy kierunek mych spojrzeń i wyraz gorącej czci maluje się na jego twarzy. Zdaje się tonąć chwilę w ekstazie jak średniowieczny święty.

– Czy nazwa ta coś oznacza? – pytam.

– Właśnie powiedziałem, co znaczy – odpowiada z uśmiechem – składa się z dwóch słów: „Aruna” i „Aczala”, które znaczą „czerwona góra”, a że jest to również imię bóstwa, patrona świątyni, więc: święta czerwona góra.

– A cóż święty płomień ma z nią wspólnego?

– Ach, bo rokrocznie kapłani świątyni obchodzą wielkie święto. Gdy w świątyni rozpoczyna się uroczystość, jednocześnie na samym szczycie góry rozpala się olbrzymie ognisko, a płomień jego, podsycany wielką ilością topionego masła i kamfory, wystrzela niezwykle wysoko. Pali się przez szereg dni, a widoczny jest ze wszech stron w promieniu wielu kilometrów. Każdy, kto go ujrzy, skłania się we czci, gdyż płomień ten to symbol, wyraża, iż góra jest miejscem świętym, mieszkaniem wielkiego bóstwa.



Znajduje się ona niemal nad naszymi głowami. Jej samotny, pełen surowego majestatu szczyt, wznosi się czołem szerokim na parę tysięcy stóp ponad masywne złomy skały u podnóża, wprost w jasność perłowego nieba. Czy to wpływ pełnych uwielbienia słów mego towarzysza, czy jakieś inne nieznane mi przyczyny, dość że dziwne przejmuję mnie uczucie, gdy się tak wpatruję w stronę zбочa świętej Arunaczali – uczucie prawie trwożnej czci.

– Góra ta – odzywa się niemal szeptem mój towarzysz – jest nie tylko miejscem świętym. Istnieją tradycje i podania, iż bogowie ją tu umieścili przed wiekami, by oznaczyć duchowy środek świata.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu nad naiwnością legendy.

Jesteśmy już blisko mieszkania Maharisziego. Skracamy na małą dróżkę i znajdujemy się wśród gęstych drzew mangowych i palm kokosowych. Zatrzymujemy się przed przymkniętą bramą. Woźnica zeskakuje, otwiera ją i oto wjeżdżamy na szerokie, piaszczyste podwórze. Z trudem wyciągam zeszytniałe nogi, schodzę z wózka i rozglądam się w koło.

Klasztorna samotnia Maharisziego ukrywa się poza gęstwiną drzew i bujnie zarośniętym ogrodem z drugiej strony osłania ją żywopłot z kaktusów, a od zachodu rozciągają się dzikie zarośla i las; od północy tuli się malowniczo do stóp góry. Istotnie, ciche to ustronie zdaje się stworzone dla głębokich abstrakcyjnych rozmyślań.

Dwa małe, słomą kryte budynki zajmują lewą stronę podwórza, za nimi widać trzeci, podłużny, o nowocześniejszym wyglądzie, czerwieniejący dachówką nisko spuszczonego się dachu, o małym ganeczku pod palmowym daszkiem. Na środku podwórza widać ogromną studnię. Obserwuję nagiego do pasa chłopaka, o ciemnej, prawie czarnej skroni, jak przy pomocy skrzypiącej, ręcznej korby wyciąga ogromny dzban z wodą.

Usłyszano zajeżdżający wózek i oto kilku ludzi pojawia się na dziedzińcu. Ubiór ich jest bardzo rozmaity, jeden nie ma nic na sobie prócz małej przepaski na biodrach, inny wygląda dostatnio w szacie z białego jedwabiu. Patrzą na nas pytająco. Towarzysz mój śmieje się z zadowoleniem, widać, iż bawi go ich zdumienie. Zbliża się do nich i opowiada coś po tamilsku. Wyraz wszystkich twarzy zmienia się natychmiast. Otaczają mnie teraz promiennie roześmiane spojrzenia. Podobają mi się te radosne, jasne twarze i całe zachowanie się tych ludzi.

– Pójdziemy do sali do Maharisziego – mówi mój towarzysz i wskazuje mi drogę. Zatrzymuję się przy kamiennym ganeczku, by

zdać obuwie, biorę owoce, przywiezione w darze i wchodzę w otwarte drzwi.



Co najmniej dwadzieścia par oczu zwraca się ku nam. Właściciele ich siedzą w półkolu, na kamiennej posadzce, w pełnej szacunku odległości od prawego rogu sali. Łatwo się domyślić, że przed chwilą wszystkie spojrzenia tam były skierowane. Patrzą i ja. Dostrzegam długiego, białego tapczana, a na nim siedzącą postać. Poznaje, iż jest to Maharaszi. Towarzysz mój podchodzi doń i niemal krzyżem rozciąga się na ziemi kryjąc oczy w złożone dłonie.

Tapczan znajduje się przy samym oknie. Światło pada wprost na Maharisiego, który siedzi zwrócony ku nam profilem, zapatrzony w przeciwległe okno. Widzę najwyraźniej każdy rys jego twarzy. Siedzi nieruchomo nie odwracając się ku nam, chcąc więc spotkać jego spojrzenie przy pozdrowieniu i ofiarowaniu owoców, idę ku oknu i staje na wprost niego składając mu jednocześnie dary, po czym oddalam się w głąb sali i obserwuję dalej.

Przed tapczanem stoi metalowa misa na podstawce, pełna gorących węgli. Przejmujący, aromatyczny zapach wskazuje, iż jakieś kadzidło rzucono na węgle. Obok, w małej podstawce tkwią długie, pachnące laseczki sandałowego drzewa o żarzących się końcach. Smugi błękitnawego dymu unoszą się w powietrzu. Lecz mocny, przenikający zapach – rozpoznaję to najwyraźniej – nie od nich pochodzi.

Rozkładałam swój cienki koczek i siadam na podłodze, potrząc wyczekująco na milczącą i nieruchomą postać. Jest ona prawie zupełnie naga – co jest dość powszechne w tej części Indii – tylko wąską przepaską bieleje na brzoju ciała o odcieniu miedzi, o wiele jaśniejszym od większości spotkanych na południu. Mahariszi zdaje się być wysokiego wzrostu, lat około pięćdziesięciu. Głowa o pięknej linii i przyprószona gęsto siwizną, a wysokie, wspaniałe sklepienie czoła nadaje mu piętno wybitnego rozumu. Zdaje mi się więcej przypominać Europejczyka niż Hindusa. Takie jest moje pierwsze wrażenie. Szereg białych poduszek pokrywa jedną stronę tapczanu, a nogi Maharisiego spoczywają na wspaniałej skórze tygryziej.

Taka dziwna cisza w sali. Mędrzec trwa w nieruchomym milczeniu, zdaje się być zupełnie nieświadom naszego przybycia. Jeden z uczniów siada na ziemi z drugiej strony tapczanu i pociągając równym, spokojnym ruchem za sznur od dużego wachlarza z bambusowej maty, zawieszzonego nad głową Maharisiego, przery-

wa ciszę rytmicznym szmerem. Wsłuchuję się mimo woli w ten jedyny cichy dźwięk patrząc jednocześnie uporczywie w oczy tego przedziwnego człowieka – oczy duże, ciemnobrazowe, szeroko otwarte – w nadziei, że mnie wreszcie zauważy. Jednak nic tego nie zdradza. Cała postać jest niemal nienaturalnie spokojna, zastęglą w nieruchomości, posągowi podobna. Nie mogę ani razu pochwycić jego spojrzenia, gdyż oczy te wciąż zapatrzone są w dal zdawałoby się nieskończoną. Naraz, cała cała ta scena wydaje mi się skądś znana; staram się przypomnieć sobie i wśród obrazów przesuwających się w pamięci widzę „Mędrca, który nigdy nie mówi”, owego pustelnika spod Madrasu, którego postać wyglądała również jak wykuta z kamienia. Widzę cechy wspólne w tej dla Europejczyków tak dziwnej nieruchomości tamtego i Maharisziego. Zawsze uważałem, że można wiele wyczytać z duszy człowieka w jego oczach, a nawet byłem dumnie przekonany, że znam się dobrze na tej sztuce, a teraz oto przed tymi, zapatrzonymi w dal oczami gubię się, niepokoję, niemal drzę.

Minuty suną nieskończenie powoli, wskazówki ściennego zegara znaczą pół godziny, trzy kwadranse, wreszcie godzinę, a nic nie przerywa zupełnej ciszy. Dochodzę do takiego skupienia uwagi i wzroku, że wszystko wokół znika z mej świadomości oprócz tej jednej, nieruchomej postaci na tapczanie. A dary moje leżą nietknięte.

Czemuż mój przewodnik nie uprzedził mnie, że jego mistrz przyjmie mnie podobnie, jak pustelnik milczący; nie zaskoczyłaby mnie tak jego absolutna obojętność. Pierwsza świadoma myśl, która mi się nasuwa, a przysłałaby zapewne każdemu Europejczykowi nie przyzwyczajonemu do podobnego widoku: czy nie jest to przypadkiem pozowanie, gwoli otaczających wyznawców? Ale odrzucam ją.

Jest on raczej w stanie zupełnej nieobecności, podobnym do hipnotycznego snu – tłumaczę sobie. Czemuż jednak towarzysz mój nie uprzedził mnie, że tak się zdarza.

A czy taki stan „mistycznej kontemplacji” nie jest próżnią pozbawioną wszelkiej treści? narzuca mi się natarczywe pytanie i zaprzęta myśl nieco dłużej. Ale oddalam je również, wszak nie mogę na nie znaleźć i tak rzetelnej odpowiedzi.

A jednak coś jest w tym człowieku, co przykuwa moją uwagę, co przyciąga z siłą potężnego magnesu całą mą istotę. Wprost nie mogę oczu oderwać od tej postaci. Moje początkowe zmieszanie z powodu nieoczekiwanego przyjęcia powoli niknie, a zaczyna mnie ogarniać dziwne, przejmujące, nieznanne dotychczas uczucie. Z początku nie

mogę zdać sobie sprawy, czym ono jest, dopiero z biegiem dalszych kwadransów, przy końcu drugiej godziny, spostrzegam w sobie jakąś zasadniczą zmianę – wielki, nieznany spokój wsączył się i przenikał całą moją istotę. Gdzieś rozwiały się starannie przygotowane pytania. Wydaje mi się tak mało ważne, czy je zadam, czy nie, a nawet, czy owe do niedawna niepokojące problemy znajdują w ogóle rozwiązanie. Wiem jedno: że jakies wody ogromnej rzeki – nieskończonego, bezmiernego spokoju – płyną tuż, tuż koło mnie, że wielka cisza przenika najdalsze zakątki mej duszy, a mózg, nigdy nie zaznający spoczynku pod dręczącym natłokiem myśli, zdaje się wchodzić w nowy, równy rytm znajdując ukojenie.

Jakże mało znaczące wydają mi się te wszystkie pytania, problemy, zagadnienia! Jak małą całą panoramą straconych lat życia! Widzę nagle z uderzającą jasnością, że intelekt nasz sam stwarza problemy, by potem bezowocnie się męczyć nad ich rozwiązaniem. Jest to zaiste niespodziewanie nowa myśl dla człowieka, który dotąd tak wielkie nadawał intelektowi znaczenie. Pogrążam się w coraz głębsze uczucie niezmiernego spokoju i ukojenia, aż zaczyna się trzecia godzina. Upiływające cicho kwadransy nie wzbudzają teraz zniecierpliwienia, bowiem łańcuch stworzonych przez myśl obrazów i zagadnień został przerwany i odrzucony.

Po jakimś czasie nieznacznie pojawia się nowa myśl: Czy ten bezgraniczny duchowy spokój, promieniowany wyraźnie przez Maharisziego, nie jest jak woń unosząca się wokół kwiatów? Nie uważam się za kompetentnego do określania, czym jest duchowość, ale wiem, że reaguję żywo na atmosferę innych ludzi. Rodzące się w myśli przypuszczenie, że tajemniczy, życiodajny pokój, który prawie w jednej chwili mnie ogarnął, musi być w pewnym związku z położeniem geograficznym, w jakim się znajduje, jest właśnie moją reakcją na bliskość tego człowieka. Zastanawiam się dalej, czy dzięki jakiemuś nieznanemu mi bliżej procesowi telepatii czy radioaktywności duszy – przedziwna cisza, zstępująca na wzburzone odmetry mego wewnętrznego świata, nie pochodzi całkowicie od niego, choć siedzi on jak przedtem nieporuszony i nieobecny, pozornie nic nie wiedzący o moim istnieniu.

Lecz oto przychodzi pierwsze „przebudzenie” – ktoś zbliża się i mówi szeptem, nachylając się ku mnie:

– Czy nie chciał pan zapytać o coś Maharisziego?

Może stracił cierpliwość ten samozwańczy mój przewodnik, a może – co prawdopodobniejsze – sądzi, iż ja, niespokojny, ruchliwy Europejczyk, wyczerpałem moją.

– Tak, niestety, mój przyjacielu nie proszony, przyjechałem tu z kopą zagadnień, istotnie niezliczoną ilość pytań chciałem zadać twemu mistrzowi, ale teraz... Ja, co mam duszę pełną najgłębszego spokoju, co jestem w zgodzie z sobą i ze światem całym, po cóż bym miał zaprzętać myśl jakimikolwiek zapytaniami? Czuje, iż okręt mej duszy wypływał właśnie z cieśnin na pełne morze, a przed nim olbrzymie, szerokie wody nieznanego oceanu. A ty chcesz mnie wciągnąć z powrotem w hałaśliwe zatoki ludzkich portów właśnie w chwili, gdy mam gotów pełne żagle rozwinąć i rzucić się w dal ku wielkiej Przygodzie!

Czar ciszy prysł. Jakby niecierpliwość mego opiekuna stała się znakiem, ludzie wstają, zaczynają mówić i chodzić po sali. I o dziwo, ciemne oczy Maharisziego drgnęły również. Jedno, drugie mrugnięcie i głowa powoli, bardzo powoli odwraca się i pochyla naprzód. Jeszcze parę chwil, a czuję, iż znalazłem się w polu widzenia tych tajemniczych oczu; spojrzenie ich spoczywa na mnie wyraźnie. Jasne jest, że mędrzec dopiero teraz powrócił ze swej długiej kontemplacji, jakby się zbudził ze snu.

Mój skwapliwy opiekun, sądząc może, iż nie dosłyszałem jego poprzedniego pytania, powtarza je głośno. Ale ja czytam inne milczące pytanie w tych ciemnych a przejrzystych oczach, z nieskończoną słodyczą skierowanych w tej chwili na mnie.

– Czyż to możliwe, by dręczyły cię jeszcze owe uporczywe zwątpienia teraz, gdyś dotknął pokoju, który, jak i wszyscy ludzie, z czasem zdobędziesz na stałe?

I raz jeszcze spokój niewysłowiony przenika całą mą istotę.

Zwracam się do mego przewodnika:

– Nie, nie mam w tej chwili żadnych pytań. Może innym razem.

Ale czuję, że należy jakoś wytłumaczyć cel mego przybycia nie Mahariszemu, tylko tej garści ludzi rozmawiających z żywieniem i widocznie z ciekawością. Wiem z opowiadań, że tylko nieliczni należą do stałych mieszkańców i uczniów, reszta przychodzi tu z pobliskich okolic. Przewodnik uprzedza mą chęć, wstaje i zaczyna opowiadać po tamilsku, przedstawiając mnie niejako. Mówi z niewykłym żywieniem, energicznymi gestami i mimiką. Obawiam się, że wiele barw własnych dodaje do faktów, gdyż słuchacze wydają okrzyki podziwu.

Skończył się południowy posiłek. Słońce pali nieubłaganie. Jeszcze nie doświadczyłem podobnie wysokiej temperatury. Nic dziwnego, jesteśmy niedaleko równika. Choć raz jestem rad, że ten klimat nie pobudza do ruchliwości, bo oto prawie wszyscy znikli w cieniu swych chatek lub drzew na popołudniową drzemkę. Mogę zbliżyć się teraz do Maharisziego spokojnie nie zwracając niczyjej uwagi i nie wywołując ciekawości.

Siadam niedaleko tapczanu, na którym, wsparty o białe poduszki, siedzi Maharishi, trzymając jakiś rękopis w ręku i pisząc niezmiernie starannie i powoli. Cisza panuje w sali, szeleści tylko ten sam monotony szmer poruszanego przez ucznia wachlarza. Po paru chwilach Maharishi przerywa pisanie i woła jednego z uczniów. Mówi mu coś po tamilsku, a ten zwraca się do mnie tłumacząc, że przykro im jest bardzo, iż nie mogli jeść ich jedzenia, ale nigdy nie gościli Europejczyków i nie wiedzą, co by można dla nich przygotować. Dziękuję Mahariszemu za troskę mówiąc, że chętnie będę jadł z nimi wszystko, co nie ma ostrych przypraw. Co do reszty, zaopatrzę się w mieście. Zresztą, nie przywiązuję dużej wagi do jedzenia, jest to o tyle mniej ważne od głodu wewnętrznego, który mnie tu sprowadził.

Mędrzec słucha uważnie. Twarz jego jest bezgranicznie spokojna i prawie niewzruszona.

– Tak, to rzecz poważna – robi uwagę.

To mi dodaje odwagi do rozwinięcia przedmiotu.

– Mistrzu, studiowałem filozofię i nauki Zachodu, żyłem i pracowałem wśród ludzi naszych przeludnionych miast, kosztowałem ich rozkoszy i dałem się porwać ich ambicjom. Ale znam też samotność ustronnych miejsc i głębokich poszukiwań myślowych. Pytałem przedstawicieli myśli i nauki Zachodu, teraz zwróciłem się ku mędrcom Wschodu. Szukam Światła.

Maharishi potrząsa głową, jakby mówił:

– Tak, rozumiem to dobrze.

– Poznałem wiele teorii, nasłuchałem się wielu opinii. Stosy intelektualnych dowodów dla poparcia wręcz odwrotnych przekonań gromadziły się wielokrotnie w moich oczach, ale znużyły mnie tylko. Dziś sceptycznie patrzę na wszystko, co nie może być sprawdzone osobistym doświadczeniem. Racz mi wybaczyć, ale muszę się przyznać: nie jestem religijny. Nie wiem, czy istnieje coś więcej ponad widzialny byt człowieka na ziemi. A jeśli rzeczywiście istnieje, czy mógłbym się sam o tym przekonać?

Trzech czy czterech Hindusów obecnych na sali patrzy na mnie z nieopisanym zdumieniem. Czyżbym przekroczył jakąś subtelna etykietę lub naruszył tutejsze zwyczaje zwracając się tak śmiało do ich mistrza? Nie wiem, mało mnie to w tej chwili obchodzi. Gromadzący się od lat ciężar poszukiwań i pragnień przerwał jak potok prawie gwałtownie tamy mego opanowania. Jeśli Mahariszi jest naprawdę tym wielkim człowiekiem, zrozumie na pewno i nie zwróci uwagi na jakieś uchybienie konwencjonalnym zwyczajom.

Nie odpowiada mi, lecz zdaje się iść za pewną linią myśli. Znów, po raz trzeci już, zwracam się do niego, bo nic innego mi nie pozostaje, a poza tym język jakby mi się rozwiązał po długim milczeniu i trudno go utrzymać.

– Rozumiem ludzi Zachodu. Nasi uczeni i filozofowie, ciesząc się tak wielką sławą i uznaniem, mówią szczerze sami, że mało wiedzą o tajemnicy życia, a jeszcze mniej o tym, czy i co istnieje poza nim. Słyszałem, iż w waszym kraju są mędrcy znający to, co Zachodowi jest nieznane. Czy to prawda? Czy mogę tu zyskać pomoc w zdobyciu doświadczenia i światła? A może i samo poszukiwanie jest też pewną formą złudzenia?

Wreszcie dobrnąłem do sedna i milknę czekając odpowiedzi. Mahariszi patrzy na mnie wciąż w głębokim zamyśleniu. Czy zastanowiły go moje pytania? Z dziesięć minut przechodzi w zupełnej ciszy. Wreszcie odzywa się łagodnie:

– Mówisz wciąż „ja”. „Ja chcę wiedzieć”. Czy możesz określić, czym jest owo „ja”?

Nie bardzo rozumiem, co znaczy jego pytanie. Nie używa tym razem tłumacza, zwracając się do mnie wprost po angielsku. Co on chce przez to powiedzieć? nie pojmuję.

– Zdaje mi się, że nie rozumiem pytania – odpowiadam prawie zmieszany.

– Czyż nie jest jasne? Pomyśl chwilę.

Daremnie staram się odgadnąć znaczenie tych słów. Nagle błyska mi myśl, pokazuję palcem na mą osobę i wymieniam me imię.

– A czy go znasz?

– Oczywiście, od dzieciństwa – odpowiadam uśmiechnięty.

– Ależ to jest tylko twe ciało! Znów pytam – kto jesteś ty sam?

Nie znajduję odpowiedzi.

– Poznaj wpierw, czym jest owo ja, a wówczas odkryjesz prawdę – dodaje Mahariszi.

I tym razem nie mogę uchwycić sensu tych słów i jestem szczerze zakłopotany, co też wyrażam w słowach. Ale Mahariszi widać

wyczerpał zasób swej angielszczyzny, zwraca się do tłumacza, który mi powoli powtarza:

– Każdy, kto szuka prawdy, ma jedno do zrobienia: patrzeć głęboko we własną istotę. Jeśli to robi we właściwy sposób, wszystkie zagadnienia rozwiązują się same przez się.

Dziwna to odpowiedź, więc pytam jeszcze:

– Ale co mam robić, jakiej użyć metody, by znaleźć prawdę?

– Zgłębianie natury naszej jaźni oraz ciągła medytacja wskażą światło.

– O! wielokrotnie oddawałem się rozmyśleniom nad prawdą, a przecież nie widzę w sobie żadnego postępu.

– Skądże możesz wiedzieć, że nie ma postępu? Nie łatwo dostrzec w sobie zmiany w tej subtelnej, duchowej dziedzinie.

– Czy pomoc mistrza jest potrzebna?

– Tak, może być potrzebna.

– Czy mistrz może nam dopomóc w takim zagłębieniu się w siebie, o jakim mówi Mahariszi?

– Może on dać człowiekowi wszystko, czego potrzebuje dla poszukiwań. Ale zagłębienie, zrozumienie osiąga się tylko osobistym przeżyciem.

– Ile potrzeba czasu, by zdobyć światło przy pomocy mistrza?

– Wszystko zależy od dojrzałości wewnętrznej tego, który szuka. Proch zapala się w mgnieniu oka, a węgiel bardzo powoli.

Odczuwam wyraźnie, że mędrzec nie lubi mówić o mistrzach i o ich metodach. Ale upór mój przeważa i zadaję mu jeszcze parę pytań. Mahariszi zwraca się twarzą ku oknu, patrzy w odległe wzgórza i milczy. Tym razem rozumiem, że nie odpowie, i muszę zaniechać nalegań.

– Czy nie zechciałby Mahariszi wypowiedzieć swego zdania co do najbliższej przyszłości świata? Żyjemy w epoce tak krytycznej...?

– Po co się troszczyć o przyszłość, gdy nie znacie nawet terażniejszości?! Tak, dbać trzeba o terażniejszość, a przyszłość stanie się sama!

Znów zbywa mnie niczym, ale nie ustępuję tak łatwo. Wszak przychodzę ze świata, gdzie ciężar tragedii życia daje się czuć stokroć silniej niż w tym cichym ustroniu.

– Jak Mahariszi myśli, czy świat wejdzie wkrótce w nową epokę braterstwa i współdziałania, czy też wpadnie w jeszcze gorszy chaos i walkę? – pytam znów uparcie. Mahariszi nie zdaje się zadowolony, jednak daje odpowiedź:



– Ten, Który rządzi światem, czuwa nad nim wciąż. Ten, Który mu dał życie, wie dobrze, jak nim kierować. On niesie ciężar świata, nie my.

– Lecz patrząc bezstronnie na wszystko, co się wokół dzieje, trudno dostrzec tę dobrotliwą opiekę – powtarzam swoje z uporem.

Mędrzec zdaje się być jeszcze bardziej niezadowolony, ale i tym razem słyszę odpowiedź:

– Jakimi jesteście wy – takim jest świat. Cóż za pożytek starać się zrozumieć świat, który was otacza, nie rozumiejąc siebie? Ludzie, którzy szukają prawdy, nie powinni się tym zajmować. Traci się tyle energii na takie pytania. Wpierw trzeba znaleźć prawdę w sobie, a wówczas będziecie w stanie łatwiej zrozumieć prawdę świata, którego sami jesteście częścią.

Mahariszi urywa nagle.

Ktoś zbliża się, by zapalić nowe laseczki sandałowe. Wpatruje się chwilę w niebieskawe smugi dymu, po czym bierze swój ogromny rękopis, rozkłada na kolanach i zaczyna pisać, a tym samym wyklucza mnie z pola swej uwagi. Ta ponowna obojętność jest jak wiadro zimnej wody na mą miłość własną. Czekam jeszcze z kwadrans, ale widzę, że nie ma nadziei, by Mahariszi zechciał jeszcze dawać jakieś odpowiedzi i czując, że rozmowa skończyła się na dobre, powstaję, skłaniam ręce na znak pożegnania i wychodzę.



Wpierw już prosiłem o zamówienie wózka, by obejrzeć świątynię, i to wózka konnego, a nie zaprzężonego w woły, gdyż taki, choć malowniczy, dokuczył mi swą powolnością. Znajduję dwukołowy wózek z małym konikiem i woźnicą o dość dzikim wyglądem w czerwonym przybrudzonej zawoju na głowie i rodzaju króciutkich spodni, udrapowanych umiejętnie z kawałka prostego, nie bielonego materiału, opasującego biodra.

Długa, pełna kurzu droga. Nareszcie stajemy u bramy wielkiej świątyni o dumnych, bogato rzeźbionych wieżach. Schodzę pośpiesznie i zagłębiam się w labiryncie wnętrza.

– Nie mogę ściśle określić wieku tego chramu Arunaczali – mówi mój przewodnik w odpowiedzi na me pytanie – ale ze wszystkiego, co widzimy, można sądzić, iż wiele setek lat ma za sobą.

Wokół bram i w przylegających do świątyni uliczkach widać szereg sklepów i straganów pod palmowymi daszkami. Ubogo odziani przekupnie sprzedają różne święte obrazy i metalowe posążki Siwy i innych bogów. Zauważam, iż mniej tu widać

wizerunków Śri, Kriszny i Ramy niż gdzie indziej, Siwy natomiast najwięcej. Przewodnik mój wyjaśnia:

– Jedna z naszych legend mówi, iż Siwa ukazał się raz na szczycie Świętej Góry w postaci żywego płomienia. Choć miało to miejsce tysiące lat temu, odtąd co roku zapala się ognisko na górze; świątynia była też zbudowana na pamiątkę tego zdarzenia i na cześć Siwy, który dotąd łaską swą tę górę otacza.<sup>1</sup>

Paru pielgrzymów wybiera coś przy straganach. Można tu znaleźć różne książki religijne w tamilu i telegu, obrazki ze scenami z wielkich epei hinduskich oraz proszki barwne, którymi robi się znaki święte na czole, odróżniające wyznawców Siwy i Wisznu, a także Hindusów od przedstawicieli innych wyznań.

Widzę trędowatego żebraka. Zbliża się wahająco ku mnie niepewny, czy go nie przegonię, jednak z tłumioną nadzieją, że mnie wzruszy. Całe nogi ma w straszliwych ranach, a twarz znieruchomiała, jakby zastygła. Prawie ze wstydem kładę parę miedziaków na ziemi przed nim; dotknąć się go boję.

Idę teraz ku jednej z tych olbrzymich wież wejściowych. Przypomina ona zupełnie egipską piramidę z uciętym szczytem. Ten olbrzym, wraz z trzema bliźniaczo podobnymi towarzyszami, góruje nad całą okolicą. O dziesiątki mil widać je ze wszech stron. Całą fasadę pokrywają rzeźby i małe posązki bogów i bohaterów świętych legend i mitów w najróżniejszych pozach i wyrazach. Tu samotna, surowa postać pogrążona w rozmyślanii i modlitwie, obok – przytulone do siebie splecione w uścisku delikatne kształty bogów i bogiń. Dziwnie mi na to patrzeć. Ale przypominam sobie, iż hinduizm jest tak wszechogarniający, że posiada wszelkie symbole, przemawiające do różnych natur i poziomów.

Idę dalej i znajduję się w obrębie olbrzymiego czworoboku. Odgródzone jego murami, ciągną się labirynty kolumn, krużganek, galerii, nisz. Szereg świątynek, kapliczek, korytarzy, pawilonów. Nie znajdzie się tu strzelistych kolumn greckich, jak w okolicach Aten, przed których pięknem stać można długo w niemym zachwycie; tu staje się przed czymś olbrzymim, tajemni-

---

1 Europejczycy mogą uważać tych bogów hinduizmu za fantastyczne personifikacje pewnych idei religijnych, dla Hindusów są oni żywymi istotami, w których opiekę wierzą bezwzględnie i niezachwianie. Każdy nawet najciemniejszy Hinduś wierzy w Jedyne Boga w trzech postaciach. Trójca hinduska to Siwa – Bóg Ojciec, Wisznu – Bóg Syn i Brahma – Bóg Duch Święty. Inne imiona to albo przejawienia tych samych postaci Jedyne, albo tzw. Dewy – Duchy, Antoły, mylnie brane za bogów. Każda z postaci Trójcy przejawia się w postaci „męskiej” oraz „żeńskej”, która zwie się Śakti i uważana jest za Matkę Świata, noszącą również wiele imion (p. tł.).

czym, niemal groźnym, czuje się jakieś misteria. Dreszcz mnie przejmuje, gdy wchodzimy pod sklepienia pustych, ogromnych i zimnych krużganków – zdają się nieskończenie mrocznym labiryntem – lecz towarzysz mój postępuje śmiało naprzód bez wahań – zna dobrze drogę. Wiedzie ona przez klasztorne galerie o grubych, szarych murach, o płaskich, ciosanych masywnie, z gruba rzeźbionych filarach, podtrzymujących strop, przez na pół ciemne korytarze i zakręty, by dotrzeć do wielkiej komnaty z wylotem na wewnętrzne podwórze chramu.

– Sala tysiąca kolumn – mówi mój przewodnik.

Las gigantycznych, surowych kolumn kamiennych wynurza się tajemniczo z półmroku. Pustka i cisza. Stare rzeźby rysują się na wielu: twarze bogów, kształty zwierząt dziwnych i nieznanych. Każda kolumna z jednej bryły kamienia ciosana, a strop, który wspierają, również z ogromnych, jednolitych kamiennych płyt. Błąkam się wśród tych olbrzymów. Przechoǳę przez ciemne przejścia, kierując się słabym światłem lampek oliwnych, to tu, to tam stojących na zakrętach, aż docieram do wewnętrznego podwórca. Z ulgą wdycham powietrze i witam światło słoneczne. Na podwórku tym wznosi się pięć mniejszych pagod w tym samym stylu i rodzaju, co bramy-wieżę wejściowe. Przyjrząwszy się jednej blisko widzę, iż jest z cegły, a rzeźby nie są tu kute w kamieniu, lecz modelowane z gliny czy jakiegoś plastycznego, białego materiału. Na niektórych postaciach widać ślady barw, pobladłych dziś i wytartych. Wchodzimy raz jeszcze w długi i mroczny krużganek. Przewodnik mój uprzedza, iż jesteśmy blisko serca świątyni, dokąd nie wolno zbliżać się Europejczykom. Wszakże z oddali korytarza biegnącego aż do progu Świętego Świętych, którego nikt z niewiernych nie ma prawa przekroczyć, można rzucić okiem w głąb. Dolatuje w tej chwili rytmiczny odgłos bębna hinduskiego, dźwięk gongów i fletów i śpiew kapłanów, zlewając się w dziwny, przeciągły, monotonny rytm. Te dźwięki stłumione, wśród mroku prastarych murów, zwiększają wrażenie tajemniczego ogromu tej niezwykłej świątyni.

Zbliżam się do ostatniej, dozwolonej granicy. Mogę dojrzeć w mrocznej dali duży płomień przed posągami, dwa czy trzy chwiejące się światła na ołtarzu i parę sylwetek ludzi modlących się czy odpowiadających jakowyś rytuał. Nie mogę odróżnić postaci kapłanów ani muzykantów, ale słyszę teraz wyraźnie odgłos

spełniającej rolę rogu muszli<sup>1</sup> i wysoki dźwięk cymbałów wpadający w tony fletów w takt ogólnej muzyki.

Towarzysz szepcze mi na ucho, bym już odszedł, gdyż kapłani nie będą bynajmniej zadowoleni, jeśli mnie zobaczą. Cofamy się w cicha, jakby uśpioną atmosferę podwórca. Na dziś dość moich badań. Podchodząc do bramy widzę starego bramina, siedzącego w środku drogi nad miedzianą miseczką pełną wody z kawałkiem lusterka w rękę – maluje znak kasty na czole: biało-czerwone<sup>2</sup> pionowe linie nad brwiami – znak prawowiernego Hindusa południa. W oczach nienawykłego przybysza z Zachodu wyglądać mogą groteskowo, niemal śmiesznie.

U wyjścia zgrzybiały starzec przy małym straganie patrzy mi w oczy z wyrazem niemej prośby; zatrzymuję się, by uczynić jej zadość i kupić parę drobiazgów.

Dostrzegam z dala ponad dachami, na drugim końcu miasteczka, olśniewającą białość wyniosłego minaretu – kieruję tam swój wzrok, chcę zobaczyć meczet. Lubię je bardzo. Ilekroć ujrzę pełne wdzięku łuki i piękno subtelne kopuł meczetu, tylekroć przenika mnie dreszcz radości.

Raz jeszcze zdejmuję obuwie i wchodzę do białego gmachu. Jakże mądry jest plan jego budowy. Wysokie, strzeliste łuki biegnące wzdłuż mimo woli wznoszą naszą myśl. Paru wiernych pogrążonych w modlitwie: siedzą, klęczą lub do ziemi się pochylają w pokłonach na swych małych, kolorowych dywanikach. Żadnej tajemniczości tutaj, żadnych obrazów ani posągów, bowiem Prorok przykazał, by nic nie stało pomiędzy człowiekiem a Bogiem – nawet kapłan. Wszyscy wierni są równi przed obliczem Allacha. Nie ma kapłanów ani biegłych w piśmie świętym panditów, nie istnieje hierarchia wyższych istot, które narzucałyby się na pośredników myślom człowieka zwróconym ku Mekce.

Wracając obserwuję przy głównej ulicy szereg sklepików ze słodyczami, kramów z towarami łokciowymi, kupców zboża i ryżu

- 
- 1 Wzywając wiernych do modlitwy, zamiast dzwonnów używa się w większości świątyni dużej muszli. Dzwony natomiast biją podczas samego nabożeństwa w świątyni. Dźwięk konchy, w którą się dmie jak w róg, jest wysoki, przejmujący, archaiczny, nie dający porównać się z dźwiękiem żadnego ze znanych w Europie instrumentów oprócz starego myśliwskiego rogu (p. tl.).
  - 2 Znakiem hinduizmu jest mała czerwona kropczka na czole, używana przez wszystkie kobiety, mniej przez mężczyzn. Czerwona linia pionowa przez środek czola, czasem z dwoma białymi po bokach, tworzącym symbol Wisznu: czarę (człowiek) i płomień łaski z góry (Bóg) – to znak czcicieli Boga Syna. A trzy małe poziome linie szarym popiołem nakreślone na czole oznaczają wyznawców Siwy (p. tl.).

oraz kantory wymiany pieniędzy – wszystko to istnieje tu dla pielgrzymów, którzy ciągną tysiącami ku tej prastarej świątyni. Całe miasteczko zawdzięcza jej swe istnienie.

Śpieszno mi już do Maharisziego. Woźnica popędza konika, a ja żegnam wzrokiem chram Arunaczali, wznoszący się swymi dziewięciu wieżami dumnie i potężnie w niebo. Ileż mi one mówią! O cierpliwym trudzie podejmowanym radośnie przet dziesiątki lat w imię Boga. Któż bowiem mógłby wznieść taki imponujący gmach w przeciągu choćby najdłuższego życia jednego człowieka. I znów majaczy mi Egipt. Nawet w architekturze tych domków po obu stronach ulicy, niskich o grubych murach, jest coś z charakteru egipskiego.

Czy też przyjdzie dzień, gdy świątyń tych ludzie odbiegną, pozostawiając je ciszy i zapomnieniu, ich własnemu losowi? Powolnemu ruszeniu się murów, zmieniających się w czerwony i szary proch, z którego ongiś powstały? Czy wynajdą sobie nowych bogów i wzniosą nowe chramy na ich cześć?

Gdy konik nasz galopuje ku stokom góry, gdzie tuli się pustelnia, budząc się nagle z zadumy spostrzegam z dreszczem zachwytu, jakie cuda roztacza przede mną przyroda. Ileż to lat marzyłem o tej wieczornej godzinie na Wschodzie, gdy słońce w całej swej chwale i wspaniałości chyli się nad widnokregiem na nocny spoczynek! Zachód słońca tu – niedaleko równika! Gra barw najwyższych raduje i zdumiewa, a trwa krótko – może niespełna pół godziny. Długie, jesienne zmierschky europejskie są tu nieznane. Olbrzymia kula ognista poczyna widocznie zniżać się ku dżungli, na zachodzie rozlewa się istna tęcza najbogatszych odcieni barw, płonie i mieni się nieporównaną krasą – uczta dla artysty! Kula zmienia się najprzedziwniej w szafranowożółtą i zapada coraz szybciej, by za chwilę zatonać w bezmiarze nieba. Pola, gaje i dżungla zastygają w ciszy. Milkną ćwierkania ptaków i przekomarzania się dzikich małp. Płonące obłoczki bledną, jakby przechodziły w inny wymiar. Zaslona zmierschku zgęszcza się szybko i za chwilę zapada mrokiem na płonący przed chwilą krajobraz.

Cisza ogarnia i moją istotę. Piękno niewymowne tego zachodu przejmuję wzruszeniem serce. Niezapomniane chwile, które nam dobry los przeżyć dozwala! Sama nasuwa się myśl: a może jednak pod surowym, okrutnym obliczem życia kryje się dobroczyzna, wspaniała i piękna Potęga? Chwile te wybiegają z nieznanej dali jak meteory, dzień codzienności odrzucając w niepamięć i snopem

światła złącą widnokrag naszego życia na chwilę – na jedną chwilę radosnej nadziei, by zniknąć zaraz w głębi nieznanych przestrzeni.



Gwiazdki świętojańskich robaczków unoszą się w ogrodzie Arunaczali, kreśląc dziwne linie świetliste na tle otaczającej ciemności, gdy wjeżdżamy w dziedziniec. Wchodzę do dużej sali i doznaję wrażenia, że uroczysta specjalna cisza przeniknęła i tu każdy atom powietrza.

Zgromadzeni siedzą na ziemi bez słowa, najłżejszy szmer nie przerywa ciszy. Na białym tapczanie Mahariszi siedzi jak Budda ze skrzyżowanymi nogami, ręce jego swobodnie spoczywają na kolana. Tym razem uderza mnie prostota i skromność jego wyrazu przy wielkim dostojęństwie, prawie majestacie. Ileż powagi i szlachetności w spokojnym ruchu głowy, który mi przypomina homerowskich mędrców! Oczy, z tą samą niewzruszonością zapatrzona w dal, tak samo stają przede mną jak niezbadana Tajemnica. Czy zapatrzył się tak w ostatnie blaski zachodu na niebie, czy też pogrążony w jakiś stan abstrakcji, podobny do snu na jawie, nie dostrzega nic z otaczającego widzialnego świata?

Te same błękitnawe pasemka kadzidła unoszą się w powietrzu ku drewnianym wiązaniom stropu. Siadam cicho i patrzę na Maharisziego, lecz ogarnia mnie po chwili nieprzewyciężona chęć zamknięcia oczu, a potem, wraz z przenikającym głębokim spokojem, schodzi na mnie dziwny stan półsnu. Przerywa się świadomość zwykła, usypiam i widzę wyraźne obrazy. Zdaje mi się, że jestem małym chłopcem, stoję na stromej ścieżynie, biegnącej spiralnie ku szczytom Arunaczali. Mahariszi stoi przy mnie. Trzymam go za rękę, lecz jakże inaczej wygląda! Olbrzymia, wyniosła, nadludzka postać. Prowadzi mnie coraz dalej od swego mieszkania. Choć otacza nas nieprzenikniona noc, powoli, powolutku wspinamy się po stromej ścieżynie. Po chwili pada nam pod nogi promień księżyca i gwiazdy świecą jasno na niebie. Spostrzegam, że troskliwie prowadzi mnie naokoło skalnych szczelin, pomiędzy olbrzymimi głazami, co zwisają nad nami groźnie, jakby zwałić się miały i zmiażdżyć nas. Góra jest dzika i spadzista. Wśród wąskich przesmyków i skalnych załomów, między ścianami kamieni, to znów za gęstwiną krzaków widać małe pustelnie i chatynki lub grotty i pieczary, zamieszkałe przez ludzi. Gdy zbliżamy się, wychodzą ze swych kryjówek i witają Maharisziego pokłonem. W słabym świetle księżyca poznaję, że to są joginowie i pustelnicy, więcej do duchów,

niż do żywych ludzi podobni w tym mroku. Nie zatrzymujemy się ani na chwilę, wspinamy się wciąż, choć droga coraz uciążliwsza. Wreszcie stajemy na szczycie. Serce bije mi w oczekiwaniu czegoś niezwykłego i wyjątkowego.

Mahariszi zwraca się ku mnie i głęboko patrzy mi w oczy. Czuję jakąś zmianę tajemną w duszy. Dotychczasowe pobudki i dążenia oddalają się. Pałace pragnienia, które dotąd gnały mnie nieukojenie z miejsca na miejsce, cichną i rozwiewają się. A egoizm i ambicje, wstręty i antypatie, oschłość i wymagania, które bujnie krzewiły się w moim sercu, znacząc wszystkie z ludźmi stosunki, odpadają nagle jak obce, nie moje. Cisza niewymowna, spokój nadludzki ogarnia całą moją istotę i wiem, że nigdy już nic więcej od życia nie zapragnę. Nagle Mahariszi wskazuje mi coś u stóp góry; patrzę posłusznie i odkrywam ku największemu zdziwieniu, że całą zachodnią półkulę ziemi widać wyraźnie w dole. Mrowi się milionami ludzi, dostrzegam ich przewalające się fale, czuję ich obecność mimo mroku. Głos mędrca dźwięczy przejmująco:

– Gdy wrócisz tam, weźmiesz ze sobą pokój, który dziś poznajesz, lecz jedną cenę dać zań musisz – oto na zawsze masz odrzucić samo przypuszczenie, że jesteś tylko ciałem i mózgiem. Gdy spokój ten ogarnie niepodzielnie całą twą istotność, wówczas zapomnisz własnej jaźni, całe twoje życie zwróci się ku TEMU! – I Mahariszi kładzie w moją rękę koniec srebrnej, świetlistej nici.

W tej chwili budzę się, a duszę mam pełną uroczystej, wzniosłej powagi. Ledwie otwarłem oczy, spotykam wzrok Maharisiego. Zwrócony ku mnie, przenika mnie spojrzeniem.

Co kryje się za tym dziwnym snem? Wszystkie pragnienia, gorzkie rozczarowania i dążenia osobistego mego życia jakoś znikły i nie mogę ich sobie nawet uprzytomnić. Natomiast jasna obojętność dla własnych trosk, a głębokie współczucie dla ludzi, które zdawały się przepełniać me serce we śnie, są żywe i obecne w tej chwili, w pełni świadomości. Cóż za dziwne przeżycie!

Lecz jeśli w tym śnie ukrywa się prawda, to stan taki nie może we mnie trwać ciągle, to jest z c z e nie dla mnie.

Jak długo śniłem? Wszyscy obecni zbierają się do spoczynku; widać jest już późno i na mnie też pora. W sali chyba za duszno, lepiej na dworze, w podwórzu.

Wysoki, białobrody jogin przynosi mi latarnię radząc nie gasić jej przez całą noc; gdyż zawsze jest tu możliwość odwiedzin nieproszonych gości jak węża lub pantery, a światła obawiają się i unikają. Ziemia spalona jest i twarda jak skała, a materacyka nie zabrałem,

więc długie godziny przechodzą, zanim mogę usnąć. Ale to nic, i tak mam tyle do myślenia. Czuję, że Mahariszi jest najdziwniejszym, może nawet najbardziej tajemniczym człowiekiem, jakiego dane mi było spotkać dotąd w życiu. Zdaje się, że mędrzec ten trzyma w swych rękach coś wielkiego – wiem, że ono mnie dotyczy, ale nie umiałbym określić jego natury. Jest to nieuchwytnie i niepojęte dla rozumu... może duchowe. Ilekroć myśl moja zatrzymuje się przy nim, tylekroć widzę z narzucającą się wyrazistością scenę ze snu i dziwne przenika mnie uczucie – prawie drzę, a serce poczyną bić jakimś trwożnym a wzniosłym oczekiwaniem.



Podczas następnych kilku dni usiłuję wejść w bliższy kontakt z Mahariszim, ale daremnie. Sądzę, że są trzy przyczyny tego. Pierwszą jest jego skupiona natura, jakby odwracająca się od wszelkich uzewnętrżeń, niechęć jego do jakichkolwiek dyskusji i argumentów, jego brak zainteresowania przekonaniem i wierzeniami innych. Jasne jest, że nikogo nie chce przekonywać o prawdziwości swoich pojęć, nikogo nawracać, a tym bardziej – uczynić zeń jednego ze swych wyznawców. Druga przyczyna jest tak dziwna, że niemal śmieszna – jednak muszę ją wyznać: oto od dnia owego snu, ilekroć znajduję się w jego obecności, ogarnia mnie rodzaj trwogi. Pytania, które lekko wyrwałyby mi się z ust wobec kogo innego, tu zamierają mimo woli, jakby świętokradztwem było niemal uważać go za zwykłego człowieka, z którym można rozmawiać i dyskutować na równi, jak z każdym innym. Trzecia przyczyna jest prosta: niemal zawsze jest ktoś w sali, a trudno mi wyrażać swe intymne myśli w czyjejs obecności. Wszak jestem tu obcy i nie ich ze mną nie łączy. To, że używam obcego języka, może być dla większości mało znaczące, lecz moje sceptyczne, nieraz cyniczne patrzenie na rzeczy, całkowicie odbarwione z wszelkich religijnych uczuć, jest dla nich stanowczo niezrozumiałe i rażące. Nie mam wcale ochoty urażać ich pobożnej wrażliwości, ale też nie pociąga mnie oświetlenie spraw i zagadnień od strony, która wcale do mnie nie przemawia. I to w znacznej mierze wywołuje moją niechęć mówienia i zadawania pytań.

Nie łatwo przewyciężyć te trzy przeszkody. Niejednokrotnie już, już otwieram usta, by zapytać o coś Maharisziego, gdy świadomość którejkolwiek z trzech przeszkód staje na drodze – i urywam.

Kilka dni, które przeznaczyłem na tę pustelnię, przechodzi szybko. Przedłużam je i postanawiam pozostać tydzień. I ten mija.



Zostają dwa. Pierwsza moja rozmowa godna tego imienia z Mahariszim okazuje się też ostatnią. Inne to tylko strzępki, urywki przygodne, poza które przez całe dwa tygodnie nie umiem wyjść. Co dzień odczuwam cudowny spokój w atmosferze mędrca, pogodę i ciszę, zdające się przenikać samo powietrze, którym on oddycha, ale dopiero ostatni dzień przynosi mi upragnioną rozmowę.

Podsumowując rezultat mego pobytu, widzę, iż były to na przemian wzniosłe nastroje i smutne rozczarowania, gdy nie mogłem nawiązać z Mahariszim tego osobistego kontaktu, o jaki mi chodziło. Ostatniego dnia czuję coś na kształt rozpacz. Rozglądam się po sali, wszyscy ci ludzie, zarówno wewnątrz jak i zewnątrz, mówią innym ode mnie językiem, jakże więc zdołam zbliżyć się do nich? Patrę na Maharisziego. Siedzi tam, jakby na wyżynach Olimpu, i patrzy na panoramę życia z góry, z oddali, jak ktoś, kto sam do tego nie należy. Jakaś tajemnicza właściwość odróżnia tego człowieka od wszystkich, jakich kiedykolwiek spotkałem. Niejednokrotnie mi się zdaje, że on nie należy do nas, do ludzkości, lecz raczej do przyrody. Do tego samotnego szczytu, wznoszącego się stromo i dumnie za oknami; do tej dżungli dzikiej i nieprzeniknionej, rozciągającej się aż ku lasom dziewiczym w oddali; do niezbadanych rozmiarów nieba i gwiazdzistych przestworzy.

Coś z kamiennej niewzruszoności wyniosłej Arunaczali, zdaje się, przeniknęło w istotę Maharisziego. Opowiadano mi, że mieszkał na tej górze przez lat trzydzieści, a teraz nie zgadza się jej opuścić nawet na dzień jeden. Tak głębokie, ściśle życie się musi się odbić jakimś wpływem na naturze człowieka. Wiem, że miłuje tę górę. Ktoś mi przeczytał parę linii z pięknego, lecz prawie wstrząsającego poematu, które mędrzec napisał w języku tamilskim dając wyraz tej miłości. Jak ta góra samotna wyrasta na brzegu dżungli, wznosząc swój szeroki szczyt w błękit nieba, tak wznosi głowę ten człowiek przedziwny, w samotnym majestacie swej wielkości, swej nieporównanej odrębności, ponad ciżbę ludzką całej kuli ziemskiej. Jak Arunaczala, Góra Świętego Płomienia, stoi sama, wyniosła i dumna, oddzielnie od nieregularnych, rozrzuconych wzgórz, opasujących cały krajobraz, tak Mahariszi jest sam tajemną, niepojętą samotnością nawet wśród otaczających go uczniów, wyznawców, czcicieli, którzy kochają go i wielbią od lat. Bezosobista, nieprzenikniona cecha przyrody, tak wybitnie i wyraziście przedstawiająca się w tej Świętej Górze, przeniknęła i weń i oddzieliła go od słabych, ułomnych jego braci jakby na zawsze. Czasem spostrzegam, że sam pragnąłbym go widzieć nieco bliższym „człowieczeństwa”, nieco

bardziej dostępnym dla uczuć, które się nam wydają tak naturalne, a przecie w obliczu jego bezosobistej powagi przedstawione – okazują się słabością i małością. A jednak, jeśli Mahariszi istotnie osiągnął wysokie urzeczywistnienia duchowe, niedostępne dla innych, musiał przez to samo wznieść się ponad ludzkość, pozostawiając na zawsze daleko poza sobą resztę naszej rasy. Czyż nie jest to proste a nieuniknione? Czymże mam wytłumaczyć to dziwne uczucie, które mnie nieodmiennie ogarnia, ilekroć wzrok jego czuję na sobie – uczucie niemal trwożnego a radosnego oczekiwania, jakby objawienie przedziwne było bliskie.

Ale, biorąc trzeźwo, poza owymi stanami niezmaconej pogody i ciszy oraz wspomnieniem snu, który mógł być wieszczym, żadne rewelacyjne słowa ni znaki do mnie nie dotarły i dziś, gdy tak mało czasu mi już pozostaje, rozpacz mnie niemal ogarnia: dwa tygodnie i tylko jedna krótka rozmowa! Nawet urywany sposób wyrażania się Maharisziego trzymał mnie z dala, a również pamięć pierwszego przyjęcia, jakbym był kimś nieproszonym i zbędnym, choć mój przewodnik, żółtoszary jog, chcąc skłonić mnie do przyjazdu, tyle mi czynił najbardziej pociągających obietnic. Muszę szczerze przyznać, że pragnę uparcie, aż do drczącej męki, właśnie z tego człowieka – ponad wszystkimi innymi na ziemi – coś wydobyć. Zawładnęła mną bowiem niepodzielnie jedna myśl, która nie jest wynikiem rozumowania; przyszła sama, nieproszona i nie daje mi spokoju powtarzającym się wciąż refrenem: „Ten człowiek wyzwolił się od wszelkich zagadnień i żaden ból ni troska nie mogą go dotknąć”.

Postanawiam uczynić ostatni wysiłek, by mymi pytaniami zmusić Maharisziego do wyczerpującej odpowiedzi. Idę do jednego z jego starszych uczniów, który nieoczekiwanie okazał mi dużo dobroci, i mówię mu szczerze, jak bardzo pragnę mieć dłuższą z Mahariszim rozmowę przed odjazdem. Wyznaję, że nie śmiem sam o to prosić, ale liczę na jego pomoc. Jog uśmiecha się ze współczuciem, idzie do Maharisziego, za chwilę powraca oznajmiając, iż mistrz jego chętnie ze mną pomówi.

Spieszę więc do sali. Siadam blisko tapczanu. Mahariszi od razu zwraca się ku mnie i wita uśmiechem. Robi mi się rażno i swobodnie – tak łatwo teraz zadawać pytania.

– Joginowie hinduscy mówią, że chcąc znaleźć Prawdę trzeba usunąć się od świata i pójść w samotnię gór czy lasów, lecz dla nas ludzi Zachodu jest to niezmiernie trudne, prawie niemożliwe, tak bowiem inne jest tam życie. Czy Mahariszi podziela to zdanie joginów?

Mędrzec zwraca się do jednego z braminów o inteligentnym i miłym wyrazie twarzy i ten tłumaczy mi odpowiedź.

– Nie należy przerywać czynnego życia. Jeśli się poświęci codziennie godzinę czy dwie medytacji, można nadal wypełniać wszystkie swe obowiązki. Bo gdy medytacja będzie uprawiana we właściwy sposób, stworzy ona tak silny prąd myśli, że ten nie przerwie się przez cały dzień, nawet podczas wszelkich innych zajęć. Istnieją jakby dwa sposoby wyrażania tego samego; idee, które obiera się do medytacji, mogą być wyrażane i w działaniu.

– Jakież będzie tego skutek?

– Po pewnym czasie stosunek do ludzi, zdarzeń i przedmiotów zacznie się zmieniać. Wszystkie czyny, całe postępowanie będą same przez się szły za linią rozmyślań.

– Więc Mahariszi zgadza się z twierdzeniem joginów? – usiłuje wydobyć wyraźną odpowiedź. Lecz Mahariszi unika jej.

– Należy zniweczyć egoizm, osobiste pragnienia, które nas przykuwają do tego znikomego świata. Prawdziwe wyrzeczenie się to odrzucenie złudnego ja.

– Czyż można wśród wszelkich światowych zajęć stać się bezosobistym i niesamolubnym?

– Czyn i mądrość nie wykluczają się wzajemnie.

• Czy znaczy to, że można dalej pracować w tych samych dziedzinach, w tym samym zawodzie np., a jednocześnie szukać prawdy i zdobyć oświecenie?

– Dlaczegoż by nie? Ale wówczas nie uważa się naszej dotychczasowej osobowości za działającą i wypełniającą pracę. Bowiem cała świadomość zmienia powoli swój ośrodek ciężenia, aż skupi się całkowicie w T y m, a T o jest poza naszą małością, poza naszym małym ja.

– Ale w życiu, wśród normalnych zajęć, mało zostaje czasu na medytację.

– Tylko początkujący, nowicjusze w życiu duchowym muszą wyznaczać sobie specjalne godziny na medytację. Człowiek, który robi nieco szybsze postępy, poznaje wkrótce głęboką, duchową radość, a odczuwać ją może zarówno przy pracy jak w medytacji. Ręce jego mogą być zatrudnione, współdziałając ze społeczeństwem, a głowa wznosić się w ciszę samotną i beznamietną.

• – A więc Mahariszi nie naucza jogi?

– Joginowie, usiłując skierować swą myśl do obranego celu, podobni są do pastuchów, którzy popędzają swe woły kijem, a na tej

drodze jest się raczej pasterzem, który pokazując soczystą trawę wołom, skłania je do przyspieszenia kroku.

– Jakże to zrobić?

– Trzeba wciąż zadawać sobie pytanie: kim jestem? Badanie to, czynione sumiennie, musi nas w końcu doprowadzić do odkrycia w sobie czegoś większego nad umysł, czegoś, co jest ponad myślą. Gdy się to największe zagadnienie rozwiąże, wszystkie inne rozwiążą się same przez się.

Następuje milczenie. Usiłuję wniknąć w te odpowiedzi.

Przez kwadratowe okno o żelaznych prętach, bez szyb, widzę wyraźnie podnóże Góry Świętej i jej strome zbocza, dziwną linią rysujące się w świetle porannego słońca. Mahariszi sam zwraca się do mnie:

– Może jaśniejsze to będzie, gdy powiem: wszyscy ludzie, od wieków pragną szczęścia nie zmaconego żadnym smutkiem. Chcą posiadać szczęście całkowite i nie kończące się nigdy. W instynkcie tym ukrywa się prawda. A czy nie zauważyłeś, że ludzie prawie zawsze najwięcej kochają swoje własne ja?

– A więc?

– Postaraj się połączyć to z niezaprzeczalnym faktem, że szczęścia szukają zawsze i wszelkimi sposobami, czy to w pijaństwie, czy w religii, a znajdziesz klucz do zrozumienia prawdziwej natury człowieka.

– Jeszcze nie mogę pojąć...

– Głos Mahariszego staje się wyższym:

– Istotną naturą człowieka jest szczęśliwość. Tak, szczęśliwość to wrodzona cecha prawdziwej Jaźni. Tęskniąc do szczęścia człowiek nieświadomie tęskni do siebie Samego. Istotna jego Jaźń jest wieczysta i niezniszczalna, gdy ją odnajdzie, znajdzie trwałe, nigdy nie kończące się szczęście.

– Ale ludzie są wszędzie tak nieszczęśliwi?

– Tak, bo nie znają zupełnie swej istotnej natury. A jednak wszyscy bez wyjątku, świadomie lub nieświadomie, wciąż jej szukają.

– Czyż i ludzie źli, okrutni, zbrodniczy? – pytam.

– Tylko dlatego popełniają zbrodnię, że w każdej zdaje się im, iż uchwycą coś z owego wytęsknionego szczęścia. Pogoń za szczęściem jest w człowieku najsilniejszym instynktem. Ale ludzie nie wiedzą, iż jest ona właściwie szukaniem Siebie, więc rzucają się na niewłaściwe drogi, sądząc, że tam znajdą szczęście. Mylą się, bo każdy zły czyn powraca ku nim jako cierpienie.

– Więc naprawdę zdobędziemy nie przemijające szczęście, gdy poznamy nasze prawdziwe ja?

Mahariszi potakuje gestem. Promień słońca pada w tej chwili na jego twarz. Ileż nie zmałowanej pogody na tym wyniosłym czole, ile słonecznej radości wokół ust o wyrazie woli niezłomnej, ile głębokiego, świątynnego pokoju w przejrzystych, bezdennych źrenicach! Tak, wyraz całej jego postaci świadczy o prawdzie jego rewelacyjnych słów.

Jakie jest właściwe znaczenie tych pozornie prostych słów? Tłumacz przekazał mi ich znaczenie zewnętrzne, ale głębszej ich treści nie jest w stanie mi dać, wiem, że tylko sam odkryć je mogę. Mędrzec zdaje się mówić nie jak uczony filozof, wykładający swą teorię, lecz dając raczej coś z samej głębi żywego serca. Czy słowa te są wyrazem jego własnego, przeżytego doświadczenia?

– Czymże jest owo j a człowieka, o którym Mahariszi mówi? Jeśli wszystko to jest prawda, to chyba musi w nas być jakieś inne j a prócz tego, które sami znamy?

Przelotny uśmiech ukazuje się na jego twarzy.

– Jakżeby dwie istności, dwie jaźnie mogły jednocześnie władać człowiekiem? Chcąc zrozumieć to zagadnienie, trzeba zanalizować siebie. Człowiek tak długo poddawał się temu, co inni myślą, że nigdy nie stanął twarzą w twarz z własnym „Ja”. Nie zna siebie. Nie widział nigdy dokładnego s e g o wizerunku. Zbyt długo utożsamiał się ze swym ciałem fizycznym i aparatem mózgowym. Dlatego powtarzam tak często, że trzeba ciągle zadawać sobie pytanie : kim jestem?

Urywa na chwilę, jakby dając mi czas do przyswojenia sobie tych słów. Chłonę je chciwie.

– Chciałbyś, bym opisał tę jaźń? Cóż można o niej rzec? Jest to – TO, z czego wszelkie poczucie indywidualnego Ja pochodzi i w czym się z czasem pogrąży i zniknie.

– Zniknie? – powtarzam jak echo. – Jakże można kiedykolwiek utracić poczucie własnej indywidualności?

– Pierwszą, najpierwotniejszą myślą w umyśle każdego człowieka jest owo pojęcie „ja”. Dopiero gdy ono się zrodzi, wszystkie inne mogą powstawać. Zaimek „ty” może narodzić się w myśli dopiero po urodzeniu się pierwszego – tj. „ja”. I gdybyście mogli iść myślą wstecz za nicią owego pojęcia „ja” aż do jego źródła, odkrylibyście z łatwością, że tak jak najpierwsze się ono pojawia, tak ostatnie znika. Jest to kwestia, którą można wypróbować i sprawdzić własnym doświadczeniem.

– Czy Mahariszi przez to rozumie, że każdy może przeprowadzić takie myślowe badanie siebie?

– Oczywiście! Można iść coraz bardziej w głąb siebie, aż ostatnie pojęcie „ja” zniknie.

– A cóż pozostanie? Czy człowiek straci wtedy wszelką świadomość, czy stanie się idiotą?

– O nie! Odwrotnie! Sięgnie w świadomość nieśmiertelną i olbrzymią, w mądrość istotną, gdyż zbudzi się w swojej prawdziwej, rzeczywistej naturze.

– Ale poczucie „ja” chyba i wówczas musi pozostać? – bronię się uparcie.

– Poczucie „ja” należy do naszej osobowości, do ciała i mózgu – odpowiada spokojnie Mahariszi. – Gdy człowiek po raz pierwszy odkrywa swą własną naturę, coś innego powstaje z głębi jego istoty i ogarnia go całkowicie. Owo „coś” jest poza myślą, jest nieskończone, wieczyste i boskie. Jedni nazywają je królestwem niebieskim, inni duszą lub duchem, jeszcze inni nirwaną, a my, Hindusi, zwiemy to wyzwoleniem. Możecie nazwać „to” jak sami chcecie. Gdy to się staje, człowiek w istocie siebie nie traci, raczej siebie odnajduje.

Gdy tłumacz wymawia to ostatnie zdanie, nagle stają mi w myśli te słowa pamiętne, wypowiedziane przed wiekami przez Nauczyciela z Galilei, słowa niezrozumiałe dla tylu ludzi:

„Kto by chciał zachować duszę swą, straci ją, a kto by stracił duszę swą dla mnie, znajdzie ją”.

Jakże uderzająco podobne są te słowa Jezusa do słów mędrca hinduskiego, choć ten zdobył tę prawdę własną, nie chrześcijańską drogą, drogą psychologiczną, która się zdaje nieskończenie trudną, mało zrozumiałą i dziwną.

Mahariszi odzywa się znów:

– Zanim człowiek puści się w tę wielką odkrywczą podróż, w poszukiwaniu Siebie, niepewność, zwątpienie, męka muszą być jego nieodstępными towarzyszami. Najwięksi monarchowie i mężowie stanu, usiłujący rządzić innymi, wiedzą dobrze w głębi serca własnego, że rządzić sobą nie potrafią. A największa potęga jest w ręku tego człowieka, który sięgnął w najistotniejszą głąb swej istoty. Jest wielu ludzi geniuszu, olbrzymów intelektu, którzy całe życie gromadzą wiedzę z przeróżnych dziedzin, ale gdy się ich spytać, czy rozwiązali zagadnienie człowieka, czy odgadli jego tajemnicę, czy zdobyli władzę nad sobą, pochylają głowę ze wstydem. Na cóż zda się wiedza o różnych rzeczach, gdy nie wiedzą, kim są sami. Ludzie tak unikają owego pytania i zagłębiania się w swą

prawdziwą naturę, a czyż istnieje coś bardziej godnego naszego trudu?

– Ale to się wydaje tak trudnym, tak niemal nadludzkim zadaniem – wtrącam.

– Czy to jest możliwe, czy nie, to kwestia własnego doświadczenia. Trudność jest mniejsza, niż może się zdawać.

– Dla nas czynnych, ruchliwych, praktycznych ludzi Zachodu taka introspekcja... – zaczynam z powątpiewaniem i urywam w pół zdania.

Mahariszi pochyła się ku gasnącym laseczkom sandałowym, zapala jedną i odzywa się znów:

– Osiągnięcie prawdy jest równie możliwe dla Hindusów jak dla Europejczyków. Przypuśćmy, że dla tych, których pochłania życie zewnętrzne, droga jest trudniejsza, ale nawet i oni mogą i muszą zwyciężyć. Prąd myśli, wytworzony podczas medytacji, może być utrzymywany drogą stałej praktyki, która wkrótce wchodzi w przyzwyczajenie. A wtedy wszelka praca i działalność odbywa się jakby w tym prądzie; nic go nie narusza i nie przerywa. A więc po pewnym czasie nie ma różnicy między medytacją a działalnością zewnętrzną. Jeśli będziesz rozmyślał nad zagadnieniem – kim jestem? jeśli zaczniesz rozumieć, że ciało fizyczne z mózgiem i pragnienia to jeszcze nie najistotniejsza, najgłębsza nasza istota, to samo to usilne i natarczywe pytanie wywoła z głębi twojego jestestwa odpowiedź. Przyjdzie ona samorzutnie jako realne przeżycie i – będzie osiągnięciem prawdy.

Zamyślam się nad tymi słowami.

– Poznaj rzeczywistość J a ż ń, wówczas prawda, jak samo słońce żywa, zajaśnieje w twym sercu. Myśl stanie się spokojna i beztraska, a szczęście prawdziwe popłynie jak potok, bowiem szczęście i Jażń istotna są jednym. Wraz z osiągnięciem tej świadomości Siebie znikają na zawsze wszelkie wątpliwości i wahania.

Zwraca głowę ku oknu i patrz w dal. Wiem już, że oznacza to koniec rozmowy. Dumny jestem, iż udało mi się jednak skłonić tego milczącego człowieka do tak wyczerpujących odpowiedzi.



Wychodzę i błędę parę godzin po cichych gąszczach dżungli, a resztę dnia spędzam sam wśród notatek i książek. O zmierzchu wracam do sali, gdyż za parę godzin zajędzie wózek, by mnie unieść daleko od tej pięknej pustelni.

Aromatyczny zapach kadzidła przepelnia powietrze. Mahariszi na pół leży pod wielkim wachlarzem, lecz po chwili siada w swej ulubionej pozie, którą mi pokazywał Brahma, jogin znad rzeki Adiaru, jako „najwygodniejszą” z postaw. Próbowałem jej sam, jest istotnie łatwa i wygodna. Mahariszi z twarzą wspartą na rękę, opiera się łokciem o kolano; patrzy na mnie uważnie, ale milczy. Przy tapczanie stoi jego nieodstępny kij bambusowy i ciemny, z kokosowego orzecha drażony dzbanek. Oto jedyna jego własność poza przepaską na biodra. Cóż za nieme wyzwanie naszej zachodniej żądzy posiadania!

Żrenice jego, zawsze przejrzyste i jasne, stają się jeszcze bardziej błyszczące, wpatrzone w jeden punkt, ciało nieruchomieje, głowa, lekko drżąca przed chwilą, zastyga w jednym ruchu, poznaje z łatwością, że wchodzi w ten stan koncentracji wewnętrznej, w której go po raz pierwszy ujrzałem. Jak dziwnie – myślę – rozstajemy się tak, jakeśmy się spotkali! Ktoś pochyla się ku mnie i szepce mi na ucho:

– Mahariszi pograżył się w swą świętą medytację, żadne słowa doń teraz nie dotrą.

Cisza zstępuje na małą gromadkę. Minuty przechodzą, a cisza wciąż się pogłębia. Nie jestem religijny, a jednak nie mogę się oprzeć przemożnemu uczuciu uroczystego skupienia, rzekłbym, niemal trwogi, jak pszczoła nie może oprzeć się pokusie miodnego kwiatu w pełnym rozkwicie... Całą salę zdaje się przenikać nieuchwytny prąd o potężnym napięciu. Czuję jego wpływ w całej mej istocie. Nie ulega żadnej wątpliwości, że ośrodkiem i twórcą tej tajemnej energii jest milcząca postać na tapczanie. Oczy Maharisziego jaśniejają dziwnym światłem. Powstaje we mnie niewytłumaczone uczucie, jakby te nieruchome, świetliste żrenice patrzyły w mą duszę widząc wszystko do dna. Mam niemal jasną świadomość, że najszybsze myśli, najbardziej ukryte wzruszenia mego serca, najtajniejsze pragnienia wzrok ten przenika na wskroś. Jestem przed nim bezbronny, nie mogę ująć ani się skryć. Na chwilę ogarnia mnie niepokój, ale zaraz ustępuje miejsca dobrotliwemu poddaniu się, jakby w niejasnym przecuciu, że tylko dobro może mi to przynieść. Wiem, że nawet odległe, przeze mnie samego zapomniane karty mego życia są wszystkie odkryte przed tym nieubłaganym spojrzeniem. Ale ująć już przed nim nie chcę. Czuję, jak widzi słabości wszystkie mej natury, cały spleciony gąszcz różnorodnych wzruszeń przeszłości i uczuć, które rzucały mną jak piłką. Ale też wiem nieomylnym instynktem, że rozumie owo zaciekle, rozpaczliwe



poszukiwanie, które mnie zmusiło do porzucenia utartych dróg i szukania takich ludzi jak on. Naraz prąd zmienia się wyraźnie. Powieki moje trzepoczą mimowolnym mruganiem, lecz oczy Maharisziego są nadal nieruchome. Poczynam zdawać sobie sprawę, że łączy on mój świat ze swoim. Że pobudza serce, wprowadzając weń przedziwny, gwiazdny spokój, w którym sam nieustannie przebywa. Tonąc w nim czuję nieznaną mi dotąd lekkość i wzniesienie, jakbym miał skrzydła. Czas się jakby zatrzymał i przestał istnieć. Spadły wszelkie okowy cierpienia i trosk. I nigdy już – czuję to wyraźnie – gorycz gniewu ni melancholia niespełnionych pragnień nie przytłoczy mi serca. Głęboko w tej chwili rozumiem, że wrodzony instynkt, który zmusza człowieka patrzeć wzwyż, który podsyca słabnącą wiarę i rozpala nadzieję nawet wśród czarnej nocy życia, budząc odwagę przetrwania, jest instynktem prawdy, gdyż treść „dusza” zjawisk i życia samego jest dobra! Wszystkie zegary stanęły. Błędy odpadły, małości odbiegły. Cudowna, wibrująca cisza uniosła mnie w świat Maharisziego. Pograżam się w jego mądrości i jestem jak planeta w najbliższej odległości od słońca. Czyż wzrok tego człowieka nie jest jak różdżka maga, wywołującego ukryty tajemny świat nieoczekiwanego piękna przed oczami mej duszy?

Pytałem się czasem siebie, po co ci wszyscy uczniowie przebywają latami przy Mahariszim, choć nie mówią z nim prawie nigdy i nie mają tu żadnej pracy, jeszcze mniej wygód czy zewnętrznych radości. W tej chwili zaczynam rozumieć – nie drogą myślową, przez podobne błyskawicom momenty olśnień otrzymują głęboką a milczącą nagrodę.

Dotąd wszyscy na sali trwali zastygli w cichej medytacji, teraz spostrzegam, że jeden za drugim wstają i prawie bezszelestnie opuszczają salę – aż w końcu znajduje się z Maharaszim sam. Po raz pierwszy, odkąd tu jestem. Oczy jego zmieniają się, zdają się zwięzać i przymykać, aż widzę tylko jeden świetlny punkt, jeszcze potężniejszy w napięciu jasności i mocy. I nagle czuje, że ciało me zdaje się znikać, czuję jakby lot i znajduję się przy Mahariszim w przestrzeni powietrznej!

Chwila krytyczna, decydująca! Waham się i ... postanawiam złamać ten dziwny czar. Decyzja to moc, więc znów w pełni świadomości znajduję się na sali.

Nie mówi nic. Usiłuję zebrać myśli i wrócić do konkretności. Patrzę na zegar – czas na pociąg. Wstaję i skłaniam głowę na pożegnanie. Mędrzec odpowiada mi skinieniem. Wymawiam parę słów podzięk. Znów milczący gest.

Zatrzymuję się raz jeszcze na progu. Słyszę już dzwoneczki wołów.  
Raz jeszcze wznoszę złożone ręce do czoła.  
I tak się rozstajemy.

# WŚRÓD MAGÓW I ŚWIĘTYCH

Że istnieją fakirzy, praktykujący pewien rodzaj prawdziwej magii, miałem się wkrótce przekonać. Było to podczas krótkiego pobytu w miasteczku Berhampur, gdzie się zatrzymałem po drodze do słynnego Puri; pełno tu pradawnych i najdziwaczniejszych zwyczajów. Zatrzymałem się w zajeździe o dużej ocienionej daszkiem werandzie i gdy po południu szukał na niej schronienia przed skwarem, obserwując z wygodnego leżaka grę światła na bujnych podzwrotnikowych krzakach, usłyszałem ciche stąpanie bosych stóp po ścieżce, po czym dość dziko wyglądający człowiek z małym bambusowym koszyczkiem stanął przy furtce. Włosy długie i skołtunione oraz przekrwione oczy zwracają mą uwagę. Podchodzi do werandy, stawia koszyk i podnosi ręce do twarzy na znak pełnego szacunku powitania, po czym mówi coś do mnie, ale kilka angielskich słów ginie wśród innych zgoła dla mnie niezrozumiałych, przy tym akcent tych kilku wyrazów jest taki, że trudno się nawet domyślić ich znaczenia. Przypuszczam, iż mówi językiem telegu; staram się odpowiedzieć kilku najprostrzymi zdaniami, ale widzę, że są one w jego uszach równie nie skoordynowanymi dźwiękami jak jego słowa w moich. Sądząc z gestów i gry twarzy odgaduję, że ma coś ciekawego w koszyku i chciałby mi to pokazać.

Wołam posługacza z głębi domu i proszę, by spytał, o co chodzi.

– On chce panu pokazać magiczną sztukę fakira.

– Doskonale! A ile za to chce?

– Ile sahib da.

– To niech zaczyna!

Postać fakira intryguje mnie i odstręcza zarazem. Trudno określić wyraz tego człowieka; coś niesamowitego, prawie ponurego zdaje się go otaczać; jednak nie czuję nic złego ani nieprzyjemnego, raczej jakąś niezupełnie ludzką siłę czy obecność. Nie wchodzi na werandę, przysiadając pod olbrzymim drzewem banianu, którego długie zwisające gałęzie i korzenie tworzą nad jego głową rodzaj baldachimu spuszczonego się aż do ziemi. Otwiera koszyczek i dobywa zeń jadowicie wyglądającego skorpiona; trzyma go przy pomocy drewnianych szczypców. Wstrętny owad usiłuje wyrwać się i uciec. Fakir

rysuje palcem koło na piasku i wpuszcza weń skorpion; ten rzuca się do ucieczki, lecz biega ciągle naokoło, a ilekroć zbliża się do nakreślonego kręgu, waha się i odstępuje jak przed konkretną zaporą. Obserwuję to z bliska w pełnym, olśniewającym świetle słonecznym. Po paru minutach daję mu znak, że już dość, i staram się wyrazić gestem uznanie. Skorpion wraca do koszyka.

Teraz wydobywa zeń dwa cienkie żelazne pręty o zaokrąglonych końcach. Przymyka swe niepokojące, przekrwione oczy, jakby skupiał się i czekał na odpowiednią chwilę dla rozpoczęcia drugiej sztuki. Po chwili otwiera oczy, pakuje jeden pręt ostrzem naprzód do ust i przebijając policzek wyciąga go prawie w całej długości na zewnątrz; powtarza to samo z drugim, tak że mam przed sobą twarz przebitą na wylot z dwoma sterczącymi prętami. Przechodzi mnie dreszcz obrzydzenia pomieszanego z ciekawością i zdumieniem.

Po chwili wyciąga spokojnie oba pręty z policzków i składa ukłon w moją stronę. Schodzę pośpiesznie z werandy, by dotknąć pokaleczonej twarzy, ale ku memu zdumieniu poza paru kroplami krwi i dwoma małutkimi otworami w skórze, dziesięciokrotnie mniejszymi od obwodu ostrza, nie widzę ani śladu oczekiwanych ran!

Fakir prosi gestem, bym wrócił na swoje miejsce, i znów skupia się przez parę minut, jakby zbierał się z siłami i przygotowywał do nowego wyczynu. Istotnie zupełnie spokojnie i obojętnie, jakby brał do ręki guzik od ubrania, podnosząc prawą rękę do oka zagłębia palce w oczodole, chwyta za gałkę oczną i wyciąga ją powoli na zewnątrz, tak iż wisi swobodnie na mięśniach i naczyniach krwionośnych dotykając policzka. Cofam się instynktownie i ze zdziwieniem, ale też z uczuciem obrzydzenia i nie mogę przyjść do siebie, zanim gałka oczna nie wraca na swe normalne miejsce. Cóż za przykry widok!...

Mam już dość tych pokazów, daję mu parę srebrnych rupii i ociągając się nieco pytam postugacza, czy fakir mógłby mi wyjaśnić, jakiego sposobu używa przy tych anatomicznych okropnościach.

– Przyrzekł nie mówić, panie. Ojciec uczy syna. Tylko rodzina umie.

Nie zmartwiła mnie odmowa. Właściwie może to być ciekawsze dla chirurgów i lekarzy niż dla wędrujących pisarzy.

Fakir podnosi ręce do twarzy w pożegnalnym pozdrowieniu i zadowolony oddala się znikając po chwili na zakręcie drogi.

Cichy plusk fal cieszy mnie w Puri. Jakże miło czuć odświeżający wiatr od Zatoki Bengalskiej. Idę pustym brzegiem, złocącym się szerokimi płatami piachu; morze zdaje się roztopionym szafirem, a rozżarzone powietrze najdelikatniejszą mgiełką rzuconą na daleki horyzont.

Zegarek błyszczy oślepiająco, gdy go wydobywam. Zawracam ku miastu i od razu na wstępie napotykam ciekawe przedstawienie, które ma mi dostarczyć najdziwniejszych doświadczeń. Widzę bogato odzianego człowieka otoczonego przez tłum; poznaję po turbanie i spodniach, że jest mahometaninem, i dziwię się, że ma tyłu widzów wśród wyznawców hinduizmu. Zaciekawienie. Dostrzegam małą w barwnym stroju, której wydaje różne rozkazy, a ona wypełnia wszystkie niemal z ludzką inteligencją.

Dostrzegszy mnie coś do niej mówi, a ta jednym susem znajduje się przy mnie i wydając przeciągły krzyk zdejmując kapelusz i wyciąga go z prośbą o datek. Rzucam monetę, mała kłania się z kurtuazją i wraca do swego pana. Za chwilę tańczy w takt muzyki starej katarynki; ruchy ma pełne wdzięku i zadziwiające poczucie rytmu.

Gdy przedstawienie dobiega końca, właściciel małej zwraca się do swego młodego pomocnika i mówi coś w języku urdu, ten zbliża się do mnie i zaprasza do wnętrza namiotu, gdzie pan jego ma mi coś do pokazania. Idę chętnie. Chłopak zatrzymuje napór tłoczących się gapiów, a wystrojony mężczyzna wchodzi ze mną do namiotu. Nie jest to właściwie namiot, gdyż ma nad swymi ścianami z płótna otwarte niebo, to też jasno tu jest jak na zewnątrz. Zwyczajny drewniany stół zajmuje środek „namiotu”. Gospodarz wyjmuje z zawiniątka parę małych laleczek o główkach z kolorowego wosku a nogach ze sztywnych patyczków, zakończonych żelaznymi guzikami, na których laleczki doskonale stoją na stole. Potem oddala się mniej więcej o metr i wymawia jakieś rozkazy w języku urdu. Po kilku minutach lalki zaczynają się poruszać po stole, a wreszcie tańczyć.

Takt wybija małą laseczką niczym dyrygent orkiestry, a kolorowe figurki kręcą się i ruszają w doskonałej zgodzie i rytmie. Poruszają się po całej powierzchni stołu, zbliżają do brzegów, ale nigdy nie spadają.

Nic nie rozumiem, a widzę to w pełnym świetle! Podejrzewając jakąś sztuczkę, zbliżam się do stołu, przesuwam ręką pod deskami,

chcąc się przekonać, czy nie ma gdzie jakichś nici czy drucików, dotykam laleczek – ale najstarsze oględziny nic nie wykrywają. Czyż człowiek ten jest nie tylko zręcznym sztukmistrzem, ale i fakirem?

Po chwili prosi, bym kolejno wskazywał różne części stołu: za każdym razem wszystkie laleczki od razu się tam kierują i tańczą razem na jednym miejscu. W końcu pokazuje mi monetę i coś mówi; domyślam się, o co chodzi, wydobywam taką samą i kładę na stole. I ona poczyna prawie niezwłocznie tańczyć i podskakiwać kierując się wyraźnie ku fakirowi. Znalazłszy się na krawędzi spada na ziemię, toczy się do jego nóg i zatrzymuje się. Podnosi ją, chowa do kieszeni i dziękuje mi uprzejmym muzułmańskim gestem.

Nie mogę jeszcze ochłonać ze zdziwienia ani zakwalifikować zjawiska; czy są to niezwykle zręczne sztuki czy przejaw nadnormalnych sił fakira. Wahania te malują się zapewne na mej twarzy, gdyż gospodarz woła swego pomocnika i każe spytać mnie, czy pragnę widzieć dalsze sztuki. Oczywiście odpowiadam twierdząco. Wówczas oddaje katarynkę młodszemu, a mnie prosi o położenie swego pierścionka na stole. Czynię to chętnie. Jest to ten sam pierścionek, który otrzymałem przy pożegnaniu od Brahmy – anachorety znad rzeki Adiaru. Obserwuję jego zielonawy kamień w złotej oprawie, gdy fakir oddala się nieco od stołu i zaczyna wymawiać rozkazującym tonem jakieś słowa, czyniąc jednocześnie odpowiedni ruch ręką. Za każdym jego zdaniem pierścień wznosi się w powietrze i znów opada. Teraz zaczyna grać na harmonijce, a pierścień ku memu największemu zdumieniu tańczy w takt, to wznosząc się, to opadając. Fakir z harmonijką stoi z dala, nie dotyka stołu – pierścień nawet na chwilę nie był w jego ręku. Jakaż więc siła tu działa, jak można wyrzucić wpływ na martwy przedmiot, czyniąc go posłusznym słowom rozkazu? Nie pojmuję.

Gdy chłopak zwraca mi klejnot, oglądam go na wsze strony uważnie, ale nie dostrzegam żadnego znaku ni zmiany.

Za chwilę fakir raz jeszcze otwiera swą torbę i wyjmuje z niej płaską, zardzewiałą sztabkę żelazną około trzech cali długą a pół cala szeroką. Chce ją położyć na stole, ale proszę, by mi ją dał w pierś do rąk, co też czyni; oglądam i kręcę na wszystkie strony, ale nic nie widzę prócz zardzewiałego żelaza. Podchodzę raz jeszcze do stołu i badam powierzchnię jego i spód, nigdzie nic podejrzanego.

Sztabka leży na środku stołu. Fakir energicznie zaciera ręce dość długo, następnie wyciąga je i trzyma dłonie o parę cali nad żelazem pochylając się przy tym całym ciałem naprzód. Obserwuję go

bacznie. Powoli poczyną cofać ręce ku sobie nie zmieniając kierunku nachylenia palców i znów widzę, jak sztabka porusza się wyraźnie i sunie po stole bez niczyjego dotknięcia, równolegle do cofających się rąk. Przestrzeń, dzieląca je od żelaza, wynosi około paru cali. Gdy zatrzymuje ręce nad krawędzią stołu, sztabka staje również. Znów proszę o dokładne jej obejrzenie, ale jak przedtem, nie znajduję nic szczególnego.

Fakir powtarza to samo doświadczenie z małym, w stal oprawnym, scyzorykiem.

Nagradzam go szczerze za tak ciekawe wyczyny i proszę, by mi wytłumaczył coś niecoś z techniki, jakiej używa. Mówi mi, że przedmioty powinny zawierać żelazo, które jest specjalnie wrażliwe na psychiczne prądy, jednak on sam tak się wydoskonalił w tej sztuce, że może uzyskać taki sam rezultat i z przedmiotami ze złota.

Usiłuję znaleźć klucz do tej zagadki, odgadnąć, jak to robi. Może jakiś cienki włos przeciągnięty przez sztabę uszedł mej uwagi? Ale wszak mój własny pierścień tańczył i skakał po stole, gdy obie ręce gospodarza zajęte były harmonijką, a on sam stał z dala od stołu. Nie mogę też podejrzewać chłopaka o jakąś znowę podczas tanecznych popisów laleczek, ponieważ był na zewnątrz namiotu. Może uda mi się jeszcze jakieś wytłumaczenie uzyskać, to też chwałę gorąco gospodarza nazywając go zręcznym i wytrawnym sztukmistrzem. Obdarzony tym epitetem czerwienieje i z nie tajonym oburzeniem zaprzecza, jakoby był sztukmistrem.

– Więc czymże jesteś? – pytam z zaciekawieniem.

– Jestem najprawdziwszym fakirem – odpowiada dumnie przez swego pomocnika – praktykuję sztukę... – Nie rozumiem ostatniego słowa, zdaje się być jakimś imieniem w urdu. Powiadam mu, jak bardzo interesują mnie te zjawiska i metody.

– Wiem o tym. Zauważyłem to od razu, zanim pan jeszcze zbliżył się do tłumu. Tylko dlatego zaprosiłem pana tutaj do wnętrza mego namiotu.

– Naprawdę?

– Tak jest. Niech pan nie sądzi, że produkuję te „sztuki” z chciwości, z żądzy pieniędzy. Potrzebna mi jest pewna suma na wzniesienie grobowca dla mego mistrza, nie spocznę, aż to postanowienie wypełnię i wspaniałe mauzoleum stanie na jego cześć.

Proszę, by mi opowiedział coś niecoś o sobie. Waha się i ociąga, w końcu ulega.

– Mając lat trzynaście pasalem kozy mego ojca. Pewnego dnia pojawił się w naszej wsi chudy i wynędzniały asceta. Wygląd jego był przerażający, kości prawie sterczały spod skóry ciemnej i wyschłej. Prosił ojca o strawę i schronienie na jedną noc; dano mu je z radością, gdyż ojciec mój miał wielki szacunek i cześć dla takich świątobliwych ascetów. Ale jedna noc przedłużyła się na cały rok; nasza rodzina tak się do starca przywiązała, że musiał prośbom ojca ulegać i wciąż przedłużać swój pobyt. Był to istotnie cudowny i święty człowiek; bardzo prędko przekonał się o jego niezwykłych władzach. Pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy przy naszej skromnej wieczerzy, zatrzymał na mnie swój wzrok długo i uważnie, a nazajutrz przyszedł na pole, gdzie pasłem swe stado, usiadł przy mnie i rzekł: „Czy chciałbyś, chłopcze, zostać fakirem?”

Niezbyt dobrze rozumiałem, co to właściwie znaczy, ale swobodne wędrowne życie fakira i tajemniczość, jaka go zawsze otacza, przemawiały do mej wyobraźni. To też zgodziłem się z zapalem. Starzec pomówił z rodzicami, obiecał powrócić za trzy lata i wziąć mnie wówczas ze sobą. Przez ten czas umarli oboje rodzice i byłem zupełnie wolny, gdy przyszedł, więc mogłem z nim ruszyć w świat. Odtąd wędrowaliśmy od wioski do wioski, ja jako uczeń, on jako mój mistrz. Wszystko, co umiem, jemu zawdzięczam, i to, co pan dziś widział, do niego właściwie należy.

– Czy można nauczyć się tych rzeczy szybko? – pytam.

Fakir śmieje się. – Latami ciężkiej pracy zdobywa się tę umiejętność. – Czuję, że mówi prawdę. Zdaje się być szczerym, uczciwym człowiekiem. Choć z natury sceptyk, skłonny mu jestem wierzyć. Opuszczam namiot i idę przed siebie niepewny, czy nie sniłem; świeży wietrzyk chłodzi mi skronie, a rzędy wyniosłych, smukłych palm szumią opodal. Im dalej idę, tym mniej prawdopodobne wydają mi się przed chwilą widziane zjawiska. Wolałbym posadzić fakira o sprytne sztuczki zręczności, ale czuję rzetelność i prawdę w tym człowieku, i nie mogę mu nie wierzyć. Wyjaśnienia logicznego dla zjawisk, które widziałem, jednak znaleźć nie potrafię. Jak mogą metalowe przedmioty poruszać się same bez niczyjego dotknięcia? Zdaje się to naruszać prawa przyrody. A może wiemy o nich, jak i o naturze rzeczy wszelkich, o wiele mniej, niż się nam zdaje?



Puri jest jednym ze świętych miejsc Indii. Świątynie i klasztory wznoszą się tu od niepamiętnych czasów, a pielgrzymi napływają ze



wszystkich stron Indii, zwłaszcza w niektóre wielkie święta doroczne; wówczas pomagają pchać olbrzymi wóz obrzędowy, zwany Wozem Dżagernata,<sup>1</sup> w jego 3-kilometrowej rytualnej podróży. Korzystam ze sposobności, by zatrzymać się i obserwować świątobliwych pątników gromadzących się tu również; w rezultacie muszę zmienić swe poprzednie, niezbyt pochlebne o nich zdanie.

Jeden z tych wędrownych sadhu,<sup>2</sup> mówiący łamaną lecz zrozumiałą angielszczyzną, okazuje się przy bliższym poznaniu naturą szlachetną i piękną. Liczy około czterdziestu lat, nosi naszyjnik z drobniutkich jagód; opowiada mi, że pielgrzymuje od jednego świętego miejsca do drugiego, odwiedza świątynie i klasztory i chce tak obejść wszystkie znaczniejsze święte miejsca na wschodzie i południu Indii; ma jedną szatę na sobie i miseczkę, którą wyciąga prosząc o strawę. Daję mu parę monet. Pokazuje mi w zamian małą książeczkę drukowaną po tamilsku, tak pożółkłą i zniszczoną, że zdaje się mieć ze sto lat, parę ładnych drzeworytów ilustruje tekst. Powoli i starannie wycina z nich dwa, by mi je ofiarować.

Spotkanie z sadhu-literatem, jak go potem przezwąłem, jest zabawniejsze. Pewnego ranka siedziałem w nadmorskim piachu pogrążony w lekturze Omara Chajjama. Jego „Rubajaty” fascynowały mnie zawsze, ale odkąd pewien młody poeta perski odkrył mi ich głębsze znaczenie, znajduję podwójną rozkosz w upajaniu się tymi kwatryunami. Tym się tłumaczy tak całkowite zapamiętanie w czytaniu, że nie zauważyłem zgoła zbliżenia się pomarańczowo odzianego sadhu, a gdym przypadkiem oderwał oczy od książki, ujrzałem go siedzącego naprzeciw mnie na piasku. Miał na sobie szaty saniasinna,<sup>3</sup> kij pątniczy przy sobie i małe zawiniątko, z którego wyglądało parę książek.

– Niech mi pan wybaczy – odzywa się najczystsza angielszczyzna – ale ja również studiuję waszą literaturę; ufam, iż pan się nie obrazi, ale nie mogłem się powstrzymać, by do pana nie przemówić.

– Obrazić? skąd znowu – mówię z uśmiechem.

– Pan jest turystą?

– Niezupełnie.

– Ale pan niedawno jest w Indiach?

---

1 Nazwa ta, zniekształcona z sanskryckiego „Dżagarnatha”, tj. „Pan Świata”, jest przydomkiem boga Kryszny-Wisnu.

2 W sanskrycie nazwa ta znaczy: „dobry, pobożny, święty”.

3 Ten wyraz sanskrycki, znaczący dosłownie „porzucający (sprawy świeckie)”, oznacza wędrownego żebraka, rozmyślającego już tylko o rzeczach wiecznych.

Potakuję gestem. Gość mój rozwiązuje swe zawiniątko i wydobywa parę w płótno oprawnych zniszczonych książek, kilka broszur i kartek papieru.

– Widzi pan, mam tu „Szkice” Macaulaya. Wspaniały styl, tegi intelekt, ale, panie, cóż za materializm!

Oto spotykam domorosłego krytyka literatury, myślę.

– A tu mam „Historię dwóch miast” Karola Dickensa. Cóż za uczucie, panie, co za rozrzewniający patos! – po czym szybko zawija swe skarby i raz jeszcze zwraca się do mnie.

– A czy mogę zapytać, jeśli to nie będzie niedyskrecja, jaki jest tytuł książki, którą pan czyta?

– Jest to książka Chajjama.

– Pan Chajjam? nigdy nie słyszałem. Czy to jeden z waszych powieściopisarzy?

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Nie, to poeta.

Następuje chwila milczenia.

– Widzę, żeście bardzo ciekawi, ojcze; czy pragniecie jałmużny?

– Nie o pieniądze mi chodzi – odpowiada powoli – czego bym naprawdę pragnął, to książki i miałem nadzieję, że mi pan jaką ofiaruje. Tak bardzo lubię czytać!

– Dobrze, dostaniecie książkę. Pójdźcie ze mną do mego mieszkania, tam wyszukam coś, co się wam podoba, w stylu wczesnego wiktorianizmu.

– Najgorzej dziękuję.

– Zaraz, zaraz, zanim ofiaruję wam książkę, chciałbym wiedzieć, jaka to jest ta trzecia, która wygląda z waszego zawiniątka.

– Ach, ta jest całkiem nieciekawa!

– Może być, ale ciekaw jestem jej tytułu.

– Zupełnie niewart wzmianki, panie!

– A chcecie jeszcze dostać ode mnie książkę, którą obiecałem?

Widzę, iż sadhu miesza się, wygląda jakby go jakiś strach obleciał.

– Oczywiście, że bardzo pragnę. Jeśli więc mnie pan zmusza, to powiem. Tytuł brzmi „Mamonizm i materializm: Studium o Zachodzie”.

– Oho! to takie książki czytacie!

– Ofiarował mi ją sklepikarz w miasteczku – tłumaczy się zalekniony i zażenowany.

– Pokażcie mi ją.

Przeglądam tytuły rozdziałów, czytam parę zdań na wrywki. Styl deklamatorski i napuszony jakiegoś Bengalczyka, którego dwa

doktorskie tytuły bardziej niż istotna znajomość przedmiotu nadają wagi jego krytyce. Opisuje Europę i Amerykę jako współczesne inferno pełne i pełne cierpienia, zaludnione wyzyskiwaną okrutnie klasą robotniczą obok plutokratów, sybarytów, pływających się w zbytku i gorszących rozkoszach. Oddaje książkę, a sadhu chowa ją pośpiesznie, pokazując mi natomiast małą broszurkę.

– To jest piękny żywot jednego ze świętych Indii w języku bengalskim.

– Powiedzcie mi, proszę, czy sami zgadzacie się z autorem „Mamonizmu”? – pytam.

– Tak, trochę, trochę! Marzę o tym, by móc zwiedzić osobiście Zachód, wówczas przekonam się sam.

– A cóż tam będziecie robili?

– Chciałbym mieć wykłady, oświecać ludzi, zmieniać mrok w światło; chciałbym pójść w ślady naszego wielkiego Swamiego Vivekanandy, który miał tak porywające przemówienia w największych miastach waszych krajów. Niestety umarł przedwcześnie, a był istotnie złotoustym mówcą!

– Cóż za dziwny sadhu z was!?

Podnosząc palec znacząco, odpowiada z miną mędrca:

– Najwyższy Reżyser stworzył scenę. Czymże jesteśmy, jeśli nie aktorami, którzy wchodzą i schodzą z niej kolejno, jak to był rzekł wasz wielki Szekspir!



Orientuję się już, że sadhu, to jest tzw. „święci” Indii, są bardzo różnorodni. Wielu z nich to poczciwi, dobroduszni ludzie bez specjalnej mądrości lub mocy. Niektórzy to wykolejeńcy życiowi albo wprost leniuchy, poszukujący najłatwiejszego życia bez wysiłku i pracy. Właśnie jeden z takich zbliża się do mnie prosząc o datek. Jego skoltunione włosy, popiołem usmarowane ciało i tępa twarz nie wzbudzają we mnie zaufania, raczej odpychają. Postanawiam oprzeć się jego prośbom choćby dla przekonania się, jaką to wywoła reakcję. Odmowa tylko podwaja natarczywość jego nalegania. Wreszcie proponuje mi sprzedanie swego różańca, do którego – sądząc z ceny, jaką wymienia – musi przywiązywać wielką wagę. Odmawiam i proszę, by odszedł.

Od czasu do czasu spotyka się na pół poczytalnych ascetów, demonstrujących publicznie zadawane sobie tortury, jak trzymanie przez lata podniesionej ręki, aż paznokcie urastają do półmetrowej długości, lub stanie na jednej nodze przez szereg miesięcy, a czasem

i lat. Co jest pobudką tych dziwnych czynów, co przynieść one mogą tym ludziom – poza paru monetami padającymi do miseczki – trudno mi zgadnąć.

Jeszcze rzadszy jest rodzaj czarowników, otwarcie praktykujących, głównie po wsiach, szkodliwą magię, którą słusznie można nazwać czarną. Ci, za małym wynagrodzeniem, umieją sprowadzić nieszczęście na wroga swego klienta lub usunąć przeszkadzającą żonę czy rywala, ściągając nań jakąś tajemniczą chorobę. Słyszysz się wiele opowieści o owych ciemnych praktykach i nieszczęściach w różnych stronach Indii, a ludzi tych zwie się również fakirami, nawet nierzadko joginami.

Obok tego istnieją ludzie wielkiej kultury, poświęcający lata umartwieniom, studiom i poszukiwaniom, dobrowolnie usuwający się od zorganizowanej społeczności i wszelkich stosunków ze światem tylko dlatego, że postawili sobie za cel bezkompromisowe szukanie prawdy. Instykt mówi mi – słusznie czy nie, nie podejmuję się sądzić – że znalezienie prawdy jest jednoznaczne z osiągnięciem nie przemijającego szczęścia. Możemy dyskutować nad skutecznością tej typowo hinduskiej religijnej i oddalającej od świata metody poszukiwań, ale wewnętrzny impuls, który do tego skłania, nie podlega dyskusji, nie można też kwestionować jego szczerości.

Przeciętny człowiek Zachodu nie ma czasu na zastanawianie się i szukanie prawdy. Wymówkę ma w ogólnie panującej tu obojętności. Wie, że jeśli błądzi, nie jest osamotniony, wraz z nim błądzą wszyscy. Bowiem nasz wiek sceptycyzmu uważa szukanie prawdy za mrzonkę, ale trawi czas i energię na pogoń za tym, co w najlepszych naszych momentach uznajemy sami za wartość znikomą i błahą. I nawet nie przychodzi nam na myśl, że ci nieliczni, których całe życie upływa na namiętym poszukiwaniu właściwego celu życia, są może bliżsi słusznej oceny aktualnych zagadnień niż ci, którzy trwonią swą energię na dziesiątki różnorodnych zainteresowań, a nie poświęcili może nigdy ani jednej myśli prawdzie oraz możliwości jej odkrycia.

Niegdyś wielki człowiek Zachodu przybył do Pendżabu w innej zgoła misji niż moja, a ludzie przedziwni, których spotkał, skierowali jego uwagę na tory tak nie oczekiwane, że aż bliski był poniechania swego pierwotnego celu. Aleksander Wielki, przybył jako żołnierz, wódz-zdobywca, omal nie skończył jako filozof. Wielokrotnie staram się wczuć i odgadnąć myśli, jakie mogły gościć w głowie wielkiego wodza, gdy kierował swój królewski wóz z powrotem przez spalone

pustynie i śnieżne, lodem skute góry. Wszak jeszcze kilka lat jego pobytu w Indiach, gdzie żył wśród joginów i mędrców, spędzając dnie na gorących dyskusjach filozoficznych, a można rzec, iż Zachód poczułby nowy powiew w polityce.

Wśród sadhu dzisiejszych nierzadko można spotkać ludzi wielkiej świątobliwości i wiedzy; oni to utrzymują tradycję duchowości i idealizm Indii. Choć przyznać można, iż większość z tej licznej rzeszy sadhu nie jest bynajmniej dla kraju pożądana, nie powinno nam to jednak przeszkadzać w oddaniu sprawiedliwości reszcie, przedstawiającej się tym dodatniej na tle przeciętnej większości. Wśród masy tzw. sadhu lub joginów spotykamy typy tak różnorodne, że nie jest bynajmniej wskazane – w imię najprostrzej sprawiedliwości – określanie ich jakimkolwiek wspólnym mianem, czy to lekceważącym, czy wyrażającym uznanie. Mogę wprawdzie zrozumieć stanowisko tych ultrapostępowych zapalonych studentów wielkich miast, którzy twierdzą z fanatyzmem, że wytepienie tej „pasożytniczej klasy” byłoby dla kraju błogosławieństwem; ale rozumiem również ludzi bardziej umiarkowanych i starszych, mieszkańców cichych miasteczek i przeważnie wsi, gdy mówią, że nie tylko najsmutniejsze świadectwo wystawiłoby sobie społeczeństwo hinduskie, gdyby nie chciało wyżywić swych sadhu i joginów, ale i wyrok zagłady wydałoby na siebie.

Problem ten może mieć znaczenie ekonomiczne i wobec przerażającej nędzy wymaga pewnego przewartościowania, bowiem ludzie ci nie wykonują w społeczeństwie żadnej materialnie użytecznej funkcji. Tysiące nieuków i próżniaków w pomarańczowych szatach wędruje od wsi do wsi, z jednej religijnej uroczystości na drugą. Stają się oni postrachem dla dzieci, a bezczelnymi, natrętnymi żebrakami dla dorosłych; ci są oczywistym ciężarem społecznym, gdyż nic nie dają w zamian za to, co dostają. Ale nierzadko spotykamy pod tym samym imieniem ludzi nie tylko szlachetnych i czystych, ale i o wybitnej umysłowości i wiedzy głębokiej, ludzi, którzy porzucili posady lub wyrzekli się znacznych posiadłości chcąc przywdziać tradycyjną szatę i ruszyć przed siebie w poszukiwaniu Boga i Prawdy. Ci usiłują oświecać i podnosić wszystkich, z którymi się stykają w swych wędrówkach. Jeśli siła moralna i moc charakteru mają swą wartość, to jasne jest, że w zamian za swój trud zasługują na kawałek chleba lub garść ryżu, jakie im ludność daje.

Mogę tylko dodać, że chcąc ocenić prawdziwą wartość danego sadhu i przekonać się, czy jest to świątobliwy i rozumny człowiek,

czy też pasożyt i oszust, potrzeba dużo czasu i bliskiego bezpośredniego kontaktu.



Nie mogę zapomnieć pewnego obrazka, którego byłem świadkiem dziś rano. Pociąg przebiegał w nocy przez dziką dżunglę, gdzie królewskie pantery bawią się i polują swobodnie; jedna z nich wpadła pod pociąg, który przywłókł jej zakrwawione, zmiążdżone cielsko aż na stację; cóż za wstrząsający widok, gdyśmy wysiedli! W tym samym pociągu znalazłem nową cenną wskazówkę dla mych poszukiwań. Przedział, jak większość w pociągach bezpośrednich i dalekobieżnych, był przepelniony i z trudem znalazłem miejsce; na szczęście wszystkie klasy oprócz najniższej mają górne ławki do spania. Wśród towarzyszy podróży widzę różne typy; a tak otwarcie mówią o sobie, że wkrótce można dokładnie wiedzieć, kim są. Siedzi oto przede mną poważny przedstawiciel islamu w długiej, czarnej, jedwabnej czamarze zapiętej pod szyję, w czarnej bogato złotem haftowanej czapeczce na przylizanych włosach, w szerokich, białych spodniach zmarszczonych w kostkach i w dopełniających artystycznego wyglądu kształtnych pantoflach, misternie wyszytych czerwoną i zieloną skórą; całość malownicza, pełna godności. Dalej siedzi typowy Maratha z Indii zachodnich o krzaczastych brwiach, a obok Marwaru w złotolitym turbanie. Dowiaduję się, iż jak wielu przedstawicieli jego rasy, jest on kapitalistą pożyczającym na wysokie procenty. Dalej spostrzegam krzepkiego bramina, prawnika z południa. Wszyscy są ludźmi dostatnimi, gdyż jadą ze służącymi, którzy raz po raz przychodzą z III klasy dowiedzieć się, czy chlebobawcy ich niczego nie potrzebują.

Muzułmanin zamyka oczy i zasypia prawie niezwłocznie; dwaj następni prowadzą ożywioną rozmowę; bramini rozkłada rzeczy i przygotowuje się do snu. Mam ochotę na gawędę, ale czuję, że niewidzialna ściana dzieląca Wschód i Zachód odgradza mnie od reszty. To też z nieklamaną radością dostrzegam angielski tytuł książki przed chwilą wydobytej przez bramina: „Życie Ramakriszny”. Korzystam z tego pretekstu i rozpoczynam rozmowę. Przypominam sobie, że ktoś mi mówił o Ramakrisznie, jako ostatnim wielkim riszi Indii, duchowym olbrzymie, nadczołwieku. Pytam o to mego towarzysza, odpowiada chętnie i z zapałem. Wkrótce pograżamy się w głęboką filozoficzną dyskusję, by w końcu zejść do szczegółów hinduskiego życia codziennego.

Ilekróć wymawia imię risziego, głos jego drży ze wzruszenia, a w oczach zapala się płomień uwielbienia. Nie mogę wątpić w szczerść jego miłości i czci dla dawno zgasłego mędrca. Po kilku godzinach rozmowy dowiaduję się, że bramin zna mistrza, który jest jednym z kilku pozostałych przy życiu bezpośrednich uczniów wielkiego Ramakriszny. Jest on w bardzo podeszłym wieku, liczy bowiem 80 lat, a przebywa nie w jakiejś samotnej pustelni, lecz w samym sercu hinduskiej dzielnicy Kalkuty. Oczywiście, proszę o adres i dostaję go z łatwością.

– Nie potrzebuje pan żadnych rekomendacji, wystarczy pańska chęć poznania mistrza – mówi mi prawnik. I oto znajduję się w Kalkucie, szukając wśród wąskich uliczek domu Mistrza Mahasai, sędziwego ucznia Ramakriszny. Muszę przejść przez wychodzące na ulicę podwórze, by znaleźć wąskie strome stopnie, wiodące do starego przestronnego domu; wspinam się po ciemnych schodach i przez niskie drzwi wchodzę do niewielkiej izby prowadzącej wprost na ogromny taras na dachu. Wzdłuż dwóch ścian pokoju stoją niziutkie tapczany; oprócz kilku książek, niewielkiego stosu papierów i lampy – pokój jest pusty. Wchodzi młody Hindus i prosi, bym zaczekał chwilę; mistrz zaraz przyjdzie, znajduje się na dolnym piętrze.

Minuty biegają, słyszę, jak ktoś powoli porusza się na niższym piętrze i wchodzi na schody. Odczuwam jednocześnie dziwne dzwonięcie w głowie i mam wrażenie, że to idący skierował swą myśl ku mnie. Kroki na schodach są niezmiernie powolne, a gdy nareszcie człowiek ukazuje się we drzwiach, nie potrzebuję pytać, kto to. Mam przed sobą postać wyniosłą i czcigodną. Długa biała broda, oczy wielkie i głębokie, ramiona lekko pochylone pod ciężarem osiemdziesięciu lat – powaga, dostojeństwo, prawie majestat bije z całej postaci, jakby patriarcha biblijny żywcem stanął przede mną: któż inny mógłby to być, jak nie sędziwy mistrz Mahasaja?

Siada na tapczanie pod ścianą i zwraca się ku mnie. Czuję, że w obliczu tej skupionej powagi i dostojeństwa żadna lekka gra słów ni błysk dowcipu, a nawet żaden wyraz ewentualnego cynizmu czy żrącego sceptycyzmu, które tak często mnie nawiedzają, nie byłyby na miejscu. Niezwykła szlachetność i czystość charakteru wraz z bezwzględną, niezachwianą wiarą w Najwyższego, odbijają się w każdym ruchu mędrca.

Zwraca się do mnie w doskonałej angielszczyźnie:

– Witaj wśród nas!

Prosi, bym podszedł bliżej i zajął miejsce na tym samym tapczanie, bierze na chwilę mą rękę w swoje. Wyjaśniam pokrótce, kim jestem i jaki jest cel mych odwiedzin; gdy skończyłem, bierze znów mą rękę z dobrotliwą serdecznością i mówi:

– Tak, widać, wyższe potęgi sprowadziły cię do Indii i kierują twoimi krokami, dając ci poznać wielu świątobliwych mężów naszego kraju. Jest w tym wyraźny cel; jaki? – przyszłość pokaże. Miej cierpliwość poczekać.

– Czy możesz mi, Ojcze, opowiedzieć coś o swoim mistrzu Ramakrisznie?

– Zaczynasz od tego, o czym mówię najchętniej. Odszedł od nas blisko pół wieku temu, lecz pamięć o nim wciąż żyje we mnie tak świeża i jasna, jakby on sam był z nami. Spotkałem go mając lat 27 i w ciągu ostatnich lat jego życia nie opuszczałem go wcale. Przez ten czas stałem się innym człowiekiem, przetworzyło się we mnie wszystko, zmienił się cały mój stosunek do życia. Taki to dziwny wpływ wywierał ten boski człowiek na wszystkich, którzy z nim przebywali. Rzucił jakby duchowy czar na każdego, kto go odwiedzał; zachwyty ludzi nie miał granic, nawet najzagorzalsi materialści, przyjeżdżający z zamiarem wysmiania go czy sprowokowania, czuli się onieśmieleni i oczarowani jego obecnością.

– Ale jakże mogli uczcić duchowość, w której istnienie nie wierzyli? – wtrącam nieco zdziwiony.

Mędrzec z półśmiechem tłumaczy mi:

– Przypuśćmy, że dwie osoby kosztują czerwony pieprz: jedna z nich nie zna tej rośliny, nigdy jej wprawdzie nie widziała, nie wie, jak się nazywa, a druga zna ją doskonale i poznaje natychmiast; czyż wpłynie to na zmysł smaku obu tych ludzi? Czyż nie odczuwają jednakowego palenia w ustach? Podobnie i ignorancja w sprawie ducha i nieświadomość co do prawdziwej duchowej wielkości Ramakriszny nie mogły przeszkodzić materialistom odczuwać płomienną i przejmującą na wskroś jego atmosferę.

– Czyż był on więc naprawdę duchowym nadczłowiekiem?

– Tak, a nawet wierzę, iż był czymś więcej. Ramakriszna był prostym człowiekiem bez wykształcenia, nie umiał czytać ani napisać swego imienia, tym bardziej listu, był człowiekiem skromnym pod względem wyglądu, jeszcze skromniejszym w życiu, a jednak czcili i wielbili go najbardziej wykształceni, najkulturalniejsi ludzie owych czasów; nie mogli nie oddawać czci jego zadziwiającej duchowości, tak realnej, że odczuwał ją każdy. Uczył nas, iż bogactwo, zaszczyty, honory, stanowiska i wszelkie dobra



świata są niczym wobec duchowości, są znikomą ułudą, za którą ludzie gonią jak za błędnym ognikiem. Ach jakież to cudne były czasy! Niejednokrotnie zapadał w medytację tak głęboką a tak niemal dotykalnie boską, że my, którzyśmy go otaczali, czuliśmy więcej jego boskość niż człowieczeństwo. Posiadał on również przedziwną władzę wywoływania jednym dotknięciem podobnego stanu i u swych uczniów; wówczas to mogli oni ogarniać głębokie tajemnice Boga bezpośrednim własnym przeżywaniem. Opowiem ci, jak było ze mną. Otrzymałem zachodnie wykształcenie i byłem dumnym intelektualistą; wykładałem kolejno literaturę angielską, historię i ekonomię polityczną w uniwersytecie kalkuckim. Ramakriszna przebywał w świątyni Dakszineswara, zaledwie o kilka mil w górę rzeki od Kalkuty. Tam ujrzałem go po raz pierwszy pewnego niezapomnianego dnia wiosny i słuchałem jego prostych słów o prawdach ducha, odkrytych własnym przeżyciem. Z początku próbowałem dyskutować, lecz bardzo prędko zamilkłem zupełnie, a wpływ jego świętej obecności był tak przemożny i dna sięgający, że żadne ludzkie słowa nie mogłyby go wyrazić. Odtąd wracałem często; nie mogłem wprost istnieć z dala od tego ubogiego, skromnego, a przecie boskiego człowieka, aż zauważył on raz z humorem: „Paw dostał raz dawkę opium o godzinie czwartej. Nazajutrz powrócił o tej samej porze. Znajdował się pod działaniem opium i wrócił po następną dawkę”.

Mówiąc w przenośni, było to prawdą! Nie znałem poprzednio takiego szczęścia, jakie przeżywałem zawsze, ilekroć znalazłem się w obecności Ramakriszny. Nie dziw więc, że wciąż wracałem do świątyni. Wkrótce zostałem jednym z bliższych jego uczniów, w odróżnieniu od przygodnie odwiedzających go gości. Pewnego dnia rzekł mi: „Widzę po twoich oczach i oznakach specjalnych w całej twarzy, że jesteś joginem. Staraj się tedy wypełniać wszelką swą pracę jak dotychczas, ale myśl kieruj wciąż ku Najwyższemu. Zostań z rodziną, służ żonie i dzieciom, ojcu i matce jak sobie samemu. Samica żółwia pływa po wodach całego jeziora, ale uwaga jej skupia się w miejscu, gdzie na brzegu złożyła swe jaja. Tak i ty spełniaj swe obowiązki w świecie, ale myślą całą bądź w Bogu”. Pamiętając te słowa, po śmierci mistrza, gdy większość uczniów dobrowolnie odeszła od świata i przywdziała żółtą szatę przygotowując się do niesienia nauki Ramakriszny po całych Indiach, ja nie rzuciłem mego zawodu i nadal pracowałem jako wychowawca. Jednak tak silne było moje postanowienie oddzielenia się od tego świata, choć w nim przebywałem, że nieraz szedłem wieczorem na otwartą

werandę przed Senatem, gdzie zbierali się co noc bezdomni włóczędzy i żebracy, i spędzałem wśród nich noc czując się jak oni bezdomnym i ubogim, z wszelkiej własności wyzutym.

Ale w podróży swych przekonasz się sam, jak wielki krąg po całych Indiach zatoczyła praca, powstała pod natchnieniem jego bezpośrednich uczniów, których większość niestety już odeszła. Jak Indie długie i szerokie, wszędzie rozrasta się praca wychowawcza, religijna, społeczna, wszędzie uczniowie jego uczniów służą ludności pomocą, na jaką ich stać. To widzi każdy. Ale jakże pokazać tysiące przemienionych serc i żyć pod wpływem tego niezwykłego człowieka? – gdyż nauka jego, idąc od ucznia do ucznia, szła coraz szerzej. Sam miałem szczęście notować wiele jego słów w języku bengalskim. Wydrukowane egzemplarze rozeszły się od razu, zawędrowały do każdego bengalskiego domu, a potem, tłumaczone, dotarły do najdalszych zakątków Indii. Oto jak wpływ jego z małej grupy uczniów rozszerzył się na kraj cały.

Mistrz Mahasaja milknie i pogrąża się w zadumie. Patrząc uważnie na jego twarz, uderza mnie jakby niehinduski jej charakter, zdaje mi się do złudzenia, że mam przed sobą olbrzyma, proroka z czasów biblijnych. Jakież dostojeństwo, powaga, majestat! Dobroć szlachetna, bezwzględna szczerłość i religijność promieniują wyraźnie. Zachowanie pełne niezwykłej godności zdradza człowieka, który przez całe długie życie był zawsze w zgodzie ze swym sumieniem.

– A co by Ramakriszna powiedział człowiekowi, który nie może zaufać tylko wierze, który ma nieodpartą potrzebę zaspokojenia rozumu i intelektu? – pytam nieśmiało.

– Poradziliby mu modlitwę. Modlitwa jest potęgą. Ramakriszna sam modlił się, aby mu Bóg posłał ludzi skłonnych do uduchowienia, i wkrótce zaczęli pojawiać się ci, którzy zostali później jego uczniami.

– A jeśli człowiek nigdy się wprawdzie nie modlił i nie umie?

– Modlitwa jest ostatnią ucieczką niezawodną. Jest ona ostateczną dźwignią człowieka, pomoc przyniesie tam, gdzie intelekt jest bezsilny.

– A jeśliby ktoś przyszedł do ciebie, Ojcze, prosząc o radę i powiedział, że modlitwa nie odpowiada jego naturze, że nie potrafi się modlić, co byś mu poradził? – dodaję cicho.

– Poradzilibym, aby przebywał jak najczęściej z ludźmi świątobliwymi, którzy mają prawdziwe doświadczenie naukowe; dłuższe przebywanie w ich atmosferze musiałoby obudzić w nim utajoną duchowość. Ludzie prawdziwie wielcy mają dziwną moc zwracania naszej myśli i woli ku boskości; zasilają w nas przede wszystkim

gorącą tęsknotę do prawdy i duchowości. Najważniejszym więc może początkiem, a nieraz i końcem, jak mawiał Ramakriszna, jest przebywanie w atmosferze wielkości duchowej świętych.

Długo jeszcze gawędzimy o rzeczach wzniosłych i pięknych, o nieukojenej tęsknocie człowieka do wieczystego dobra. Przez cały wieczór wciąż przychodzą nowi ludzie, aż pokój zapełnia się po brzegi – to uczniowie Mahasai. Co wieczór śpieszą do tego starego domostwa, wspinają się po wąskich schodach na czwarte piętro, by wsłuchiwać się w każde słowo nauczyciela.

I ja przez szereg dni przychodzę tu jak oni – nie tyle nawet dla słuchania słów świętego, ile dla zanurzenia się w jego duchowym promieniowaniu. Jest ono przedziwne. Cała atmosfera zda się być delikatna i świetlista, pełna nieskończonego pokoju i miłości; jasne jest, że człowiek ten znalazł niezmacone wewnętrzne szczęście i przekazuje je mimo woli każdemu, kto się przy nim znajdzie. Niejednokrotnie zapominam jego słów, ale wiem, że tej atmosfery zapomnieć nie zdołam. Zdaje się, że ta sama siła, która Mahasaję przyciągnęła do Ramakriszny, mnie przyciąga do niego; zacząłem już rozumieć, jak olbrzymi musiał być wpływ mistrza, gdy czuję na sobie, czym jest czar obecności jego ucznia.

Przychodzi ostatni wieczór. Zapominam o wszystkim siedząc przy nim na niskim tapczanie. Nie spostrzegam, jak mija godzina za godziną – tak wielka cisza i szczęście mnie przenikają. Rozmawiamy długo, aż wreszcie milczenie zalega. Wówczas mistrz ujmuje mnie dobrotliwie za rękę i prowadzi na taras na dachu. Chwieją się tu w poświacie księżyca wysokie rośliny i krzewy, a dalej, u stóp tysiącami świateł świeci Kalkuta. Jest pełnia. Starzec wskazuje księżyc i zatapia się w milczącej modlitwie. Stoję cicho nie przerywając mu najmniejszym ruchem. Po chwili zwraca się ku mnie, wznosi rękę w błogosławieństwie i lekko dotyka mego czoła. A ja, tak trzeźwy i niereligijny, skłaniam się z całą pokorą do stóp tego anielskiego człowieka. Uroczyste milczenie przerywa jego cichy głos:

– Zadanie moje w tym życiu ma się ku końcowi. Ciało to spełniło pracę, jaką mu Bóg wyznaczył. Przyjm błogosławieństwo me, zanim odejdę.<sup>1</sup>

Jakże głęboko mnie wzruszył! Nie mogę pomyśleć o spaniu. Idę błąkać się wśród uliczek Kalkuty. A gdy gdzieś około północy, przechodząc koło wielkiego meczetu, słyszę uroczysty przejmujący śpiew „Allach Akbar!” „Bóg jest najwyższy”, tak dziwnie dzwoniący

1 Niedługo potem doszła mnie wieść o jego śmierci.

wśród ciszy nocnej, czuję nagle, że jeśli istnieje ktoś, kto by mnie mógł uleczyć z mego racjonalistycznego sceptycyzmu, którego sam trzymam się kurczowo, i dać łaskę prostej wiary, to chyba tylko ten człowiek anielski – mistrz Mahasaja.



– Rozminal się pan z nim. Może było przeznaczone, że nie macie się spotkać. Któż wie?

Słowa te zwraca do mnie dr Bandyopadhyja, chirurg jednego ze szpitali kalkuckich i jeden z najstynniejszych w Bengalu; dokonał własnoręcznie sześciu tysięcy operacji, a imię jego poprzedza długi szereg naukowych tytułów. Wiele przyjemności sprawiło mi krytyczne rozpatrywanie z nim różnych zebranych przeze mnie wiadomości z jogi opanowania ciała. Jego sztuka lekarska i świetna znajomość anatomii dopomagały mi znacznie w moim usiłowaniu czysto rozumowego wyjaśnienia wielu stron jogi.

– Nie wiem prawie nic o jodze – mówi mi szczerze. – To, co pan mi opowiada, jest dla mnie nowe. Nigdy nawet nie spotkałem żadnego prawdziwego jogina prócz Narasinghy Swamiego, który niezbyt dawno odwiedzał Kalkutę.

Rozpytuję się o wymienionego Swamiego, ale dostaję mało zachęcającą odpowiedź.

– Narasingha Swami pojawił się nagle w Kalkucie, wywołał niebywałą sensację i zniknął. Nie wiem, dokąd poszedł. Sądzę, że porzucił tylko na chwilę swe stałe ustronne miejsce zamieszkania i do niego powrócił.

– Tak bym chciał wiedzieć coś więcej.

– Przez pewien czas nikt w Kalkucie o niczym innym nie mówił. Odkrył go dr Neoghy, profesor chemii w uniwersytecie kalkuckim; widział go w Madhupor, jak połykał krople trującego kwasu i wkładał żarzące się węgle do ust, trzymając je, zanim zupełnie nie zgasty. Oczywiście zainteresował się nim żywo i namówił go do przyjazdu do Kalkuty. Uniwersytet zorganizował publiczną demonstrację dziwnych zdolności jogina przed licznym audytorium, składającym się wyłącznie z lekarzy i ludzi nauki; ja również znalazłem się wśród nich. Odbywało się to w wielkiej auli fizyki. Byliśmy wszyscy krytycznie nastroszeni. Będąc pochłoniętym studiami i pracą zawodową, mało dotychczas myślałem o religii i jodze.

Swami stał pośrodku sali, padawano mu kolejno różne trucizny dostarczone przez laboratorium uniwersyteckie. Naprzód podano butelkę z kwasem siarczanym; nalał kilka kropel na dłoń i zlizał je

spokojnie językiem. Powtórzył to z silnym roztworem kwasu karbolowego; wreszcie spróbowaliśmy śmiertelnej trucizny cyjanku potasu, ale i tę połknął nie drgnąwszy. Dawka była dostateczna do zabicia w parę minut każdego normalnego człowieka, a ten stał oto przed nami uśmiechając się spokojnie i pozornie nie odniósł żadnej szkody. Zjawisko to było niezwykle, niepojęte i nie do wiary, a jednak widzieliśmy je własnymi oczami.

Po chwili sproszkowano szkło grubej butelki i dano mu tego proszku, który zwykle powoli, lecz nieomylnie zabija. Połknął również. W trzy godziny po doświadczeniu jeden z lekarzy zbadał przy pomocy sondy i analizy zawartość jego żołądka. Znajdowały się tam trucizny, a nazajutrz sproszkowane szkło znaleziono w stolcu. Badanie więc było przeprowadzone najściślej. Skuteczność działania tegoż kwasu siarczanego wypróbowano na miedzianej monecie. Wśród obecnych był sławny C. V. Raman, fizyk, laureat Nobla; nazwał on nasze doświadczenie wyzwaniem rzuconym całej współczesnej nauce. Gdy zapytaliśmy się jogina, jak może sobie pozwalać na tak ryzykowne doświadczenia ze swym ciałem, odpowiedział, że natychmiast po powrocie do domu pograży się w intensywnej medytacji i przez silne skoncentrowanie myśli<sup>1</sup> zneutralizuje śmiertelne działanie trucizn.

– Czy zna pan jakiegokolwiek wytłumaczenie tego procesu ze stanowiska medycyny?

Lekarz potrząsa przecząco głową.

– Nie, nie znalazłem żadnego – stanęliśmy wszyscy wobec nie wytłumaczonej zagadki.

Wróciwszy do siebie wyjąłem z walizy notatnik, w którym zapisałem ważniejsze rozmowy z Brahłą znad rzeki Adiaru; szybko przewracam kartki, aż znajduję następujący ustęp: „Żadne, nawet najsilniejsze trucizny nie mogą przynieść najmniejszej szkody adeptowi jogi, który opanował Wielkie Ćwiczenie. Jest ono połączeniem pewnej postawy i oddechu ze specjalną koncentracją myśli i użyciem potęgi woli. Zgodnie z naszą tradycją, wyrabia ono w joginie taką moc i odporność, że jest on w stanie połykać, co zechce, choćby śmiertelne trucizny, bez żadnej szkody dla organizmu. Jest to jednak niezmiernie trudne ćwiczenie i musi być praktykowane

---

1 Dowiedziałem się potem, że Narasingha Swami jeszcze raz był w Kalkucie, po czym udał się do Birmy, gdzie w Rangunie uproszono go o podobną demonstrację. Tu jednak z powodu nieoczekiwanego natłoku odwiedzających nie mógł wykonać natychmiast po doświadczeniu swych neutralizujących ćwiczeń jogi, co okazało się fatalnym w skutkach i stało się przyczyną szybkiej śmierci.

ciągle przez dłuższy czas, jeśli ma być w całej pełni skuteczne. Bardzo wiekowy człowiek opowiadał mi o joginie przebywającym w Benaresie, który mógł wypijać dowolną ilość najsilniejszych trucizn bez żadnej dla siebie szkody. Nazywał się Trailingya Swami; znało go całe miasto; był niezrównanym mistrzem w jodze opanowania ciała. Siadywał latami prawie zupełnie nagi nad brzegami Gangesu, ale nikt nie mógł się od niego nic dowiedzieć, gdyż złożył ślub milczenia i nigdy nie wymówił słowa. Umarł już dawno.”

Gdy Brahma opowiadał mi po raz pierwszy o tym niezrozumiałym dla mnie zjawisku, uważałem je wprost za niemożliwe. Teraz, po wysłuchaniu opowiadania doktora, moje pojęcie o granicach możliwości zostało nieco zachwiane. Niejednokrotnie zastanawiałem się nad niepojętymi i zdawałoby się niemożliwymi zadaniami, jakie stawiają sobie liczni joginowie. A jednak – kto wie – może istotnie posiadają oni klucz do wielu tajemnic przyrody, które dla nas, ludzi Zachodu, mimo wszelkich laboratoryjnych doświadczeń, pozostają nieznanne?

# CUDOTWÓRCA Z BENARESU

Wędrowki moje po Bengalu trzeba przyspieszyć, a nieoczekiwane zaproszenie do odległego klasztoru przez spotkanych w Budda-Gaja trzech lamów tybetańskich pozostaje nie wyzyskane, śpieszno mi bowiem do świętego Benaresu.

Pociąg dudni na wielkim żelaznym moście, co wskazuje niewątpliwie na inwazję współczesności w tym starodawnym mieście i na modernizację jego społeczności. Jakże może Ganges pozostać świętym, gdy obcy, niewierni przybysze wysyłają na jego szarozielone wody jakieś ogniem i hukiem ziejące potwory?!

Więc to jest Benares!

Tłum pielgrzymów płynie wraz ze mną ku wyjściu stacyjnemu, gdzie wsiadam do powozu. Jadę przez pełne kurzu ulice i wydaje mi się, że jakiś nowy składnik powietrza narzuca się mojej uwadze; jest to jakiś specyficzny a dość niemiły zapach. Więc to jest najświętsze miasto Indii! powtarzam sobie. Wiem również, że uchodzi ono za najstarożytniejsze ze wszystkich miast hinduskich. Nieznany odór staje się chwilami nieznośny; przychodzi mi refleksja, że przywyknę, jak przywykłem już do tylu nieznanymi rzeczami. Dowiedziałem się później, że przyczyną przykrego zapachu jest z jednej strony brukowanie ulic kostkami z mieszaniny krowiego nawozu i ziemi, a z drugiej prastare fosy otaczające miasto, od wielu pokoleń używane za śmietniki.

Jeśli mamy wierzyć starożytnym kronikom, Benares był już kwitnącym miastem w 1200 roku przed Chrystusem. Do grodu tego od niepamiętnych czasów napływały rzesze pielgrzymów ze wszystkich okolic Indii; najbogatsi i najubożsi śpieszyli tu po błogosławieństwo, a chorzy i niemocą złożeni podążali z nadzieją dokonania tam swego żywota, bowiem śmierć w świątyni Benaresu była i jest uważana za największe błogosławieństwo, ułatwiając duszy zdobycie pośmiertnej szczęśliwości.

Nazajutrz wędruję piechotą przez stare Kasi – jak prawowierni Hindusi nazywają Benares – badając labirynty wąskich krzywych uliczek. Mam pewien cel w tej pozornie tylko bezcelowej włóczędze:

oto w jednej z moich kieszeni ukrywa się papier z adresem i imieniem jogina – cudotwórcy, dany mi przez jego ucznia w Bombaju.

Przechodzę przez dwie wąskie uliczki, gdzie żaden wózek by się nie prześliznął; przez zatłoczone targi, gdzie można spotkać zarówno przedstawicieli najrozmaitszych ras jak i stada parszywych psów oraz niezliczone chmary much. Spotykam tu stare kobiety o siwych włosach i obwisłych piersiach, młode – o wiotkich postaciach i gładkich sprężystych członkach, pielgrzymów przesuwających w palcach paciorki różańców i szepczących słowa, które powtórzyli już zapewne z pięćdziesiąt tysięcy razy, dziwaczne figury popiołem pokrytych ascetów oraz wiele innych najróżniejszych typów. Wśród przecinających się ulic i zaułków pełnych gwaru, hałasu i barw odkrywam nagle Złotą Świątynię, słynną w całych Indiach. Usmarowani popiołem żebracy o odstręczającym dla zachodniego oka wyglądzie obsiedli tłumnie stopnie. Pielgrzymi płyną w obu kierunkach nieprzerwaną falą. Niektórzy niosą girlandy kwiatów, nadające radosny wyraz całemu obrazowi. Najpobożniejsi wychodząc ze świątyni dotykają czołem kamieni progu, a potem nagle stają zdumieni ujrawszy białego człowieka. Znów odczuwam wyraźnie niewidzialną przegrodę, która mnie od tych ludzi oddziela, głęboka przepaść między białym a tuziemcem.

Dwie kopuły pokryte grubą szczerozłotą blachą błyszczą w słońcu olśniewająco; grupy krzyczących papug obsiadają najbliższą wieżę. Świątynia jest poświęcona Siwie. Gdzież On jest – myślę sobie – ten wielki Bóg hinduizmu, do którego zwraca się tyle modlitw, którego kamiennym posągom składane są wciąż ofiary z najwonnějších kwiatów i ryżu białego? Posuwam się nieco dalej i oto staję u progu drugiej świątyni, gdzie wierni wielbią Krysznę. Kamfora płonie przed złotym posążkiem, dzwonki rozbrzmiewają nieustannie, by przywołać jego uwagę, a dźwięki konch i rogów rozlegają się donośnie. Chudy poważny kapłan wychodzi na próg i patrzy na mnie pytająco, podążam więc swoją drogą.

Któż zliczy tę mnogość posągów, obrazów i wizerunków bożych zapełniających świątynie i domy Benaresu? Któż zrozumie tych tak poważnie wyglądających Hindusów, którzy nieraz mogą się nam zdawać dziecinnie naiwni, a tak często są głębokimi filozofami?

Wędruję dalej przez ciemne zaułki szukając wytrwale domu cudotwórcy; po chwili wydostaję się na szersze ulice i przestronniejsze placyki. Widzę posuwający się pochód: chłopcy, młodzieńcy i starsi mężczyźni niosą sztandar z napisem, którego nie umiem odczytać. Co chwilę wykrzykują jakieś hasło lub śpiewają urywki



pieśni. Chwytam parę nieżyczliwych spojrzeń, gdy przechodzą koło mnie, domyślam się więc, że to rodzaj politycznej manifestacji. Przypominam sobie, jak wczoraj wieczór w tłumie na rynku, gdzie byłem sam, jedyny biały wśród setek, ktoś syknął mi w ucho pogroźkę. Odwróciłem się natychmiast i napotkałem tylko dziesiątki miłych spojrzeń, gdyż młody fanatyk – sądzą z głosu o jego młodości – znikł już był w ciemności najbliższego zaułka. Patrząc ze współczuciem na ten wąty, oddalający się pochód i myślę, że pewnie i ci chłopcy dostali się pod wpływ tej zwodniczej syreny-polityki, która lubi obiecywać wszystko wszystkim.

W końcu dochodzę do szerokiej ulicy o wysokich, ładnych domach z dużymi, dobrze utrzymanymi podwórzami. Przed jedną z furtek widzę nazwisko Wisiudhananda wryte na kamiennej tabliczce. Wchodzę, gdyż znalazłem to, czego tak długo szukałem. Na werandzie spotykam chłopca o nieinteligentnej twarzy, który na zapytanie w języku hindi „Gdzie jest nauczyciel?“, daje mi znaki, że takiego tu nie ma. Powtarzam imię, ale i na to dostaję przeczącą odpowiedź. Mało zachęcający początek, myślę; ale nie ustępuję, bo coś mi mówi, że chłopak nie może pojąć, by ktoś z Europejczyków mógł szukać sędziwego „cudotwórcy“. Toteż nie zwracając już uwagi na gesty i słowa chłopca wchodzę do wnętrza domu.

W jednej z dalszych komnat spostrzegam szereg porządnie ubranych postaci siedzących w półkołu na podłodze; na drugim końcu pokoju widzę wiekowego czcigodnego człowieka, wspartego na tapczanie. Wyraz powagi i rozumu oraz miejsce honorowe jakie zajmuje, wskazują mi, że jest to właśnie jogin, którego szukam. Podnoszę ręce w powitaniu: „Pokój, mistrzu“, wymawiam zwykle pozdrowienie w języku hindi. Przedstawiam się jako pisarz wędrujący po Indiach, szczerze interesujący się filozofią i mistycyzmem hinduskim. Dodaję, że uczeń, od którego dostałem jego adres, uprzedzał mnie, że mistrz nigdy nie czyni doświadczeń publicznie, a nawet i prywatnie rzadko pozwala obserwować swe niezwykle władze obcym, nie-uczniom; jednak przez wzgląd na me poważne zainteresowania i studia nad wiedzą Indii usilnie proszę o potraktowanie mnie jako wyjątku.

Uczniowie patrzą zmieszani jeden na drugiego, to znów na starca, jakby starając się zgadnąć, jaka będzie jego odpowiedź. Jogin wygląda na lat siedemdziesiąt; krótki nos i obfita broda są charakterystyczne, ale nade wszystko wielkie, głęboko osadzone oczy. Mogę też dojrzeć święty bramiński sznur na jego szyi.

Patrzy na mnie uważnie i zimno, jakbym był okazem do mikroskopowego badania; czuję jakby jakieś dziwne, niesamowite dotknięcie wokół serca. Uświadamiam też sobie w tej chwili, że i cała atmosfera pokoju zdaje się naładowana jakąś specjalną energią, w której czuję się trochę nieswojo. Po chwili zwraca się do jednego z uczniów w języku, w którym poznaję bengalski. Wyjaśnia mi, że mistrz nie może mi wyznaczyć audyencji inaczej jak z panditem Kawiradżem, który jest kierownikiem państwowego kolegium sanskryckiego, a jednocześnie zna świetnie angielski i od wielu lat jest uczniem mistrza Wisiudhanandy, może więc najlepiej spełnić rolę tłumacza.

– Proszę przyjść z nim jutro koło czwartej godziny po południu; będę na was czekał – dodaje starzec.

Widzę, że na razie muszę odejść. Wsiadam do pierwszego napotkanego wózka i udaję się do wymienionej szkoły. Tu jednak nie zastaję kierownika. Dają mi jego domowy adres i w pół godziny potem znajduję go wreszcie w wysokim starym domu, który uderzająco przypomina gmachy włoskiego średniowiecza.

Zastaję pandita na najwyższym piętrze, otoczonego stosami książek i papierów. Ma wysokie, typowo bramińskie czoło, długi cienki nos i jasną cerę; cała twarz rozumna, kulturalna i wytworna. Wyjaśniam cel swego przybycia i prośbę; waha się chwilę, po czym zgadza się; umawiamy się na następny dzień i odchodzę.

Jadę na brzeg Gangesu, tu odprawiam wózek i idę błakać się piechotą po wybrzeżu, które jest ujęte w długie szeregi schodów dla kąpiących się pielgrzymów. Stopy wielu wieków wydeptały te schody, tak że dziś są nierówne i wydeptane. Nieregularnie i bezładnie wznoszą się nad wodą różne budowle i gmachy; świątynie schodzą aż do samej wody; błyszczące kopuły obok niskich czworokątnych lub wyższych bogato przyozdobionych pałaców różnego kształtu i wysokości; stare czcigodne budynki obok nowych o zmodernizowanym wyglądzie. Chaos.

Kapłanów i pielgrzymów wszędzie pełno. Napotykam zaimprovizowane szkoły – panditów wykładających uczniom w małych otwartych izbach; czysto wybielone, mieszczą grupy ludzi siedzących wokół nauczyciela na matach i chłonących gorliwie naukę, którą im podaje.

Siwobrody asceta zwraca moją uwagę. Powiadają, że przebył czterystamilową drogę do Benaresu, tocząc się w kurzu gościńców. Szczególny sposób odbywania pielgrzymki – myślę. Dalej przedstawia się moim oczom niesamowity widok: człowiek, który trzyma

jedno ramię wzniesione przez szereg lat. Ściągną i mięśnie uległy atrofii, a ciało i skóra wyschły tak, że wyglądają jak martwy pergamin. Jaki może być cel takich umartwień? myślę, czyżby żar dochodzący do 120 °F w cieniu osłabiał władze umysłowe tych ludzi?



Następnego dnia równo o czwartej zjawiam się z panditem Kawiradżem w domu nauczyciela. Wchodzimy do przestronnego pokoju i pozdrawiamy obecnych. Sześciu uczniów siedzi wokół niego. Wisiudhananda prosi, bym podszedł bliżej, siadam więc na podłodze prawie u jego stóp.

– Czy chciałbyś zobaczyć jeden z moich tzw. cudów? – pyta mnie od razu.

– Jeślibyś mistrzu był tak łaskaw i zechciał mi je zademonstrować, byłbym nad wyraz szczęśliwy.

– Proszę mi dać swą chusteczkę do nosa, jeśli masz jedwabną, tym lepiej – tłumaczy pandit. Zapach, jaki zechcesz, znajdzie się zaraz na chusteczce tylko przy pomocy soczewki i promieni słonecznych.

Na szczęście miałem właśnie jedwabną chusteczkę, podaję ją temu dziwnemu uczonemu. Bierze małą soczewkę i wyjaśnia, że chce skupić przy jej pomocy promienie słoneczne, ale o tej porze dnia i dzięki osłonięciu pokoju nie może pochwycić bezpośrednio promieni, więc musi uciec się do innego sposobu; pośle jednego z uczniów na podwórze z lusterkiem, którym on odbije promienie i skieruje światło do pokoju przez okno otwarte.

– Teraz wywołam zapach, jaki zechcesz – mówi Wisiudhananda – jakież więc chciałbyś?

– Czy może być jaśmin?

Bierze chusteczkę w lewą rękę, a w prawej trzyma nad nią soczewkę; przez parę sekund zaledwie promień gra światłem na jedwabiu, po czym soczewka zostaje odłożona, a chusteczka wraca do mnie z przemiłym zapachem jaśminu. Przyglądam się jej uważnie, ale nie odkrywam żadnych śladów perfum; dziwię się więc i patrzę niedowierzająco na starca, który to odczuwa i ofiarowuje się powtórzyć doświadczenie.

Tym razem wybieram różę. Obserwuję z bliska każdy jego ruch, każdą z rzeczy, jakie go bezpośrednio otaczają. Patrzę uważnie na rękę, na nieskalanie białą szatę, lecz nie mogę odkryć nic podejrzanego. Powtarza z tą samą prostotą ten sam proces i po chwili silny zapach róży przenika drugi róg mej chusteczki.

Za trzecim razem wybieram fiołki, których mocną woń otrzymuję po paru sekundach. Wisiudhananda zdaje się nie przywiązywać żadnej wagi do tych udanych eksperymentów i traktować je jako rzecz zupełnie codzienną i zwykłą. Jego poważna, nieco surowa twarz nie zmienia wyrazu.

– A teraz ja wybiorę zapach – mówi nagle – wywołam woń kwiatu, który rośnie tylko w Tybecie. Po raz czwarty kieruje promień na ostatni rozek chustki i oto zjawia się nie znany mi, mocny, przemiękający zapach.

Nieco zaskoczony, chowam szmatkę białego jedwabiu do kieszeni. Graniczy to przecie z cudem. Zastanawiam się. Czyż mógł mieć przy sobie perfumy? gdzie, w fałdach szaty? Nie sięgnął tam ani razu. Zresztą jakżeby mógł ukrywać w nich cały szereg różnych zapachów, nie wiedząc, jaki wybiorę?

Proszę o pozwolenie obejrzenia soczewki. Zwykły kawałek powiększającego szkła, oprawiony w metal z taką rączką. Wisiudhanandę obserwuje przy tym sześć par oczu jego uczniów. Pandit poinformował mnie, że są to wszystkie ludzie z wyższym wykształceniem, poważni i odpowiedzialni.

Może hipnotyzm? Można to będzie łatwo sprawdzić; gdy wrócę do domu, dam trzem różnym osobom chusteczkę do powąchania.

Mag mówi, że gotów jest pokazać mi doświadczenie, które czyni bardzo rzadko. Jest to czasowe przywrócenie życia nieżywemu zwierzątku, ale potrzeba do tego bardzo silnego słońca, a w tej chwili chyli się ono już ku zachodowi; może bym przyszedł za parę dni, ale w samo południe.

Żegnaj się i wracam do siebie, gdzie pokazuję trzem osobom chusteczkę; wszystkie czują wyraźnie i silnie zapachy, różne na każdym rogu. A więc hipoteza hipnotyzmu upada. Nie mogę tu nawet przypuścić możliwości zręcznej sztuczki.



Znów przychodzę do domu cudotwórcy; mówi mi, że może przywrócić życie tylko małemu stworzonku, a najłatwiej eksperymentować z ptakami. Obserwujemy uduszonego wróbla przeszło przez godzinę, aby się przekonać, że zdechł naprawdę. Oczki ma nieruchome, ciało sztywne i zimne; nie mogę w nim odkryć najdrobniejszej oznaki życia.

Magik bierze swą soczewkę i skupia promienie na jednym oku ptaka. Przechodzi parę minut bez zmian. Siedzi pochylony ze wzrokiem utkwionym w błyszczący punkt z twarzą jak zawsze

spokojną, zimną i nieprzeniknioną. Nagle z ust jego wychodzi dziwny, przeciągły dźwięk, śpiew w nieznanym mi języku. Za chwilę ciało ptaka poczyną drgać. Widziałem podobne drgawki, przechodzące ciało psa niedługo przed śmiercią. Następnie widać ruch piórek i po kilku minutach wróbel stoi na nóżkach i skacze po podłodze. Zaiste zmartwychwstanie! W następnym okresie tego dziwnego życia ptak ma dość sił, by latać po pokoju, znajdować odpowiednie miejsce do odpoczynku i znów wzbijać się w powietrze. Wydaje się to absolutnie niemożliwe i tak bardzo nie mieszczące się w głowie, że muszę użyć wysiłku, by uwierzyć, że nie śnię, że ludzie i rzeczy, które mnie otaczają, są rzeczywiste, dotykalne, że to wszystko nie jest jakąś halucynacją.

Pół godziny naprężonej uwagi mija. Obserwujemy wszyscy ruchy zmartwychwstałego ptaszka. Przychodzi jednak jakby zenit możliwości i – nowy dziw – ptak nagle spada jak kula do naszych stóp i leży nieporuszony, znów martwy. Oględziny wykazują znów wszystkie oznaki śmierci.

– Czy byłbyś w stanie, mistrzu, przedłużyć to życie nadal? – pytam.

– To jest maksimum tego, co mogę wam na razie pokazać – odpowiada z lekkim wzruszeniem ramion. A pandit szepcze mi, że większych jeszcze rzeczy można oczekiwać po przyszłych doświadczeniach. Mistrz mógłby pokazać jeszcze wiele dziwów, ale nie należy nadużywać jego dobroci i żądać więcej, jak się to robi zwykle z ulicznymi sztukmistrzami. Powinienem się zadowolić tym, co już widziałem. Raz jeszcze odczuwam jakiś powiew tajemniczości w powietrzu, a opowiadania o innych władzach Wisiudhanandy uczucie to tylko wzmagają.

Mówią mi, iż może on stworzyć świeże winogrona pozornie wprost z powietrza, a różne słodczyce robi jakby z niczego; jeśli weźmie w rękę uwiedły kwiat, odzyskuje on po chwili całą swą świeżość itd., itd.



Co może się ukrywać za tymi pozornymi cudami? Usiłuję zdobyć jakieś wyjaśnienie, napomknienie choćby; uzyskuję dziwną odpowiedź, która właściwie nic nie tłumaczy. Właściwa tajemnica pozostaje nadal ukryta poza wysokim sklepieniem czoła tego benareskiego cudotwórcy, nie wyjawił jej dotąd nikomu, nawet najbliższym swym uczniom.

Opowiada mi, że urodził się w Bengalu. Jako trzynastoletni chłopiec został ukąszony przez jadowitego węża; był w tak beznadziejnym stanie, że matka wzięła go nad Ganges sądząc, że lada godzina umrze, a tradycja mówi, że śmierć jest najłżejszą i najszcześniejszą nad samą wodą Gangesu. Zniesiono go więc tam i gdy cała rodzina zebrała się na brzegu przygotowując się do pogrzebu, zanurzono go do wody. I tu zaszło niezwykle zjawisko, istny cud. Im głębiej chciano go zanurzyć, tym bardziej woda ustępowała. Gdy go podnoszono, woda powracała do normalnego poziomu. Parokrotnie próbowano go tak zanurzyć, za każdym razem to samo się powtarzało. Można by rzec, że Ganges odmawiał przyjęcia w swe łono umierającego chłopca!

Na brzegu siedział jakiś jogin obserwując całe zdarzenie. Wstał, zbliżył się i powiedział, że chłopak musi żyć, aby osiągnąć wielkość, że przyszłość jego jest wspaniała, gdyż ma zostać sławnym joginem. Potem natarł zatrutą ranę jakimis trawami i odszedł. W siedem dni później powrócił i oznajmił rodzicom chłopca, że syn jest uratowany i zupełnie uleczony. Ale przez ten czas dziwna zmiana zaszła w dziecku. Cały jego charakter i umysłowość uległy przeobrażeniu. Zamiast pozostawania w domu, jak dotąd z rodzicami, zbudziło się w nim pragnienie zostania joginem wędrownym; zaczął prosić matkę o pozwolenie odejścia, aż po paru latach uzyskał je i powędrował na poszukiwanie wielkich adeptów jogi.

Znalazł drogę aż do Tybetu, owego kraju tajemnic, w nadziei, że tam znajdzie wśród słynnych mnichów i pustelników przeznaczonego sobie nauczyciela. Bowiem w umysłowości hinduskiej głęboko tkwi wiara, że chcąc zdobyć wiedzę jogi, trzeba zostać osobistym uczniem kogoś, kto sam poznał i opanował jej tajemnice. Młody Bengalczyk poszedł szukać takiego guru wśród samotnych pustelników, przebywających w chatkach lub jaskiniach nawet wówczas, gdy lodowate wichry szaleją wśród gór, a śnieg pokrywa je grubą warstwą. Ale wkrótce rozzarowany powrócił. Mijały lata bez żadnych zdarzeń, a pragnienie jego nie znajdowało zaspokojenia. Po raz drugi puścił się w podróż i zawędrował na pustynne wyżyny południowego Tybetu; tam w zwykłej chacie, wśród gór dzikich jak warownie i twierdze kamienne, spotkał człowieka, który okazał się wytesknionym guru.

Dalej następuje jedno z tych przedziwnych, niewiarygodnych twierdzeń, które jeszcze przed kilku miesiącami wywołałoby u mnie wybuch wzgardliwie ironicznego śmiechu, lecz dziś już tylko mnie uderza i zastanawia. Wisiudhananda zapewnia mnie najpoważniej,

że jego tybetański guru ma nie mniej jak **tysiąc dwieście lat!** A mówi to tak spokojnym i zwykłym tonem, jak u nas na Zachodzie stwierdza się, że ktoś ma lat czterdzieści.

Spotkałem się już parę razy z tą zadziwiającą legendą „długowieczności”. Brahma – jogin znad rzeki Adiaru – mówił mi, że jego mistrz w Nepalu ma przeszło czterysta lat; zaś drugi świątobliwy i poważny mąż, którego spotkałem na zachodnim brzegu, opowiadał mi, że i dziś żyje w głębokiej grotcie wśród niedostępnych Himalajów jogin tak stary – przeszło tysiąc lat mi wymienił – że powieki jego zupełnie obwisły jakby pod ciężarem wieków. Gdy usłyszałem te twierdzenia po raz pierwszy, uważałem je za fantastyczne, że nawet nie miałem ochoty nad nimi się zastanawiać; a jednak teraz tu słyszę je znów, i to z ust człowieka, który zdaje się być na drodze do odkrycia eliksiru życia. Czyż nie należy się nad tym zastanowić?

Tybetański guru wtajemniczył młodego Wisiudhanandę w zasady i ćwiczenia hatha jogi; pod wpływem tych trudnych i ścisłych ćwiczeń uczeń rozwinął wkrótce zupełnie nadnormalne władze tak ciała jak umysłu. Mistrz zapoznał go również z arkanami dziwnej sztuki, którą zwał wiedzą słoneczną. Przez dwanaście lat trwał w tym twardym, surowym życiu wśród nie znikających nigdy śniegów i chłonał wiedzę u tybetańskiego mędrca, który miał posiadać tajemnicę nieśmiertelności. Gdy okres nauki dobiegł końca, odesłał on swego ucznia z powrotem do Indii. Ten przebrnął przez dziki kraj, przez górskie przełęcze i wąwozy, znalazł się na równinach i wkrótce został sam nauczycielem jogi. Osiadł na czas jakiś w Puri, nad Zatoką Bengalską, gdzie do dziś dnia posiada duży dom. Uczniowie, którzy się wkrótce wokół niego zgromadzili, należą wyłącznie do wyższych i bogatszych klas Hindusów; są wśród nich kupcy i ziemianie, urzędnicy, a nawet książęta. Miałem wrażenie – może niesłuszne – że ludzie skromniejsi nie znajdują odpowiedniej zachęty.

– Jakim sposobem mogłeś, mistrzu, dokonać tych dziwów, jakie oglądałem? – pytam prawie natarczywie.

Wisiudhananda krzyżuje pulchne ręce i mówi:

– To, co ci pokazałem, nie jest bynajmniej rezultatem ćwiczeń jogi; należy to wyłącznie do wiedzy słonecznej. Treścią jogi jest rozwój potęgi woli i skupienia myśli, które to umiejętności jogin musi osiąść w stopniu bardzo wysokim; ale w nauce słonecznej cechy te nie są konieczne. Wiedza ta jest jedynie zbiorem tajemnic i wiadomości; nie potrzeba żadnych ćwiczeń charakteru, by je

stosować. Mogą być one poznawane i przyswojone przez każdego, w ten sam sposób jak wasza zachodnia nauka.

Pandit Kawiradz dodaje, że ta dziwna sztuka jest bliska nauce o elektryczności i magnetyzmie.

Nic mi to jeszcze nie wyjaśnia, toteż starzec dodaje słów parę.

– Owa wiedza o energii słonecznej, która dziś przychodzi do nas z Tybetu, nie jest niczym nowym; znana była od wieków wielkim joginom Indii; jednak dziś prawie znikła i zaledwie kilku ludzi na cały nasz ogromny kraj zna jej arkana. Promienie słoneczne zawierają pewne życiotwórcze elementy i gdybyś znał tajemnicę, jak je oddzielać i niejako wyciągać stosując do różnych celów, mógłbyś również czynić dziwy i „cuda”. Światło słoneczne zawiera pewne energie eteryczne mające magiczną moc; możemy jej używać, gdy opanujemy te energie.

– Czy przekazujesz, mistrzu, tę wiedzę swym uczniom?

– Dotąd jeszcze nie, ale ich do tego przygotowuję. Wkrótce wybiorę kilku i wyjaśnię im te tajemnice. Właśnie budujemy duże laboratorium, gdzie będą się odbywały doświadczenia, pokazy, wykłady i studia.

– A czego uczą się twoi uczniowie w tej chwili?

– Wprowadzam ich w jogę.

Pandit wieździe mnie do laboratorium. Jest to zupełnie współczesny kilkupiętrowy budynek, przypominający gmachy europejskie. Mury z czerwonej cegły z dużymi otworami na okna; czekają one specjalnych szyb, koniecznych do eksperymentów ze światłem słonecznym, przepuszczanym przez czerwone, niebieskie, zielone, żółte i bezbarwne szkło. Pandit mówi, że żadna fabryka w Indiach nie podejmuje się wykonać tak dużych szyb, dlatego gmach nie może być wykończony. Prosi o dowiedzenie się w Anglii; wykonanie tego zamówienia jest tak trudne dlatego, że Wisiudhananda wymaga najściślejszego zastosowania się do jego wskazówek. Żąda gwarancji, że szkło nie będzie miało żadnych banieczek powietrznych, choćby najmniejszych, a barwnie będzie zupełnie przezroczyste – każda szyba ma mieć 12 stóp długości, 8 szerokości i jeden cal grubości.

Gmach laboratorium otaczają ogrody, obsadzone gęsto rzędami pierzastych palm, by zakryć je od ulicy przed wzrokiem ciekawych.

Wracam do Wisiudhanandy i siadam przy jego tapczanie. Uczniowie rozeszli się, zaledwie kilku zostało. Pandit Kawiradz siada przy mnie, a jego zmęczona długimi studiami twarz rozpromienia się przywiązaniem do mistrza, gdy nań patrzy. Wisiudha-



nanda spogląda na mnie przez chwilę uważnie, po czym spuszcza oczy i zdaje się obserwować podłogę. Dostojeństwo i pewna chłodna rezerwa cechują całe jego zachowanie; twarz jego jest poważna i jakby z natury nieco uroczysta, co zdaje się udzielać i uczniom. Usiłuję przeniknąć poza tę maskę powagi, ale nie udaje mi się. Dusza tego człowieka jest tak nieprzenikniona dla mej zachodniej umysłowości jak Święte Świętych Złotego Chramu, który oglądałem. Jest on widać pogrążony w zadziwiające tajemnice wschodniej magii. Narzuca mi się uczucie, że choć pokazał mi – nawet nie czekając mej powtórnej prośby – wiele ze swych dziwów, jednocześnie jednak wznosił pomiędzy nami rodzaj przegrody psychicznej, której nigdy nie zdołam przekroczyć. Przyjęcie mnie jest tylko pozornie życzliwe; zachodni badacze jak i zachodni uczniowie nie są tu wcale pożądanymi.

Nieoczekiwanie czyni uwagę:

– Nie mógłbym cię wtajemniczyć nawet w cząstkę nauk – jak to czynię z moimi uczniami – bez uprzedniej zgody mego mistrza z Tybetu. Jest to warunkiem, którego mi w pracy nigdy nie wolno naruszyć.

Czyżby czytał moje myśli? Patrzą nań uważnie. Jego lekko wypukłe czoło pokrywają zmarszczki. Wcale mi nie śpieszno zostać czymkolwiek uczniem. Ale w tym wypadku jestem pewien, że prośba moja zostałaaby odrzucona.

– Ale jakże możesz porozumiewać się z guru, który się znajduje w odległym Tybecie? – pytam.

Jesteśmy w nieustannym kontakcie wewnętrznym – brzmi odpowiedź.

No tak, słyszę to, nie powiem jednak, abym ogarniał znaczenie tych słów. Ale jego nieoczekiwane słowa odwróciły moją uwagę od dziwów i cudów. Zamyślam się głęboko i prawie nie zdając sobie z tego sprawy pytam po chwili:

– Mistrzu, jak można znaleźć oświecenie prawdziwe?

Wisiudhananda zamiast odpowiedzi zadaje mi pytanie:

– Jak można uzyskać oświecenie nie praktykując jogi?

Zastanawiam się nad tym chwilę.

– Wciąż słyszę, że bez nauczyciela jest niemal niemożliwością zrozumieć jogę, a tym mniej dojść do jakichś rezultatów w praktyce. A prawdziwych guru znaleźć tak trudno!

Twarz jego pozostaje niewzruszona i obojętna.

– Gdy uczeń jest gotów, mistrz pojawia się zawsze.

Wyrażam pewne powątpiewanie. Wyciąga wymownie rękę i dodaje:

– Ale pierw człowiek musi się przygotować. A jeśli naprawdę jest gotów, to nie ma żadnego znaczenia, gdzie się w danej chwili znajduje, nauczyciel go znajdzie. Jeśli nie pojawi się żywy z krwi i kości, to się objawi przed wzrokiem wewnętrznym szukającego.

– Jak trzeba zacząć?

– Wybrać jakąś godzinę i codziennie siadać w pewnej prostej postawie – zaraz ją pokażę – i starać się skupić. Postawa ta znacznie pomoże. Należy także ukrócić gniew i umieć ponować nad namiętnościami.

Pokazuje znaną mi już lotosową postawę; dlaczego nazywa ją prostą przy tak trudnym splecieniu nóg, nie mogę pojąć.

– Ale któż z dorosłych Europejczyków potrafi wyczynić takiego łamańca? – odzywam się mimo woli.

– Trudność istnieje tylko na początku; praktykując codziennie rano i wieczór, przywyka się łatwo. Ważne jest wyznaczyć na te ćwiczenia odpowiedni czas i zawsze przestrzegać go ściśle. Na początek wystarczy pięć minut wysiłku; po miesiącu można dodać drugie pięć; po trzech znów pięć lub dziesięć. Kręgosłup powinien być zupełnie prosty. Ćwiczenie to pomaga do zdobycia równowagi fizycznej i spokoju myśli, który jest nieodzowny do dalszych praktyk jogi.

– Czy uczysz, mistrzu, hatha jogi, jogi opanowania ciała?

– Tak. Ale nie trzeba sądzić, że joga opanowania myśli jest od niej w czymkolwiek wyższa. Każdy człowiek musi zarówno myśleć jak działać; toteż należy rozwijać i ćwiczyć obie te strony jego natury. Ciało oddziaływa na myśl, a umysł na ciało; zależność jest wzajemna, nie można ich też oddzielać w praktycznym rozwoju.

Znów czuję wyraźną wewnętrzną niechęć Wisiudhanandy do udzielania odpowiedzi na dalsze pytania. Chłód mentalny zdaje się unosić w powietrzu. Postanawiam pożegnać się za chwilę, ale pierw rzucam jeszcze jedno pytanie.

– Czy odkryłeś, mistrzu, że istnieje jakiś sens, jakiś cel naszego życia?

W tej chwili pryska powaga uczniów i nie mogą powstrzymać się od śmiechu nad naiwnością mego pytania. Zaiste tylko taki niewierny, ciemny syn Zachodu może podobne pytanie zadać! Czyż nie mówią wszystkie święte księgi hinduizmu bez wyjątku, że Bóg trzyma cały ten świat w swej dłoni dla własnego celu? Nauczyciel nie daje mi odpowiedzi i pogrąża się w zupełne milczenie, ale

spojrzenie rzucone panditowi skłania tegoż do wypowiedzenia kilku słów:

– Oczywiście, cel istnieje. Mamy osiągnąć duchową doskonałość i zjednoczyć się z Bogiem.

– Następna godzina upływa w zupełnym milczeniu całej gromadki. Wisiudhananda przewraca powoli kartki ogromnej księgi o bengalskim tytule. Uczniowie medytują, drzemią lub wprost patrzą w milczeniu przed siebie. Ogarnia mnie kojąca, łagodna atmosfera; czuję, że jeśli tego nie przerwę, albo usnę, albo zapadnę w jakiś trans, zdobywam się więc na energię, dziękuję nauczycielowi i wychodzę.



Po lekkim posiłku udaję się znów na wędrowkę przez strome uliczki tego barwnego miasta, które zdaje się przyciągać zarówno świętych jak grzeszników.

Dźwięk dzwonów rozlega się nad wodą Gangesu rzucając wezwanie na wieczorne nabożeństwo. Noc zstępuje szybko, mrokiem zasnuwa szare niebo. Mogę odróżnić i ten charakterystyczny dla zachodniej godziny dźwięk, odległy głos muezina, nawołujący do modlitwy wyznawców proroka.

Siedzę na brzegu tej prastarej, od wieków czczonej rzeki; wsłuchuję się we wszystkie głosy zbliżającej się nocy i w szmer palm poruszanych tylko co zrodzonym przejściowym wiatrem.

Zbliża się pokryty popiołem żebrak; zatrzymuje się i patrzy na mnie uważnie. On też chyba jest rodzajem sadhu, gdyż w oczach jego dostrzegam jakiś ogień nieziemski. Zaczynam zdawać sobie sprawę, jak bardzo jeszcze jestem daleki od rozumienia tych starożytnych Indii; a przecież były już chwile, gdy mi się zdawało, że je prawie znam. Szukam w kieszeniach kilku miedziaków zadając sobie pytanie, czy jest w ogóle możliwe przekroczyć tę przepaść cywilizacji, która nas dzieli. Bierze pełen spokojnej godności jałmużnę, podnosi ręce do czoła w pozdrowieniu i oddala się. A ja pozostaję zadumany nad tajemnicą dziwów widzianych u „cudotwórcy”, który igra z energią i życie ptakom przywraca. Jego wykład o wiedzy słonecznej nie przekonał mnie ani też nie wyjaśnił dostatecznie doświadczeń. Tylko ograniczony człowiek mógłby twierdzić, że nauka współczesna zbadła już wszelkie elementy ukrywające się w świetle słonecznym ale czyż wszystko, co Wisiudhananda pokazywał, należy przypisać jego sile? Przypominam sobie, że w Indiach zachodnich opowiadano mi o dwóch joginach, którzy umieli wywo-

ływać różne zapachy; pojawiała się wtedy na ich dłoni kropla silnie pachnącej cieczy jakby wypocona ze skóry, wypełniając nieraz cały pokój zapachem. Na nieszczęście nie mogłem sam sprawdzić opowiadania, gdyż obaj od kilku lat nie żyli. Ale źródło tej informacji było ze wszech miar wiarogodne.

Wisiudhananda może posiadać tę samą umiejętność, a w takim razie łatwo naperfumować chusteczkę trzymając ją w dłoni, soczewka może być tylko dodatkiem. Jeśliby istotnie zrobił to z jej pomocą, dlaczegóż by dotąd nie powierzył sekretu nikomu z uczniów, którzy daremnie czekają na tę wiedzę, a on buduje kosztowne laboratoria, dotąd bezużyteczne, bo nikt nie może dostarczyć żądanych szyb. Może takie wytwarzanie różnych zapachów jest jedną z władz jogi, i władza ta może być rozwinięta osobistym wysiłkiem. Może?!

Jeśli nawet nie potrafię zrozumieć, jak robił te dziwy, niekoniecznie przecie mam wierzyć w tę naukę słoneczną. Ale po co w ogóle męczyć się nad tymi zagadnieniami? Zadaniem moim jest podawać wszystko, jak widzę, opisywać zaobserwowane zdarzenia, a wcale nie znajdować wyjaśnień dla niewytłumaczalnego. Oto jest pewna strona hinduskiego życia, która może jeszcze przez długi czas pozostanie tajemna, bo nawet gdyby ten dziwny człowiek lub któryś z jego uczniów zdecydował się na publiczne demonstrowanie swych doświadczeń i zwrócił na nie uwagę uczonych Zachodu, i tak nie jest prawdopodobne, by się zgodził na wyjawienie sekretu. Przynajmniej co do Wisiudhanandy jestem tego pewien.

A głos wewnętrzny pyta: No, więc jakże przywrócił życie martwemu ptakowi? A twierdzenie, że doskonały jogin może dowolnie przedłużyć swe życie? Czyżby istnieli naprawdę na Wschodzie ludzie, którzy znają tajemnicę długowieczności? Odwracam się z niechęcią od natarczywych pytań mego wewnętrznego inkwizytora i zwracam zmęczony wzrok ku niebu. Niezglębiony bezmiar ugwieżdżonych niebios przejmuję mnie niemal trwogą. Nigdzie gwiazdy nie są tak świetliste jak na niebie zwrotnikowym. Wpatruję się nieruchomo w drżące punkciki świetlne. Gdy zwracam wzrok ku ziemi na jednolitą masę szarych domostw, gdzie tysiące ludzi się chroni, ogarnia mnie przejmujące uczucie niezglębionej tajemnicy życia. Zwykle przedmioty, dotykalne rzeczy, odstepują jakby i zdają się niknąć w nierzeczywistości, a rzadkie przesuwające się cienie, z cichym pluskiem przemykające łodzie i parę rozrzuconych lamp zmieniają wszystko w jakiś zaczarowany kraj podobny do świata snów. Starożytna teoria hinduska, że świat widzialny jest jedynie zjawą, narzuca się mej pamięci i pomaga

w oderwaniu się od zwykłej świadomości. Gotów jestem w tej chwili do przyjęcia najdziwniejszych doświadczeń, jakie przynieść mi może nasza planeta, planeta, krążąca w otchłaniach przestrzennych.

Budzi mnie z tego lotu w niebieskie przestworza pieśń o monotonnym przeciągłym brzmieniu i oto wracam znów do tej pstrej mieszanki znikomych rozkoszy i nieoczekiwanych zmartwień, którą ludzie zwą życiem.

## WYPISANE W GWIAZDACH !

Kopuły świątyn błyszczą w słońcu olśniewająco; zewsząd słysząc plusk wody, jest to bowiem godzina parannych kąpieli i ablucji; pstry, wielobarwny, łącie wschodni widok roztacza się przed moimi oczami po obu brzegach Gangesu ukazując mi go w zupełnie nowym pięknie. Płynę w dół rzeki na ciężkiej łodzi, której dziób wyrzeźbiony w kształcie głowy kobry dziwne robi wrażenie. Siedzę na dachu jedynej kabiny, a na dole trzech smagłych wiosłarzy pędzi łódź silnymi uderzeniami wiosła.

Mam za towarzysza kupca z Bombaju; siedzi oto przy mnie i opowiada mi, że chce wkrótce porzucić interes i oddać się religii. Jest niezmiernie nabożnym, ale i bardzo praktycznym człowiekiem. Gromadząc skarby w niebie nie omieszkał też odłożyć oszczędności w banku. Znam go od tygodnia i podoba mi się; jest dobry, uprzejmy i prosty.

– Opuszczam pracę i interesy w wieku, który mi wyraźnie przepowiedział Sudhei Babu – wyjaśnia mi. Mimo woli nadstawiam uszu.

– Któż to jest ów Sudhei Babu?

– Nie wie pan? Najmądrzejszy astrolog w Benaresie.

– Oh! tylko astrolog! – wyrывa mi się lekceważąco; widziałem bowiem tych ludzi na placach w Bombaju i w dusznych budach Kalkuty albo zaczepiających podróżnych w każdym małym miasteczku, jakie zwiedzałem. Większość z nich ma niechlujny wygląd, długie, zdawałoby się nigdy nie czesane włosy, tępy nieinteligentny wyraz twarzy. Używają zwykle kilku zatłuszczonych starych ksiąg pełnych niezrozumiałych znaków i symbolów. Nieraz przychodziła mi cyniczna uwaga, że zamiast zajmować się przeznaczeniem innych lepiej zrobiliby troszcząc się o własny nędzny los.

– Dziwię się panu. Czy to bezpieczne dla człowieka praktycznego wierzyć we wpływ gwiazd? Czy pewniejszym kierownikiem nie jest zdrowy rozsądek? – dodaję tonem dobrej rady. Kupiec potrząsa głową i uśmiecha się pobłaźliwie.

- A jakże pan wytłumaczy przepowiednię mego tak wyjątkowo wczesnego usunięcia się od interesów? Któż mógł to zgadnąć? Sam byłem daleki od tego. Jak pan wie, liczę dopiero 41 lat.

- Zbieg okoliczności.

- Przypuśćmy. Ale jest i drugi fakt. Kilka lat temu spotkałem słynnego astrologa w Lahore i za jego radą założyłem tam wielkie przedsiębiorstwo. Miałem wówczas wspólnika, człowieka starszego i praktycznego; twierdził, że interes jest zbyt ryzykowny, i cofnął się, wobec czego musieliśmy rozwiązać dotychczasową spółkę. Ale ja, zachęcony przez astrologa, ryzykowałem sam, i cóż pan powie? Powodzenie było oszołamiające, przyniosło mi fortunę. Zawdzięczam to astrologowi; bez jego stanowczej rady nie odważyłbym się pewnie i ja.

- Więc sądzi pan, że...

Mój towarzysz przerywa i kończy:

- Życie nasze zależy od losu, a przeznaczenie wskazane jest położeniem gwiazd!

Milczę, ale wyrażam swój krytycyzm niecierpliwym ruchem ręki. Po chwili dodaje:

- Astrologowie, których spotykałem w Indiach, robią wrażenie ignorantów i analfabetów, nie mogą sobie wyobrazić, by mogli dać jakąś użyteczną radę.

- Ależ panie, proszę nie utożsamiać tych ulicznych astrologów, którzy najczęściej są szarlatanami, z tak wysoce wykształconym i rozumnym braminem jak Sudhei Babu. Mieszka on we własnym domu, studiuje tę naukę od lat, posiada dużą bibliotekę o wielu najrzadszych dziełach.

Przychodzi mi na myśl, że istotnie nie mogę uważać mego towarzysza za półgłówka; należy on do tego typu wykształconych, współczesnych Hindusów, którzy w wielu rzeczach są i praktyczniejsi, i więcej korzystający ze zdobyczy cywilizacji ode mnie. Ma z sobą np. wspaniały aparat filmowy, a ja się mogę pochwalić jedynie skromnym kieszonkowym kodakiem; służący przynosi mu w termosie odświeżający zimny napój, zawstydzając mnie, bo wszak i ja mogłem o tym pomyśleć. O ile mogłem wywnioskować z jego opowiadań, znaczną część spraw w Bombaju załatwia przez telefon, czego ja nie robiłem w Europie. A jednocześnie wierzy w astrologię! Zdziwiałe!

- Popróbujmy zrozumieć się wzajemnie. Więc pan przyjmuje teorię, że przeznaczenie każdego człowieka, jak wszelkie inne

zdarzenia, zależne jest od gwiazd, których odległość od naszej planety jest tak wielka, że nawet przekracza nasze wyobrażenie?

– Tak jest, wierzę – odpowiada spokojnie.

Wzruszam ramionami i nie wiem już, co mam powiedzieć.

– Panie kochany – mówi miękko, jakby się usprawiedliwiał – czemu by pan nie miał spróbować sam? Macie angielskie przysłowie: „pudding ocenia się przy jedzeniu”. Niech pan przekona się osobiście, co Sudhei Babu zdoła powiedzieć o pana własnym losie. Nie wierzę wcale tym tandetnym astrologom z ulicy, lecz muszę ufać tak wybitnemu człowiekowi jak on.

– Hm... jestem sceptykiem, krytycznie odnoszę się do ludzi, którzy biorą pieniądze za przepowiednie. Ale można spróbować. Trzymam pana za słowo.

– Z największą chęcią, niech pan do mnie przyjdzie jutro na podwieczorek, a potem pójdziemy razem do Sudhei Babu.

Mijamy wielkie starożytne pałace i świątynie odwieczne, i małe kapliczki w festonach żółtych kwiatów. Patrzę na duże, schodzące aż do wody schody, zapelnione kąpiącymi się pielgrzymami, ale myśl moja jest gdzie indziej. Jeśli nauka chełpi się słusznie, że położyła tamę przesądom, muszę widać nauczyć się jeszcze, że prawdziwie naukowe podejście wyklucza wątplenie a priori. Jeśli mój towarzysz wskaże mi konkretne fakty na potwierdzenie tak powszechnej wśród jego współbraci wiary w przeznaczenie, powinienem podejść do nich bez uprzedzeń, zbadać je szczegółowo i bezstronnie.



Nazajutrz mój uprzejmy znajomy prowadzi mnie przez ciemną archaiczną uliczkę, biegnącą wśród starych domków o płaskich dachach. Zatrzymujemy się przed odrapanym kamiennym domem i przez ciemne, ciasne i niskie przejście wchodzimy po kilku schodkach do wąskiego pokoju jakby na kształt korytarza, a stąd na dużą werandę wewnętrznego podwórza.

Uwiązany pies przyjmuje nas wściekłym szczekaniem. Rozglądam się. Szereg wazonów z tropikalnymi roślinami biegnie wzdłuż werandy, ale towarzysz woła mnie dalej; wchodzę za nim do na pół ciemnego pokoju potykając się na nierównym starym progu. Zauważam, że i tu jak na werandzie rozsypana jest ziemia na podłodze – czyżby astrolog zajmował się tak gorliwie hodowaniem roślin odpoczywając po swych gwiazdnych badaniach?

Przewodnik mój woła głośno gospodarza, raz i drugi; odpowiada mu echo starych murów. Czekaemy dwie, trzy minuty i znów wołamy



do spółki z psem, ale to zdaje się tylko pogłębiać ciszę starego, pozornie pustego domostwa. Już zaczynam tracić nadzieję, gdy dolatuje nas odgłos kroków z wyższego piętra wyraźnie zbliżających się do nas i za chwilę dziwna postać staje przed nami ze świecą w jednej a pękiem kluczy w drugiej ręce. Następuje krótka rozmowa z mym towarzyszem w półmroku pokoju, po czym zgrzyt klucza i znajdujemy się wraz z astrologiem w drugim pokoju; tu rozsuwa on firanki, otwiera okiennice i pełne światło pada na jego twarz. Zaiste postać ta przypomina raczej widmo niż żywego człowieka. Nigdy nie widziałem twarzy tak niesamowicie bladej wskutek dni i nocy trawionych nad księgami. Owa błądź nienaturalna, chudość niezwykła i powolne, jakby nieziemskie ruchy czynią wrażenie czegoś nie z tego świata. Białka oczu są przy tym duże i tak białe, że wzmagają jeszcze to wrażenie, zwłaszcza przez kontrast z czarnością źrenic.

Siada przy ogromnym stole zarzuconym papierami. Przekonuję się, że mówi niezłą angielszczyzną, ale dopiero po długich namowach decyduje się na rozmowę bezpośrednią bez posługiwania się tłumaczem.

– Przychodzę jako badacz, obserwator, wcale nie jako człowiek wierzący w astrologię, rozumie pan? – zaczynam.

Kiwa swą małą głową:

– Dobrze, dobrze, zrobię panu horoskop, a pan mi powie, czy się zgadza czy nie.

– Ile pan bierze za horoskop?

– Nie mam stałych cen; ludzie bogaci płacą mi po 60 rupii, inni po 20, da mi pan, ile sam będzie uważał za słuszne.

Proszę, by zanim zwróci się do przyszłości, powiedział mi coś z mego ubiegłego życia. Godzi się chętnie i zabiera do obliczeń, zapisawszy datę mych urodzin. Po kilkunastu minutach przysiadł za swym krzesłem i szuka czegoś wśród stosów pożółkłych papierów i starych rękopisów, pisanych na liściach palmowych; wyciąga podłużne karteczki i szkicuje dziwny wykres na papierze.

– Oto mapa nieba w chwili, gdy się pan urodził. A te sanskryckie teksty wyjaśniają znaczenie każdej jej części. Teraz mogę panu powiedzieć, co jest wypisane w gwiazdach. – Przygląda się uważnie wykresowi, zagląda do karteczek i znów mówi cichym, spokojnym głosem:

– Jest pan pisarzem z Zachodu, prawda? – Potakuję skinieniem głowy. Opowiada o mojej młodości, o głównych zdarzeniach pierwszej części mego życia, podaje mi siedem znaczniejszych wypadków

mej przeszłości, z których pięć najzupełniej ściśle, lecz dwa nie zgadzają się z prawdą. Już z tego mogę coś niecoś sądzić o wartości lub bezużyteczności jego nauki. Uczciwość jego nie może podlegać wątpliwości, tak jest wyraźna i oczywista; nie byłby zdolny do żadnego świadomego naciągania. 75% słuszności może już być dowodem, że w tej hinduskiej astrologii jest coś godnego zbadania, a 25% pomyłek wskazuje, że nie jest to nauka ścisła ani nieomylna.

Sudhei Babu schyla się ponownie po zwitek karteczek i mówi mi teraz o mej naturze, zdolnościach, charakterze – ściśle i prawdziwie. Określa rodzaj umysłowych zdolności, skłaniających mnie do tego a nie innego zawodu. Gdy podnosi swą drobną głowę znad papierów i pyta, czy się zgadza, czy odczytał właściwie – nie mogę mu w niczym zaprzeczyć.

Odsuwa karteczki, bada skrupulatnie wykres i poczyna mówić o przyszłości.

– Świat cały stanie się pańskim domem, będzie pan wciąż podróżował, a pióro razem z panem jako nieodzowne jego narzędzie, bowiem nie przestaje pan pisać.

W tym stylu mówi wiele rzeczy, które mają jeszcze nastąpić. Ponieważ nie mogę ich sprawdzić, nie ma co się nad nimi zastanawiać. Czas pokaże.<sup>1</sup>

Znów pyta, czy jestem zadowolony. Jego ścisły opis czterdziestu z górą lat mej przeszłości i najdokładniejsze określenie mego charakteru zmuszają mnie do powstrzymania się z krytycznymi uwagami, które przychodząc gotów byłem mu ostro wypowiedzieć.

– Czy człowiek ten napina łuk swych przepowiedni na chybił trafił, czy jest to tylko mniej lub bardziej udatne zgadywanie? – pytam siebie; ale nie mogę nie przyznać, że jestem pod wrażeniem tego, co mi powiedział o przyszłości. Czas pokaże, ile w tym prawdy. Silne wrażenie trwa. Czy mój dotychczasowy pogląd na zagadnienie naszego losu ma runąć jak domek z kart? Cóż wiem o nim właściwie? Podchodzę do okna i patrzę w zamyśleniu na przeciwległe domy bawiąc się srebrnymi rupiami w kieszeni. Wreszcie powracam i zadaję szereg pytań astrologowi.

– Dlaczego wydaje się panu niemożliwe, aby gwiazdy, choć odległe, miały wpływ na życie ludzkie? – mówi łagodnie. – Czyż oceany w swym przyptywie i odpływie nie odpowiadają na przyciąganie

---

<sup>1</sup> Jedna z jego przepowiedni, którą przyjąłem na razie jako niemożliwą i śmieszna, sprawdziła się najściślej, lecz drugie zdarzenie nie dojrzało w wyznaczonym przez niego czasie. Inne czekają jeszcze sprawdzenia.

księżycy? Czyż nie zachodzą różne zmiany w organizmie kobiecym pod tymże wpływem? Czyż brak słońca przez szereg dni nie odbija się na usposobieniu i nastrojach ludzi?

– Owszem, owszem, ale to jest jeszcze dalekie od twierdzeń astrologii. Nie pojmuję, co może obchodzić Marsa czy Jowisza, czy spotka mnie katastrofa okrętowa, czy nie?

Patrzy na mnie uważnie i niewzruszenie.

– Niech pan gwiazdy uważa raczej za symbole zawieszony w błękitach; nie one to właściwie na nas wpływają, tylko nasza własna przeszłość. Nie można zrozumieć sensu astrologii, póki się nie przyjmie teorii, że człowiek wraca wielokrotnie na ziemię, a przeznaczenie jego podąża za nim za każdym ponownym urodzeniem. Jeśli skutki jego złych czynów nie osiągną go w jednym życiu, przyjdą doń niechybnie w następnym; jeśli nie spotka rezultatu dobrych swych czynów tutaj, na pewno znajdzie je w innym życiu. Bez przyjęcia teorii powszechnego wcielania się duszy człowieka na ziemi, póki nie osiągnie ona doskonałości, zmienne koleje losu różnych ludzi wydają się jedynie grą przypadku, skutkiem ślepego losu. Jakżeby to się mogło zgadzać ze sprawiedliwością Istoty Najwyższej? My wierzymy, że gdy człowiek umiera, jego charakter, pragnienia, myśli, wola nie znikają, istniejąc nadal, aż znów obiorą siedlisko w ciele fizycznym i powrócą na ziemię w nowonarodzonym dziecku. Złe i dobre czyny popełnione w życiu pociągają odpowiednie skutki w tym samym życiu albo w następnym. W ten sposób tłumaczymy przeznaczenie. Jeśli powiedziałem, że grozi panu katastrofa okrętowa i poważne niebezpieczeństwo utonięcia, to jest to los, który panu Bóg w swej tajemnej sprawiedliwości wyznaczył jako skutek własnego pańskiego czynu w przeszłości. Nie gwiazdy wywołują katastrofy czy też zmuszają pana do stania się ich ofiarą, ale nieuniknione i nieubłagane skutki własnych pańskich czynów. Gwiazdy i ich pozycje są tylko znakami, wyrażającymi ten przez pana zasłużony los; dlatego tak jest, nikt z nas nie zdoła powiedzieć. Ale astrologii nie wymyślił żaden ludzki rozum; objawiona ona została dla dobra człowieka przed wiekami przez wielkich jasnovidzów i mędrców.

Słuchając tego logicznego wyводу nie wiem, co mam odpowiedzieć. Według niego duszę i dolę człowieka wiąże przeznaczenie. Któż ze zdrowych ludzi Zachodu zgodziłby się wyrzec tak cennego dobra jak wolna wola? Któż z nas mógłby entuzjasmować się teorią, że przeznaczenie, a nie swobodny nasz wybór kierować ma naszymi

krokami? Patrę na tego drobnego marzyciela, wędrowca po gwiazdnych dziedzinach wśród znaków Zodiaku, i dodaję:

– Czy pan wie, że w niektórych miejscowościach Południa astrologowie są szanowani tak prawie jak kapłani i żadne znaczniejsze przedsięwzięcie nie rozpoczyna się bez zapytania o ich zdanie? A my, Europejczycy, jesteśmy skłonni do uśmiechu widząc takie metody, nie lubimy w ogóle przepowiedni. Wolimy uważać się za wolne jednostki aniżeli bierne ofiary niewzruszonego przeznaczenia.

Astrolog wzrusza lekko ramionami.

– W jednej z naszych pradawnych ksiąg „Hitopadesia” znajdują się słowa: „Nikt nie jest w stanie przeciwstawić się przeznaczonemu losowi, wypisanemu na czole człowieka”. Tak, tak. Cóż możemy zrobić, nie mamy innego wyjścia, jak cierpieć skutki własnych czynów.

Powątpiewam i wyrażam to w słowach. Astrolog wstaje, uważam, że trzeba się pożegnać. Coś jeszcze mówi półgłosem:

– Wszystko jest w ręku Boga i nic Mu ująć nie może. Któż z nas jest wolny naprawdę? Czyż moglibyśmy pójść gdzieś, gdzie nie ma Boga?

Gdy znajduję się już przy drzwiach, dodaje wahająco:

– Gdyby pan zechciał zająć jeszcze, pomówilibyśmy o tych kwestiach.

Przyjmuję zaproszenie.

– Więc będę czekał jutro po zachodzie słońca około szóstej.



Nazajutrz idę o zmierzchu do mego astrologa. Po co? Nie mam zamiaru przyjmować wszystkich jego twierdzeń za słuszne, ale i nie mam ochoty odrzucać ich a priori. Przychodzę, by posłuchać, a może i nauczę się czegoś, choć to ostatnie zależy od możliwości sprawdzenia jego teorii. Jestem gotów na przeprowadzenie wszelkich doświadczeń, jeśli tylko znajdę dla nich dostateczną podstawę. Znaczna część mego horoskopu przekonała mnie już, że astrologia hinduska nie jest nonsensem ani przesadą i że warta jest badań. To jest wszystko, do czego doszedłem na podstawie rozmyślań od wczoraj.

Siadamy naprzeciw siebie przy ogromnym stole. Naftowa lampa rzuca wątle światło na pokój. Miliony domów hinduskich są w tej chwili oświetlone takimi samymi lampami, myślę.

– Mam czternaście pokoi w tym domu. Wszystkie są pełne ksiąg i starych manuskryptów, przeważnie w sanskrycie. To panu wytłu-

maczy, po co mi taki duży dom, choć jestem sam. Proszę za mną, pokaże panu.

Bierze lampę i prowadzi mnie do drugiego pokoju. Otwarte skrzynie stoją wzdłuż ścian. Zaglądam do jednej, jest pełna papierów. Nawet podłogę pokrywają stosy pergaminów i wiązek liści palmowych zapisanych drobnymi, niezrozumiałymi dla mnie literami, zbladłymi i pożółkłymi od lat. Przechodzimy z pokoju do pokoju, wszędzie podobny widok. Ta dziwna biblioteka zdaje się być w strasznym nieładzie, ale właściciel zapewnia mnie, że zna doskonale miejsce każdej książki i rękopisu. Wydaje mi się, że dom ten zgromadził mądrość całego Hindustanu i na pewno wiele dziwnej wiedzy hinduskiej zawiera się w tych prawie nieczytelnych zwitkach, w tych pradawnych a może bezcennych sanskryckich manuskryptach.

Wracamy do biurka.

– Prawie cały mój majątek poszedł na te książki, wiele z nich to bardzo rzadkie okazy, białe kruk; kosztowały znaczne sumy. Stąd jestem dziś ubogi.

– O czym traktuje większość z nich?

– O życiu człowieka i tajemnicach boskich, a dużo mówi o astrologii.

– To pan jest i filozofem?

Jego wąskie usta rozchylają się w półuśmiechu.

– Nie będąc dobrym filozofem, byłbym słabym astrologiem.

– Ale proszę mi wybaczyć uwagę, czy pan nie zanadto zagłębia się w te książki? Uderzyła mnie bladeść pańska wczoraj.

– Nie dziw – mówi spokojnie – od sześciu dni nie jadłem normalnie.

Wyrażam zdziwienie i troskę.

– O, to nie kwestia pieniędzy; ale kobieta, która przychodzi mi gotować, zaniemogła; od sześciu dni nie gotuje mi wcale.

– Dlaczego pan nie sprowadzi innej?

– To nie jest łatwo, nie może mi gotować kobieta innej kasty; wolałbym głodować, a nie wziąłbym takiego pożywienia do ust. Muszę czekać, aż tamta wyzdrowieje, za parę dni, mam nadzieję, powróci.

Przyglądam mu się uważnie, dostrzegam święty sznur bramiński na szyi. Potrójnie przedziona nić nakłada się każdemu dziecku bramińskiemu; nie powinno jej zdejmować aż do końca życia.

– Po cóż pan ma cierpieć z powodu przesądów kastowych, wszak zdrowie od tego ważniejsze.

– Nie jest to przesad; każdy człowiek ma specjalny, sobie właściwy magnetyzm; jest on rzeczą zupełnie konkretną, choć może instrumenty waszej zachodniej nauki nie wykrywają go jeszcze. Przygotowując pożywienie napełnia się je nieświadomie swoim magnetyzmem. Osoba niskiego charakteru używa gotowanemu jedzeniu bardzo nie pożądanego magnetyzmu, który udziela się każdemu, kto je spożywa.

– Cóż za dziwna teoria!

– Zgodna z prawdą.

Zmieniam przedmiot rozmowy i pytam, od jak dawna zajmuje się astrologią.

– Od dziewiętnastu lat. Uczyniłem z niej mój fach po ożenieniu się.

– Ach, rozumiem.

– Nie, nie jestem wdowcem. Czy mam panu wyjaśnić? Gdy miałem trzynaście lat, w modlitwach swych prosiłem często Boga o wiedzę; istotnie los mnie kierował ku różnym ludziom, którzy wiele mnie mogli nauczyć, i ku różnym księgom. Tak mnie pochłaniały studia, że mogłem przesiedzieć nad nimi cały dzień, a nieraz i późno w noc. Rodzice mnie wówczas ożenili. W parę dni po weselu żona moja rozgniewała się na mnie i rzekła: „Nie wiedziałam, że poślubiłam księgę chodzącą”, a po tygodniu uciekła z szoferem naszego samochodu.

Sudhei Baba milknie. A ja nie mogę powstrzymać uśmiechu nad określeniem jego żony, której zniknięcie musiało wywołać nie lada skandal w nienawykłych do takich zdarzeń Indiach. Ale chyba wszędzie drogi kobiet są zawile i przekraczają rozumienie męskie.

– Po pewnym czasie przyszedłem do siebie po tak niespodziewanym wstrząsie i zapomniałem o niej. Wszystkie wzruszenia znikły. Głębiej niż kiedykolwiek pograżyłem się w studia nad astrologią i w boskie misteria. Wówczas to rozpocząłem najpoważniejszą moją pracę, tj. studiowanie książki „Brahmaczinta”.

– O czym traktuje ta książka?

– Tytuł można przetłumaczyć jako „Boska medytacja” lub „Szukanie Brahmy” albo nawet „Wiedza o Bogu”. Całość zawiera kilka tysięcy stron, ale część, którą ja studiuje, jest tylko jednym z rozdziałów. Prawie dwadzieścia lat zeszło mi na gromadzeniu tej części, gdyż była ona rozproszona we fragmentach po różnych częściach kraju. Powoli, przy pomocy agentów w różnych prowincjach, udało mi się zgromadzić te ułamki. Istnieje w tej księdze 12 głównych działów i wiele poddziałów. A tematy ich to filozofia,

astrologia, joga, życie pośmiertne i podobne trudne i głębokie zagadnienia.

– Czy nie istnieje żaden przekład tej książki? – pytam z zaciekawieniem. Potrząsa głową.

– Wątpię, nie słyszałem nigdy. Zresztą nawet niewielu Hinduśców wie o jej istnieniu. Dotąd była ona zazdrośnie strzeżona i należała do ksiąg tajemnych. Pochodzi z Tybetu, gdzie jest uważana za bardzo świętą i tylko wybranym uczniom pozwala się ją studiować.

– A kiedy została napisana?

– Napisał ją przed wiekami mędrzec Bhrigu, który żył tak dawno temu, że trudno mi podać panu datę. Uczy tam metody jogi zupełnie odrębnej od wszystkich praktykowanych obecnie w Indiach. Pan się interesuje jogą, wszak prawda?

– Skąd pan wie o tym?

Zamiast odpowiedzi Sudhei Babu rozkłada spokojnie mapę nieba, którą dla mnie wczoraj narysował, i wskazuje ołówkiem jakieś znaki przedstawiające konfiguracje planetarne i znaki zodiaku.

– Pański horoskop zadziwił mnie. Jest niezwykle jak na Europejczyka, a nawet wśród Hinduśców nieczęsto spotyka się podobny. Wskazuje duże tendencje do studiowania jogi oraz znaczną przychylność paru mędrców w stosunku do pana; oni to pomogą panu głęboko sięgnąć w tę wiedzę. Nie ograniczy się pan jednak do jogi, ale zgłębi i inne filozofie mistyczne.

Zatrzymuje się i patrzy mi prosto w oczy. Mam subtelne wrażenie, że jest bliski wypowiedzenia jakichś słów odsłaniających jego życie wewnętrzne.

– Istnieją dwa rodzaje uczonych czy mędrców: jedni egoistycznie zachowują swą wiedzę dla siebie, drudzy po osiągnięciu oświecenia dzielą się nią chętnie z tymi, którzy jej szukają. Horoskop pana wskazuje nieomylnie, że jest pan prawie na progu przejrzenia, toteż słowa moje nie padną na nie przygotowany grunt. Gotów jestem przekazać panu mą wiedzę!

Jestem zaskoczony tym niespodziewanym obrotem sprawy. Przyszedłem sprawdzić wartość hinduskiej astrologii, a potem słuchać dalszych jej uzasadnień, a oto nieoczekiwanie ów astrolog chce zostać moim nauczycielem w jodze!

– Jeśli będzie pan praktykował metody Brahmaczinty, nie będzie panu potrzebny żaden guru. Dusza własna będzie nauczycielem pana.

Pojmuję nagle, iż myliłem się; czyżby wyczytał mą myśl?

– Zaskoczyły mnie słowa pana – tylko tyle mogę powiedzieć.

– Przekazałem już swą wiedzę kilku ludziom, ale nigdy nie uważałem się za ich mistrza, tylko za przyjaciela i brata. I w stosunku do pana nie podejmuję się być w zwykłym tego słowa znaczeniu nauczycielem. Duch mędrca Bhringu będzie tylko używał mego ciała i umysłu, by *przekazać* panu swą naukę.

– Nie pojmuję, jak może pan pogodzić zawód astrologa z nauczaniem pewnego systemu jogi?

Rozkłada ręce na stole i mówi:

– Wytłumaczenie proste. Żyję na świecie i służyć ludziom mam pracą, a jest nią astrologia. Poza tym nie zgadzam się bynajmniej na miano nauczyciela jogi, gdyż według naszej Brahmaczinty jedynym uznanym guru jest Bóg. Jego jednego uznajemy za mistrza. On jako Duch Wszecrzeczy przebywa w nas i On jedynie nas uczy. Może mnie pan uważać za brata, ale nie za duchowego nauczyciela. Ludzie, którzy mają guru, są zbyt skorzy do wspierania się i liczenia na niego zamiast na własną duszę.

– A przecież szuka pan kierownictwa i rady w astrologii zamiast we własnej duszy! – odcinam się.

– Myli się pan. Nigdy nie patrzę w swój własny horoskop. Podarłem go wiele lat temu.

Wyrażam niekłamane zdumienie.

– Znalazłem światło i nie potrzebuję wskazówek astrologii, ale ludzie, którzy są jeszcze w mroku i nie wiedzą, jak iść, znajdują w niej pożyteczne wskazówki. Moje życie oddałem całkowicie w ręce Pana i jak najdalszą wyciągam z tego konsekwencję nie troszcząc się o przyszłość ni przeszłość. Cokolwiek przychodzi, przyjmuję to jako Jego wolę. Oddałem całą mam istotę – duszę i ciało, czyny i uczucia – woli Wszeczmogącego.

– A gdyby panu groziła śmierć z rąk jakiegoś opryszka, czy nie uczyniłby pan nic i przyjął to również jako Jego wolę?

Gdy przychodzi niebezpieczeństwo, wiem jedno, że mam się modlić, a pomoc i ochrona przychodzi od Niego natychmiast. Modlitwa jest potrzebna, ale strach bynajmniej. Modlę się często i Pan nieraz cudownie mnie chronił. Choć przechodziłem przez ciężkie doświadczenia, zawsze, nawet wśród nich, czułem Jego pomoc; ufam Mu bezgranicznie i zawsze. Z czasem i pan przestanie dbać o przyszłość, stanie się ona panu zupełnie obojętna.

– Chyba wpieryw zajdzie we mnie bardzo wielka zmiana – inaczej to niemożliwe.

– Zmiana ta przyjść musi.

– Jest pan tego pewien?



– Oczywiście. Nie można uciec przed przeznaczeniem. Owo duchowe odrodzenie, a raczej urodzenie się jest zdarzeniem zesłanym przez Boga, czy człowiek go oczekuje, czy nie.

– Dziwne mówi pan rzeczy, Sudhei Babu.

Pojęcie Boga jest dla mnie czynnikiem nieznanym, z którym się spotykam prawie w każdej rozmowie w tym kraju. Hindusi są tak głęboko religijni, że wprowadzają Boga wszędzie prosto, niemal familiarnie. Nie wiem nawet, czy mogą sobie wyobrazić punkt widzenia takiego Europejczyka, co to dawno poddał prostą wiarę złożonej maszynerii rozumu. Czuję, że byłoby bezcelowe podnosić tę kwestię z astrologiem. Nie lubię teologicznych tematów, a odpowiedziałby mi zapewne w tym właśnie stylu; wolę mniej sporny grunt.

– Mówmy o czym innym, bowiem Bóg i ja nie spotkaliśmy się jeszcze nigdy.

Patrzy na mnie niezmiernie uważnie, jakby duszę przeglądał na wylot.

– Karta pańskiego horoskopu nie może się mylić, inaczej zatrzymałbym mą wiedzę raczej, niżbym ją miał odkryć przed niedojrzałym umysłem. Ale gwiazdy nie kłamią; czego nie można pojąć dziś, to zapadnie w duszę głęboko na pewien czas, a potem powróci ze zdwojoną siłą. Powtarzam, jestem gotów przekazać panu wiedzę Brahmaczinty.

– A ja jestem gotów ją przyjąć.



Odtąd co wieczór odwiedzam stary dom astrologa i słucham mądrości Brahmaczinty. Białe światło lampy rzuca drgające cienie na podłużną i szczupłą twarz tego, który mnie powoli wprowadza w arkana tej prastarej tybetańskiej jogi.<sup>1</sup> Nie przybiera on nigdy tonu duchowej wyższości ani mentorstwa. Jest najdoskonalszym wyrazem pokory. Każdą naukę poprzedza słowami: „Brahmaczinta mówi...”

– Jaki jest najwyższy cel, jakie ostateczne zadanie jogi Brahmaczinty? – pytam go pewnego wieczoru.

---

1 Nie mam zamiaru opisywać jej szczegółowo; nikt z ludzi Zachodu nie skorzystałby z tego z pewnością. Podstawą jej jest szereg medytacyjnych ćwiczeń, zmierzających do wytworzenia „pustki” w umyśle. Istnieje sześć głównych metod ćwiczeń i dziesięć etapów w osiągnięciach na głównej drodze tej jogi. Nie byłoby rzeczą słuszną ani użyteczną dla przeciętnego Europejczyka próbować metod, które są dobre dla ustronnych pustelni czy górskich klasztorów, a które w innych warunkach mogą być zgola niebezpieczne. Stracenie równowagi umysłowej i nerwowej mogłoby tu być jedynym rezultatem.

– Uczymy się wchodzić w stan medytacji głębokiej, w rodzaj transu, dlatego że w stanie tym człowiek zdobywa niezaprzeczalny dowód, że jest duszą. Człowiek uwalnia wtedy umysł od wpływu przedmiotów zewnętrznych, wszystko, co go otacza, cały zewnętrzny świat blednie i prawie znika. Wówczas to odkrywa on duszę jako żywą, swobodną, prawdziwą istotność w sobie samym, a jej szczęście, pokój i moc przenikają go na wskroś. Jedno takie doświadczenie wystarcza, ażeby go przekonać o istnieniu boskiego i nieśmiertelnego życia w nim samym. Zapomnieć już tego nie może nigdy.

Moje niepoprawne wątplenie dyktuje mi następane pytanie:

– A czy jest pan pewien, że to wszystko nie jest złudzeniem, rodzajem głębokiej autosugestii? – Ledwie dostrzegalny uśmiech pojawia się na jego ustach.

– Gdy matka rodzi dziecko, czyż istnieje możliwość, by uważała to za złudzenie? A gdy wraca myślą do przeżytego faktu, czy może choć na chwilę przypuszczać, że była to tylko autosugestia? Gdy widzi, jak dziecko wzrasta przy niej w lata, czy może wątpić kiedykolwiek w rzeczywistość jego istnienia? Podobnie trud duchowych, ponownych narodzin przychodzi do nas jako wypadek tak doniosłej i niezwyklej wagi w całym naszym życiu, że nie ma mowy o możliwości zapomnienia go ani miejsca na wątpliwość. Zmienia się w nas wszystko. Gdy wchodzimy w głąb tej świętej medytacji, rodzaj próżni tworzy się w umyśle; Bóg lub, jeśli pan woli, Duch, wyższa potęga splywa i wypełnia ową próżnię. Gdy się to staje, przeżywa się nieuniknienie najgłębszą, najwyższą szczęśliwość i wielką, nieograniczoną miłość dla wszechstworzenia. Komuś obserwującemu z boku ciało takiego człowieka może się wówczas wydać nie tylko jakby pogrążone w głębokim śnie, ale nawet pozornie martwe, gdyż nawet oddech urywa się, gdy dosiegamy najwyższego wewnętrznego punktu.

– A czy to nie niebezpieczne?

– Nie. Medytacja taka odbywa się w zupełnej samotności, czasem ktoś z bliskich przyjaciół może czuć przy niej. Sam często zapadam w taki stan i mogę zawsze z niego wyjść, gdy zechcę; najczęściej pogrążam się w ten trans na dwie, trzy godziny, postanawiam też uprzednio, kiedy mam wrócić do zwykłej świadomości. Jest to cudowne doświadczenie, bowiem to, co się postrzega normalnie jako wszechświat, widzi się wtedy w sobie samym. Dlatego właśnie mówię, że wszelką wiedzę możemy znaleźć we własnej duszy. Gdy przekażę panu całą jogę Brahmaczinty, żaden

mistrz więcej nie będzie panu potrzebny, żadne zewnętrzne kierownictwo.

– A czy pan nigdy nie miał nauczyciela?

– Nigdy nie szukałem żadnego, od czasu jak odkryłem tajemnice Brahmaczinty. Mimo to jednak od czasu do czasu przychodzili do mnie wielcy i święci nauczyciele; mam tu na myśli ten świat wewnętrzny, w którym się jest w pełni świadomym, z chwilą gdy się pogrąży w świętą medytację. Mędrcy owi przychodzili do mnie w swym kształcie psychicznym i dawali mi błogosławieństwo, a ręce ich na chwilę spoczywały na mej głowie. Toteż powtarzam, zaufać należy własnej duszy, jej słuchać, a nauczyciele przyjdą sami w wewnętrznym świetle.

Następuje długa chwila intensywnej i wymownej ciszy. Mędrzec zdaje się być pogrążony w poważnych myślach, po czym bardzo spokojnie, cicho, z niebywałą pokorą mówi:

– Raz podczas takiej medytacji widziałem Jezusa...

– Co pan mówi! to mistyfikacja! – wołam mimo woli.

Nie śpieszy z wyjaśnieniem, natomiast dziwnie wywracają mu się oczy, tak że tylko białka widać, aż dreszcz niepokojący mnie przechodzi. Znow parę minut milczenia, dopiero gdy oczy jego wracają do normalnego wyrazu, czuję się nieco uspokojony. Gdy zwraca się do mnie ponownie, lekki zagadkowy uśmiech znow zjawia się na jego ustach.

– Taka jest potęga tego świętego stanu, że śmierć nawet nie może się zbliżyć, gdy człowiek jest weń pogrążony. Po tybetańskiej stronie Himalajów żyje paru joginów, którzy w stopniu doskonałym posiadli całą wiedzę Brahmaczinty. Podoba im się przebywać w odległych grotach, gdzie zapadają w najgłębsze stany świętej medytacji; puls wówczas ustaje, serce przestaje bić, a krew jakby nie krąży w nieruchomym ciele. Ktokolwiek by ich ujrzał w tym stanie, byłby pewien, że nie żyją. Jednak proszę sobie nie wyobrażać, że jest to rodzaj snu, są oni równie przytomni i świadomi jak my, tylko wchodzą w inny, wewnętrzny świat, gdzie wiodą życie o wiele wyższe. Dusza ich, wyzwolona z ograniczeń ciała, działa potężniej; odkrywają wszechświat cały w sobie samych. Z czasem wyjdą z tej świętej medytacji, ale wówczas będą dźwigać paręset lat na swych barkach.

A więc raz jeszcze słyszę o tej tradycji długowiecznego istnienia. Chyba będzie mi ona towarzyszyła, gdziekolwiek się zwrócę pod tym wschodnim niebem. Czyż dane mi będzie spotkać choć raz osobiście kogoś z tych legendarnych starców? A czy zachód odkryje

kiedykolwiek i przyjmie jako naukowy psychologiczny przyczynek ową odwieczną magię przedłużania życia, praktykowaną w odległym Tybecie? Któż to odgadnie?



Oto moja ostatnia lekcja tych fantastycznych teorii jogi Brahmaczinty ma się ku końcowi. Udaje mi się namówić zasiedziałego astrologa na małą przechadzkę – wszak prawie nigdy nie opuszcza domu. Idziemy ku rzece przez zaułki i małe uliczki chcąc uniknąć hałaśliwych i zatłoczonych placów. Przy całym swym gwarze i niehigienicznym przeludnieniu Benares jest malowniczy i ciekawy, gdy tak wędrować piechotą po jego mało znanych zakątkach. Jest popołudnie; towarzysz mój niesie płaski duży parasol, który osłania nas od zbyt silnych promieni słonecznych. Jego znużona postać i powolne ruchy przekonują mnie, że lepiej wybrać możliwie najkrótszą drogę. Wchodzimy w ulicę zamieszkałą prawie wyłącznie przez rzemieślników obrabiających mosiądz i brąz. Całe powietrze rozbrzmiewa od uderzeń młotów, a gotowe naczynia połyskują w słońcu obok niezliczonego mnóstwa brązowych posążków różnych bogów hinduskich. Na innej ulicy widzę starca skulonego w kurzu drogi; patrzy na mnie z dziwnym wyrazem bezsłownego cierpienia; po przewycięzeniu lęku prosi o datek.

Dalej idziemy przez ulicę kupców zboża, którego złote i czerwone góry barwią się wesoło na drewnianych platformkach straganów i sklepików. Kupcy siedzą w kucki przy swym towarze, rzucają na nas ciekawe spojrzenia i wracają do wyczekiwania na klientów. Różne zapachy mieszają się w trudną do opisanego atmosferę. W miarę zbliżania się do Gangesu natrafiamy na dzielnicę, która wydaje się polem łowów dla żebraków; długie ich szeregi wysiadują po obu stronach uliczki, chude wynędzniałe postacie. Jeden podchodzi zupełnie blisko i patrzy mi uważnie w oczy z wyrazem tak niezgłębionej melancholii, że czuję się wzruszony i zażenowany. Cóż bowiem mogę poradzić?

Po chwili potykam się i omal nie padam na starą kobietę, więcej do szkieletu niż do ludzkiej istoty podobną; ciało jej zdaje się składać ze zwisającej skóry i wystających kości. Ona również patrzy mi tylko w oczy bez żadnego głosu ni gestu; a w oczach tych nie ma ani natarczywej prośby, ani nawet wyrzutu czy skargi, tylko cicha rezygnacja. Wyjmuję pieniądze. Ożywia się od razu. Wyciąga wychudłą rękę i bierze jałmużnę. Przechodzi mnie dreszcz na myśl, że oto jestem zupełnie zabezpieczony, mam pod dostatkiem jedzenia,

ubrania, posiadam wygodne schronienie i mnóstwo innych miłych i dobrych rzeczy. A ci nieszczęśliwi nie mają nic. Staje mi w oczach wyraźnie ten śmiertelnie smutny wzrok i czuję się niemal winnym. Jakim prawem posiadam tyle rupii, gdy ci ludzie nie posiadają dosłownie nic prócz paru łachmanów? A gdybym tak przez dziwne zrządzenie losu czy też przypadek urodził się jednym z nich? Przez chwilę przyglądam się tej potwornej myśli, ale wzrastające przerażenie zmusza mnie do odpedzenia jej.

Co właściwie oznacza nieprzenikniona tajemnica losu, który kieruje urodzeniem człowieka? Jednego rzuca na najędzniejsze łachmany i kurz ulicy, drugiego otula w miękkie jedwabie, otacza zbytkiem w takim wspaniałym nadbrzeżnym pałacu? Zaiste, ciemną zagadką jest życie, niezrozumiałą zagadką.

– Usiądźmy tutaj – mówi mój towarzysz, gdy dochodzimy do Gangesu. Siadamy w cieniu i patrzymy w dół rzeki na szeregi schodów szerokich, na wznoszące się tarasy, balkony, werandy. Grupki pielgrzymów wciąż napływają, to znów odchodzą. Na perłowym niebie rysują się sylwetki dwóch dalekich minaretów, wznoszących się na trzysta stóp wysokości; należą one do pięknego meczetu Aurangzeba, tego anachronizmu w Benaresie, najbardziej hinduskim ze wszystkich hinduskich miast.

Astrolog widać zauważył me przejęcie się nędzą żebraków, gdyż zwraca się do mnie.

– Wielka jest dziś nędza Indii, wiele też jest w ludziach bierności; powinniśmy się od was nauczyć energii. Wiele moglibyście nam pomóc, ale pomoc ta winna być dawana przyjaźnie, a nie przemocą. Musi być w tym cel jakiś, że Anglicy przyszli do Indii. Przeznaczenie obu narodów musi się wypełnić.

– Ach, znów powraca pański fatalizm!

Nie odpowiada, a po chwili ciągnie dalej:

– Jakże mogą narody unikać woli Boga? Dzień następuje po nocy, a noc po dniu, niechybnie i stale. Podobnie jest z historią narodów. Wielkie, doniosłe zmiany dojrzewają w naszej epoce, a dotyczą całej ludzkości. Indie przeszły okres bierności i upadku, ale dziś zmieniają się szybko, pełne są wielkich pragnień i dążeń, a te zawsze poprzedzają wielkie czyny. Europa pogrążona jest w wirze działalności praktycznej, lecz wkrótce materializm jej musi minąć, a wtedy zwróci się ku wyższym ideałom i pocznie szukać wartości wewnętrznych. To samo musi dokonać się i w Ameryce.

Słucham go w milczeniu.

– Dlatego to nasza filozofia i wiedza duchowa popłyną na Zachód potężną falą – ciągnie dalej z powagą prawie uroczyście. – Uczeni wasi już przełożyli niektóre nasze dzieła sanskryckie i księgi święte na europejskie języki, ale niezliczona ilość najcenniejszych rękopisów kryje się po wielkich podziemnych bibliotekach w mało znanych zakątkach Indii, Nepalu i Tybetu. I one powinny powędrować w świat i dać się poznać ludzkości. Niedługo przyjdzie czas, gdy starożytna filozofia i wiedza duchowa Indii zjednoczą się z wiedzą praktyczną Zachodu. Tajemnica, która je ongiś otaczała, wkrótce, ufam, będzie już mogła być uchylona.

Znów milknie, a ja patrzę na zielonawe mody Gangesu płynące tak spokojnie, że prawie nie można dostrzec żadnego prądu; powierzchnia wody drży blaskami w słońcu. Astrolog odzywa się znów:

– Przeznaczenie każdego narodu musi się wypełnić, podobnie jak przeznaczenie każdej jednostki. Pan jest wszechpotężny. Zarówno ludzie jak narody nie mogą ująć losowi, który same sobie zgotowały; ale mogą spotykać na swej drodze opiekę, a nieraz nawet ratunek w potrzebie i niebezpieczeństwie.

– A w jaki sposób otrzymuje się taką opiekę?

– Przez modlitwę, przez dziecięcy stosunek do Najwyższego, pamięć o Nim nie w słowach tylko, lecz w sercu, zwłaszcza przed każdym czynem. Cieszyć się trzeba szczęściem, które nam życie przynosi, jako błogosławieństwem Jego; a gdy niepowodzenia i udręki przychodzą – pamiętać należy, że są one podobne lekcom zesłanym dla uleczenia jakiejś choroby wewnętrznej. Nie trzeba bać się Najwyższego, bo On jest miłosierny.

– Nie wierzy pan więc, że Bóg jest gdzieś daleko, poza tym naszym światem? – wtrącam.

– Nie. Bóg jest duchem ukrytym w każdym człowieku i w całym wszechświecie. Gdy widzimy np. piękno przyrody, krajobrazu, nie czcimy go dla niego samego, lecz dla tej ukrytej w nim „duszy”, dla tej boskości utajonej, która stanowi jego żywe piękno. Usiłujmy widzieć Boga w ludziach i przedmiotach nie dając nigdy tak się złudzić zewnętrznym pozorom, byśmy mogli zapomnieć Ducha, który jest przyczyną i treścią ich istnienia.

– W dziwny sposób łączy pan teorię przeznaczenia, religię i astrologię w jedno.

Patrzy na mnie z powagą niemal uroczyście.

– Dlaczegoż wydaje się to panu tak dziwne? Teorie te – a może raczej prawdy – nie ja odkryłem. Przyszły one do nas z czasów

pradawnych, niepamiętnych. Potęga przeznaczenia, uwielbienie Stwórcy i prawa wpływów gwiazdnych znane były wszystkie trzy chyba od początku istnienia ludzkości na tej ziemi. Nie sprzeciwiają się sobie bynajmniej. Wiedziały o tym ludy tzw. pierwotne, które wy na Zachodzie lubicie nazywać dzikimi; one jednak stały na o wiele wyższym poziomie, niż się wam zdaje. Zresztą, czyż nie mówiłem przed chwilą? Zanim skończy się to stulecie, Zachód ponownie odkryje, jak realne są siły niewidzialne, które przenikają człowieka.

– Sądzę, że najtrudniejszą rzeczą będzie dla ludzi Zachodu porzucić wrodzone przekonanie o wolnej woli, która zdolna jest zbudować lub zburzyć życie człowieka.

– Wszystko, cokolwiek się dzieje, zgodne jest z Jego wolą, a to, co się zdaje naszą wolną wolą, działa właściwie dzięki Jego potędze. Najwyższy posyła ludziom skutki ich dobrych czy złych czynów i myśli z poprzednich wcieleń. Najlepiej przyjmować spokojnie Jego wolę; a jeśli w przeciwnościach zwrócimy się do Niego po siły i męstwo – trwoga nas nigdy nie ogarnie.

– Chciałbym wierzyć, że ma pan słuszność, choćby przez wzgląd na tych nieszczęsnych, których widzieliśmy przed chwilą.

– Tak, jest to jedyne wytłumaczenie, jakie dać mogę. Jeśli zechce pan pójść za naukami Brahmaczinty, które panu ukazałem, czyli drogą własnej duszy, wszystkie te zagadnienia rozwiążą się same.

Zdaję sobie sprawę, że istotnie przekazał mi wszystko, co mógł, a dalej muszę sam torować sobie drogę. Oto mam w kieszeni depeszę, która mnie zmusza opuścić dziś jeszcze Benares. W drugiej spoczywa mały kodak. Proszę mego astrologa o pozwolenie sfotografowania go. Odmawia grzecznie, lecz stanowczo. Nalegam raz jeszcze.

– Po co? – zapytuje – moja brzydka twarz i nieporządne ubranie miałyby się znaleźć na fotografii?

– Proszę bardzo, niech pan nie odmawia. Będzie to dla mnie tak miłe wspomnienie, gdy znajdę się daleko pod niebem północy.

– Najlepszą o mnie pamięcią będą dobre myśli i bezosobiste czyny – mówi łagodnie.

Muszę ulec i schować aparat.

Wkrótce powstaje i wracamy. Spostrzegam obok siedzącą postać pod okrągłym bambusowym parasolem; twarz znieruchomiała w medytacji i szata koloru ochry (żółta) wskazują, że jest to sadhu i to zapewne wyższego rzędu. Dalej, pośrodku drogi, którą idziemy, leży krowa – zdaje się tej czczonej odmiany. Dochodzimy do rogu ulicy, tu biorę wózek i żegnam się. Drogi nasze rozchodzą się.

# DZIWNE SPOTKANIE

Oto drugi już raz wędruję prawie bez celu po Indiach zachodnich. Zmęczony pełnymi kurzu pociągami i niewygodnymi wózkami bez siedzeń, ciągnionymi przez woły, próbuję tym razem starego samochodu z Hindusem, który odgrywa rolę towarzysza, szofera i służącego w jednej osobie.

Mijamy zmieniające się wciąż krajobrazy. Jeśli nas zmierzch zastaje w lasach, szofer mój woli zatrzymać się na noc; rozpala duże ognisko i podtrzymuje je przez całą noc dorzucając suchych gałęzi i ściętych krzaków, by oddalić dzikie zwierzęta. Lamparty i pantery grasują w tych lasach, ale tak się boją ognia, że trzymają się w przyzwoitej od nas odległości. Szakale natomiast nie obawiają go się wcale; raz po raz słyszymy ich ponure szczekanie i wycie tuż koło nas. A za dnia widzimy często sępy wzbijające się z gniazd w rozpalone niebo.

Pewnego popołudnia jadąc pylną drogą dostrzegamy dwóch ludzi, siedzących na skraju. Jeden z nich w średnim wieku siedzi w postawie Buddy z przymkniętymi oczami – pod mizernym cieniem krzaka widać pograżony w medytacji; drugi zdaje się być jego młodocianym pomocnikiem i zapewne uczniem. Starszy złożył ręce i siedzi w półśnie nieporuszony, nieświadom naszego pojawienia się, ani jednym spojrzeniem nie rzuciwszy w naszą stronę; młodszy natomiast zaciekawiony ogromnie przygląda się naszemu samochodowi. Pociąga mnie coś w twarzy nieruchomej starszego i decyduje się zatrzymać opodal. Towarzysz mój podchodzi i rozpoczyna rozmowę; ja przyglądam się z dala. Po dłuższej chwili wraca i między niezliczonymi szczegółami dowiaduję się, że istotnie jest to mistrz ze swoim uczniem. Mistrz nazywa się Czandi Das i jest wielkim joginem, obdarzonym wielu niezwykłymi władzami. Wędrują z wioski do wioski, najczęściej piechotą, czasem pociągiem: odkąd opuścili rodzinny Bengal, przewędrowali już duży szmat kraju.

Ofiarowuję się wziąć ich do samochodu, co wywołuje łagodny uśmiech ze strony jogina i radość impulsywną młodzieńca. W pół godziny później samochód wjeżdża do wsi ze swą oryginalną załogą; decydujemy zostać tu na noc.



Nikogo więcej nie napotkaliśmy po drodze oprócz pastuszka ze swym stadem w pobliżu wsi. Popołudnie przechodzi już w wieczór, gdy stajemy przy studni wiejskiej i popijamy orzeźwiająca wodę, choć wątpliwego koloru. Przyglądam się wiosce. Ze czterdzieści czy pięćdziesiąt chat i domków wzdłuż jednej długiej ulicy; nierówne strzechy, niskie nieregularne ściany z gliny, z bambusowymi wiązaniami robią na mnie przygnębiające wrażenie. Kilku wieśniaków siedzi w cieniu przed chałupami. Siwa, stara kobieta o na wpół przykrytych wychudłych piersiach zbliża się do studni; przygląda się nam chwilę, po czym ciągnie wodę, napełnia swój metalowy dzban i powoli kieruje się ku domowi.

Towarzysz mój zabiera się do przygotowania herbaty, po czym idzie na poszukiwanie wiejskiego sołtysa. Jogin ze swym uczniem siadają przy studni i odpoczywają. Starszy nie umie po angielsku, młodszy zna trochę słów i, choć z trudem, można się z nim jako tako porozumieć. Próbuje, ale po chwili dochodzę do wniosku, że lepiej poczekać, aż się wszyscy rozlokujemy na noc; wówczas przy pomocy mego tłumacza przeprowadzę rozmowę, o którą mi chodzi.

Tymczasem zbiera się koło nas grupka ludzi i przygląda się ciekawie. Rzadko widują tu europejskie twarze. Próbowałem czasem rozmawiać z tymi wieśniakami; bardzo ciekawy jest ich zdrowy rozsądek i prosty sposób ujmowania zjawisk. Dzieci z początku są nieśmiałe i zastrachane, ale zdobywam ich życzliwość paru miedziakami. Przyglądają się z niekłamanym podziwem memu budzikowi, a zachwyt ich nie ma granic, gdy go nakręcą i rozlega się dzwonięcie.

Jakaś kobieta zbliża się do jogina, skłania się przed nim najniżej, dotyka stóp, a potem przyklada ręce do swego czoła.

Po chwili wraca mój towarzysz z sołtysem i oznajmia, że herbata gotowa. Choć służy mi za sofera i tłumacza zarazem, posiada jednak uniwersyteckie wykształcenie, a spełnia chętnie wszelkie usługi chcąc nauczyć się europejskich zwyczajów; żywi nadzieję, że go wezmę ze sobą do Europy. Nie traktuję go też jako służącego, lecz raczej jak życzliwego towarzysza; inteligencja i charakter jego w pełni na to zasługują.

Podczas rozmowy mej z sołtysem ktoś uprowadził już jogina z jego uczniem pod swój gościnny dach. Wieśniacy są tu tak niezmiernie gościnni, przewyższają tym znacznie swych miejskich braci.

Idąc do domu sołtysa obserwuję czerwieniejące na zachodzie niebo i linię dalekich wzgórz płonących na horyzoncie. Zatrzymujemy się

przed porządnym domem; po rozlokowaniu się dziękuję sołtysowi za użyczenie nam gościny.

– Zaszczyt pańskich odwiedzin jest sam przez się dla mnie nagrodą – odpowiada mi z prostotą.

Herbata i krótki odpoczynek zajmują nieco czasu. Cienie zmierzchu spowiły już pola, słyszę dzwonki krów powracających na noc z pastwiska. Towarzysz mój uzyskał dla mnie posłuchanie u jogina i prowadzi mnie do jednej z najskromniejszych chat.

Wchodzę do kwadratowej, niskiej izby o podłodze ubitej z gliny; nie widać żadnych sprzętów, tylko parę garnczków stoi przy ognisku. Bambusowy kij wbity w ścianę służy za wieszak dla ubrań. W kącie stoi duży metalowy dzban z wodą. Ubogo wygląda chata w bladym świetle prymitywnej lampki. Jest to typowe mieszkanie najbiedniejszych chłopów.

Uczeń jogina wita mnie swą łamaną angielszczyzną, ale mistrza nie widzę. Wezwano go do chorej kobiety pragnącej jego błogosławieństwa. Czekamy, aż wróci.

Po chwili daje się słyszeć szmer z zewnątrz i wysoka postać ukazuje się w progu. Jogin wchodzi poważny i skupiony. Ujrawszy mnie wymawia parę słów; towarzysz mój przekłada je: „Witaj, panie, niech Bóg Cię strzeże”.

Podsuwam mu mały kilimek, ale odmawia, woli usiąść na podłodze. Siedzimy tak naprzeciw siebie, a ja przyglądam mu się bacznie. Może mieć około pięćdziesięciu lat, choć gęsta broda nadaje mu wyraz starszego. Włosy półdługie spadają mu pasmami na ramiona; ust poważnych nie rozchyła najmniejszy uśmiech. Ale to, co mnie uderzyło od razu, gdym go ujrzał na drodze, przykuwa i teraz mą uwagę, mianowicie dziwny blask jego czarnych, głębokich oczu. Nieziemskie, przedziwne oczy; wiem, że nieprędko zdołam je zapomnieć.

– Dużo pan podróżował? – pyta spokojnie.

Potakuję skinieniem głowy.

– A co pan myśli o mistrzu Mahasai?

Patrzę nań ze zdziwieniem. Skądże może wiedzieć, że byłem w jego rodzinnym Bengalu i widziałem Mahasaję w Kalkucie? Patrzę nań bacznie i pytająco prawie zapominając odpowiedzieć; wreszcie odzywam się:

– Ach, mistrz Mahasaja zdobył zupełnie me serce. Ale dlaczego pytacie?

Nie ma odpowiedzi. Zapada dłuższe kłopotliwe milczenie. Po chwili dodaje:

– Bardzo pragnę zobaczyć go raz jeszcze. Czy znacie go? Czy pozdrowić go od was?

Jogin potrzasa stanowczo głową.

– Nie spotka pan tu już nigdy Mahasai. Jama, bóg śmierci, woła go właśnie do siebie.

Znów dłuższa pauza, aż zdobywam się na wyjaśnienie mego celu:

– Interesują mnie myśli i życie joginów. Czy nie moglibyście mi, ojcze, powiedzieć, jak się stało, że obraliście tę drogę? Czy zdobyliście na niej wiele mądrości?

Czandi Das nie jest skłonny do odpowiedzi.

– Przeszłość jest jedynie stopem popiołu, po cóż chcesz, abym w nim grzebał i wyciągał jakieś martwe skrawki doświadczeń? Nie żyję ani w przeszłości, ani w przyszłości, gdyż nie są one realniejsze od cieni dla głębi ludzkiego ducha. Oto jest mądrość, którą zdobyłem.

Odpowiedź nie jest zachęcająca. Jego majestatyczna, prawie surowa postawa pozbawia mnie zwykłej pewności siebie.

– Ale wszak musimy się z nimi liczyć żyjąc w świecie czasu i przestrzeni – dorzucam.

– Czas? Czy jest pan bezwzględnie pewien, iż rzecz taka istnieje?

Obawiać się zaczynam, by rozmowa nasza nie zesłała na zgoła fantastyczne tory. Gdzież są te nadzwyczajne władze jogina, o których mówił jego uczeń? Głośno dodaję:

– Gdyby czas nie istniał, przeszłość i przyszłość byłyby tu teraz w tej chwili. A wszak doświadczenie mówi nam co innego.

– Tak? Ma pan tu na myśli tylko własne doświadczenie.

– Chyba nie chcecie przez to powiedzieć, że wasze jest różne, ojcze?

– Owszem, to właśnie mam na myśli – odpowiada poważnie.

– Czy mam przez to rozumieć, że widzicie przyszłość?

– Żyję w wiecznym! – odpowiada Czandi Das. – Nie staram się nigdy odkrywać, co mi przyniosą następne lata.

– A czy moglibyście uczynić to dla innych?

– Jeślibym zechciał – mogę.

Zaciekawia mnie to niepomernie. Muszę dotrzeć do sedna.

– A więc możecie im wyjawiać zdarzenia, które mają przyjść?

– Tak, ale tylko częściowo. Życia ludzkie nie płyną tak gładko, każdy szczegół nie jest z góry postanowiony.

– A czy mógłbym poznać tę część mej przyszłości, która dałaby się odczytać?

– A po co chce pan ją znać? – pyta mnie poważnie.

Waham się chwilę.

– Nie bez przyczyny zasłona okrywa zwykle przyszłość przed naszymi oczami. Bóg wie, co robi – dodaje prawie surowo.

Cóż mogę mu rzec? Nagle błyska mi myśl.

– Ważne zagadnienia niepokoją mój umysł. Przyjechałem do Indii w nadziei, że znajdę tu choć odrobinę światła. Może w tym, co mi powiecie, odkryję jakąś użyteczną wskazówkę, co dalej mam robić, albo też dowiem się, że wędrówki me są daremne.

Jogin zwraca na mnie swe błyszczące oczy. Zapada długie milczenie. Coraz więcej uderza mnie powaga i dostojeństwo tej milczącej postaci. Wydaje się tak wielki, o tak niezgłębionej mądrości, gdy siedzi nieporuszony ze skrzyżowanymi nogami, daleki od wszystkiego, co go otacza, od tej ubogiej chaty, zapadłej wsi, ludzi...

Spostrzegam jaszczurkę na ścianie; patrzy się na nas swymi oczkami jak czarne paciorki, otwierając raz po raz swój nadmiernie szeroki pyszczek, aż mnie to przejmuje dziwnie niesamowitym wrażeniem.

Nareszcie Czandi Das odzywa się:

– Nie stroję się klejnotami uczoności, ale sędzę, że jeśli zechce pan usłuchać mej rady, podróż jego nie będzie daremna. Niech pan wróci do miejsca, z którego rozpoczął pan swą wędrówkę po Indiach, a zanim nowy księżyc wstanie, pragnieniu pana stanie się zadość.

– Czy mam przez to rozumieć, że należy wrócić do Bombaju?

– Tak jest.

Jestem zaskoczony. Cóż mogę znaleźć w tym na wpół zeuropeizowanym mieście?

– Ależ nie znalazłem tam nic godnego uwagi, co mogłoby mi pomóc w mych poszukiwaniach – protestuję.

Czandi Das patrzy na mnie zimno.

– Tamtędy prowadzi pana droga. Niech pan nią podaży jak najszybciej i, nie tracąc czasu, wraca zaraz jutro do Bombaju.

– Czy to wszystko, co mi możecie powiedzieć?

– Jest jeszcze dużo więcej, ale nie starałem się tego zauważyć.

Znów zapada milczenie. Oczy jogina stają się nieruchome i bez wyrazu jak woda. Po długiej chwili odzywa się znów:

– Opuści pan Indie i powróci na Zachód przed następną wiosną. Poważna choroba rzuci się jak sęp na pana ciało niezwłocznie po opuszczeniu Indii. Duch będzie walczył w umęczonym ciele, ale godzina jego wyzwolenia jeszcze nie nadeszła. Spełni się ukryte działanie przeznaczenia i przyprowadzi pana po raz wtóry do Indii. Trzykrotnie je pan odwiedzi w tym życiu. Mędrzec pewien oczekuje

pana nawet dziś, dla niego to – dzięki dawnym związkom, które was łączą – powróci pan do Indii raz jeszcze.<sup>1</sup>

Milknie, a lekkie drżenie przechodzi jego źrenice. Za chwilę patrzy już normalnie wprost na mnie i dodaje:

– Słyszał pan, co mówiłem. Nie mam nic do dodania. Rozmawiamy jeszcze chwilę, ale o ogólnych i nieciekawych tematach. Nie chce mi stanowczo nic powiedzieć o sobie. Sam nie wiem, jak się ustosunkować do jego dziwnych słów, ale czuję wyraźnie, że jest w nich coś głębszego.

Zabawna chwila przychodzi, gdy jego młody uczeń pyta najpoważniej:

– Czy wielu podobnych joginów może pan spotkać w Anglii?

Śmieję się.

– Ależ joginów w Anglii nie ma wcale, przyjacielu.

Dotychczas wszyscy w chacie siedzieli spokojnie, ale gdy jogin daje znak, że skończył rozmowę, gospodarz zbliża się i prosi nas o przyjęcie skromnego posiłku. Tłumaczę mu, że przywieźliśmy swoje zapasy i właśnie idziemy do domu sołtysa – gdzie zostajemy na noc – by przygotować wieczerzę. Ale wieśniak nie ustępuje; twierdzi, że nie może wypuścić gościa bez poczęstunku; gościnność tradycyjna za grzech by to poczytywała. Wymawiam się jeszcze, mówiąc, że nie jestem głodny, że już jadłem. Daremnie; muszę w końcu ulec, by mu nie czynić zbyt wielkiej przykrości.

– Nie poszczęściło by mi się, gdybym gościa wypuścił z domu nie nakarmiwszy go – dodaje wieśniak przynosząc mi potrawę z przysmażonej kaszy.

Wyglądam przez zakratowany otwór, służący za okienko. Sierpek opalowego miesiąca rzuca blade swe światło, a ja rozmyślam nad pięknem serdecznej gościnności tych prostych wieśniaków. Żadne uniwersyteckie wykształcenie ani obycie wielkomiejskie nie wynagrodzą zatracenia tych najpiękniejszych cech charakteru, które zazwyczaj życie w miastach zabija.

Żegnaj się z Czandi Dasem i jego uczniem i chęć wychodzić; wówczas chłop zdejmuje latarnię wiszącą u pułapu i odprowadza nas świecąc po drodze. Pokazujemy nasze latarki elektryczne prosząc, by wracał do tamtych; żegna się z nami podnosząc dłonie do czoła i uśmiechając się serdecznie. Idę za swym towarzyszem do miejsca naszego noclegu. Ale sen nie przychodzi; myślom o wędrow-

---

1 Pierwsza połowa tej przepowiedni już się spełniła.

nym joginie bengalskim ponuro akompaniują poszczekiwanie szakali i przeciągłe wycie psa.



Jeśli nie stosuję się najdosłowniej do rady Czandiego Dasa, w każdym razie zawracam samochód w stronę Bombaju i powoli wracam ku miastu. Ale zaraz po przyjeździe choruję.

Zamknięty w czterech ścianach z obolałym ciałem a znużoną myślą, wpadam po raz pierwszy, odkąd tu jestem, w pesymizm. Zdaje mi się, że już mam dość Indii. Przewędrowałem tysiące mil nieraz w niełatwych warunkach. To, czego szukałem w tym kraju, nie da się znaleźć w europejskich dzielnicach, gdzie karty, taniec, biesiady i whisky z wodą sodową składają się na kompletny obraz życia. Przebywanie w dzielnicach hinduskich dopomogło mi nieco w mych poszukiwaniach, ale nie w zdrowiu, a wędrówki po odległych zakątkach kraju, po wioskach ustronnych, przy nieodpowiednim pożywieniu, niezdrowej wodzie i niewygodach z dodatkiem tropikalnej bezsenności, okazały się niebezpieczne. Oto bezsilne me ciało przykute jest do łóżka.

Czy długo jeszcze uda mi się trzymać w garści? Brak snu staje się przekleństwem. Szereg miesięcy już walczę i nie mogę niczym zwyciężyć prześladowającej mnie bezsenności. Konieczność obracania się wśród najróżniejszych typów ludzkich i utrzymywania przy tym równowagi między umiarkowanym krytycyzmem a odbiorczym stosunkiem do wszystkiego, co spotykałem w nieznanym dziedzinach tajemniczego życia Indii, wymagała ciągłego napięcia nerwów i dziś przemęczenie ogarnia mnie na dobre. Musiałem nauczyć się odróżniać ludzi prawdziwie mądrych od głupców, uważających swe własne fantazje za boskie natchnienia; trzeba było wciąż rozpoznawać, co jest prawdziwym mistycyzmem religijnym, a co sprytnym fałszowaniem cudów; gdzie pod płaszczykiem świętości kryje się czarna magia, a gdzie prawdziwie poważna joga. Musiałem przy tym skupić badania w możliwie najkrótszym okresie czasu, wszak nie miałem zamiaru ni możliwości poświęcać im wiele lat.

Jeśli zarówno mój stan fizyczny jak umysłowy przedstawiają się dość smutno, to chyba stan duchowy nie lepiej. Gryzie mnie poczucie przegranej. Spotkałem wprawdzie kilku ludzi o zadziwiających osiągnięciach i pięknych charakterach oraz takich, którzy potrafili czynić niezwykle rzeczy. Ale dotychczas nie usłyszałem jeszcze głosu wewnętrznego, który by mi mówił: „Oto duchowy Nadczłowiek, którego szukasz, który odpowiada twemu racjonalistycznemu

nastawieniu; zostaniesz przy Nim". Choć wielu zapalonych uczniów starało się pozyskać mnie dla swych nauczycieli, nie udało im się to. Przekonywałem się tylko, że są oni podobni zakochanym po raz pierwszy młodzieńcom, którzy uważają, że spotkali najpiękniejszą miłość życia i nie mogą nawet pomyśleć o istnieniu wyższej; ci oddani swym mistrzom uczniowie tak są zachwyceni pierwszymi swymi doświadczeniami w życiu nadzmysłowym, że nie mają bynajmniej zamiaru szukać dalej. Poza tym nie mam ochoty stać się składnicą cudzych teorii i nauk; chcę własnego osobistego życia duchowego, bezpośredniego oświecenia, zdobytego przeze mnie samego, a nie przekazanego przez innych.

Ale kimże właściwie jestem? Skromnym skrybą, wędrującym po tej wschodniej krainie po odrzuceniu wielu światowych ambicji. Cóż uczyniłem, by zasłużyć na tak wielkie spotkanie? Przygnębienie schodzi na serce, a ciężar jego tłoczy nieznośnie.

Po kilku dniach, gdy czułem się fizycznie nieco lepiej, schodzę na obiad do jadalni hotelowej. Siedzę przy oficerze, który mi opowiada o ciężkiej chorobie żony, cofniętym urlopie i kłopotach przeróżnych. Wzmaga to tylko moją depresję. A gdy skończyliśmy i przechodzimy na werandę, wyjmuje cygaro i mruczy:

– Zabawne życie, co?

– A tak, zabawne! – odpowiadam krótko.

W pół godziny potem wiezie mnie samochód do biura podróży. Proszę o bilet do Europy, płacę i mam uczucie, że zrobiłem jedyną rzecz, jaka mi zostawała, decydując się na tą nagłą ucieczkę z Indii.

Z pogardą dla pałaców, sklepów, biur i wszelkich wspaniałości Bombaju wracam do swego hotelowego pokoju, by znów w samotności przeżuwać swą klęskę.

Nadchodzi wieczór. Kelner przynosi obiad wyglądający smakowicie, ale nie mogę go tknąć. Wypijam parę szklanek mrożonego napoju i zamawiam taksówkę. Jadę do kina, tego nie proszonego daru, jaki Zachód rzucił Indiom. Zatrzymuję się przed jasno oświetlonym wejściem i barwnymi afiszami. Lubilem zawsze pasjami kino; dziś może mi zastąpi upragnione wody Lety. Nieraz myślałem, że nie może mnie nigdy pochłonąć całkowita depresja, póki mogę za rupięc czy za inną monetę zdobyć wygodny fotel w którymkolwiek z kin świata.

Siadam i patrzę na nieuniknione i początkowe fragmenty – życie Amerykanów rzucone na ekran. Po raz setny niemądra żona i niewierny mąż na tle luksusowych apartamentów. Staram się skupić uwagę na ich życiu, ale ogarnia mnie niespodziewana nuda.

Spostrzegam z przykrością, że mój dawny gust uległ zmianie. Historie ludzkich namiętności, tragedie i komedie straciły wszelki czar, ani mnie smuca, ani śmieszają.

Po upływie pół godziny wydaje mi się to wszystko wierutnym głupstwem, uwaga urywa się, a myśli znów wracają do dziwnych losów mej wędrowki hinduskiej. Oto jestem pielgrzymem bez Boga, włóczęgą od miasta do miasta, od wioski do wioski w poszukiwaniu miejsca zaczarowanego, gdzie umysł mógłby spocząć. Wszystko na darmo. Spoglądałem w twarze tylu ludzi szukając niezwykłych rysów duchowego nadczłowieka, który sięgnął myślą głębiej niż wszyscy ludzie mego kraju i mojej epoki. Wpatrywałem się niespokojnie w czarne, błyszczące oczy innych, szukając tajemniczej odpowiedzi, która przyniosłaby mi ukojenie.

Nieraz czuję jakieś napięcie w mózgu, jakby cała atmosfera wokoło została naładowana wibracjami elektrycznymi o wysokim napięciu. Zdaję sobie sprawę z jakiejś dynamicznej zmiany zachodzącej nagle w mej istocie. Głos jakby z wewnątrz płynący narzuca się mej uwadze i mówi wzgardliwie:

„Całe życie nie jest niczym innym jak szeregiem obrazów kinowych, rozwijających się w pewnej następności pomiędzy kolebką a grobem. Gdzież się podziały sceny przeszłości – czy mogłeś je zatrzymać? A gdzie są te, co kiedyś przyjdą – czy możesz je uchwycić? Zamiast starać się znaleźć Jedyne, Rzeczywiste, Trwałe i Wieczne, przychodzisz tu czas tracić na to, co jeszcze bardziej jest znikome od zwykłego istnienia – urojone historie, złuda pośród Wielkiej Ułudy”.

Reszta zainteresowania filmem znika. Co za sens ma ta cała historia miłości czy tragedii ludzkiej? Po co tu siedzę? Istotnie, nie mogę dłużej. Wychodzę z kina.

Idę przed siebie bez celu ulicami zalanymi księżycową poświatą. We wschodnich krajach księżyc wydaje się nam bliższy. Na rogu zaczepia mnie żebrak mrużąc niezrozumiałą prośbę. Spoglądam w jego twarz i cofam się z przerażeniem, potworne ślady wyryła na niej okropna choroba. Ale za chwilę współczucie bierze górę nad obrzydzeniem i rzucam w wyciągniętą rękę wszystkie drobne, jakie znajduję. I on jest ofiarą życia.

Kieruję się nad morze, w jakieś ustronne miejsce z dala od tłumów zalegających o tej porze wybrzeże. Wpatruję się w gwiazdy na nieboskłonie olbrzymim i nagle uświadamiam sobie, że znajduję się w punkcie przełomowym życia.



Za parę dni uniesie mnie statek ku Europie ślizgając się po zielonkawobłękitnych wodach Morza Arabskiego. Obiecuję sobie, że wraz z wejściem na jego pokład odrzucę wszelką filozofię, zapomnę o całej swej wschodniej romantycznej przygodzie. Nie będę już więcej składał wszystkiego, co posiadam – czasu, myśli, energii i pieniędzy – na ołtarzu poszukiwań domniemanych mistrzów i świętych.

Ale nieznany dotychczas głos wewnętrzny znów szczydzi:

„Głupcze, i to ma być rezultat lat pragnień i poszukiwań?! Chcesz banalnej drogi wszystkich ludzi, zapomnienia tego, co już zdołałeś zdobyć, odrzucenia najlepszych twych uczuć w porywie egotyzmu i zmysłowości? – Ale ostrożnie! Rozpoczyłeś życie pod władzą strasznych mistrzów; nieskończone rozmyślenia i analizy odarły z czaru całe twoje życie; gorączkowa działalność smagała cię swym biczem, a samotność wewnętrzna toczyła jak robak twoje serce. Czy sądzisz, że nie pozostawiło to śladu? że możesz uciec od skutków takiego życia? To się nie uda, bo skutki jesteś niewidzialnymi łańcuchami”.

Dziwne nastroje ogarniają mnie kolejno, gdy tak wpatruję się w gęsto usiane, błyszczące niebo Wschodu. Usiłuję bronić się przed nieubłaganym głosem, skarżę się i usprawiedliwiam tłumacząc się z porażki.

Ale głos jest surowy i nie przebacza.

„ Czy masz bezwzględna pewność, że nikt z ludzi, których tu spotkałeś, nie może być twym mistrzem?” pyta znów natarczywie.

Długi szereg twarzy przesuwa się przed oczami mej pamięci. Żywe twarze z północy i spokojne z południa, nerwowe uczuciowców wschodniej połaci kraju i silne, męskie, skupione Marathów zachodniej; twarze życzliwe i przyjazne, rozumne i niebezpieczne, ograniczone i złe, głębokie i nieodgadnione.

Jedna twarz tylko oddziela się od tej całej procesji i unosi uparcie przede mną, a oczy jej spokojnie patrzą w me źrenice: niewzruszone, do sfinksa podobne oblicze Maharisziego, mędrca, który spędził życie na Górze Świętego Płomienia. Nie zapomniałem go bynajmniej; raz po raz wyłaniała się łagodna i głęboka myśl o nim, ale wciąż zmieniający się charakter mych doświadczeń, wir wrażeń, twarzy, wypadków, przeżyć, nagle zmiany, ciągle inne warunki, kładły się warstwami na tamto wspomnienie, przytłumiając wrażenie mych krótkich odwiedzin.

Dziś widzę, że był jak wielka gwiazda na niebie mego życia, że przemknął przez mroczną próżnię jak wielka światłość, by zniknąć w dali. Muszę też przyznać – chcąc dać uczciwą na wewnętrzne pytanie odpowiedź – że jest jedynym, który wywarł trwałe wrażenie; tak, największe ze wszystkich spotkanych dotąd ludzi na Wschodzie i Zachodzie. Ale zdawał się taki daleki, tak odległy od wszystkich europejskich sposobów myślenia, tak obojętny w stosunku do mnie, jakby go w najmniejszej mierze nie obchodziło, czy uczniem jego zostanę, czy nie.

Cichy głos odzywa się znów ze zdwojoną siłą:

„A skąd masz pewność, że była to obojętność? Byłeś tam tak krótko i pośpieszyłeś dalej”...

„No tak”, bronię się słabo. „Wszak musiałem trzymać się dobrowolnie przyjętego programu. Czyż mogłem inaczej?”

„Jedno ci pozostaje dziś do zrobienia – oto wrócić teraz do niego”.

„Jakże się mogę narzucać?”

„Nonsens. Cóż znaczy twa osobista ambicja w porównaniu z powagą twego wewnętrznego szukania. Wracaj do Maharisziego!”

„Ależ on jest na drugim końcu Indii, a ja czuję się chory i nie mam sił na dalsze wędrówki.”

„Cóż to znaczy? Czyż nie wiesz, że chcąc znaleźć mistrza poświęca się wszystko?”

„Nie wiem dziś nawet, czy go pragnę. Jestem zanadto zmęczony, by pragnąć czegokolwiek. Zresztą zamówiłem już kabinę, za trzy dni statek odplywa. Za późno na zmianę planów.”

Słyszę niemal szyderyczy śmiech.

„Co? za późno? Gdzież się podziela ocena wartości, mądrość sądu? Gotów jesteś przyznać, że Mahariszi jest najniezwyklejszym człowiekiem, jakiego spotkałeś, a jednocześnie chcesz uciekać nie zadawszy sobie nawet trudu bliższego poznania go. Wracaj!”

Ale zacinam się w tępy upór. Mózg mówi „tak”, a krew krzyczy „nie”.

Po raz ostatni odzywa się głos:

„Zmień plany. *Musisz* wrócić do Maharisziego”. Po czym milknie.

Ale za to powstaje w głębi mej istoty coś, co żąda posłuszeństwa rozkazowi, choć nie znam owego głosu i nawet nie wiem, czy do mnie należy. Zalewa mnie ta fala i zmiata wszelkie argumenty, wszystkie sprzeciwy intelektu, protesty osłabionego organizmu, tak że staję się jak bezbronny niemowlę w jej ramionach. I poprzez ten nagły nieprzewyciężony nacisk, wołający mnie do niezwłocznego porzu-

cenia wszystkiego, widzę naraz z niezwykłą jasnością jego spokojne oczy – jakby niemy zew.

Nie walczę już i nie przeciwstawiam się memu wewnętrznemu głosowi, wiem, że bezbronny i zwyciężony. Pojadę zaraz do Maharisziego i – jeśli mnie przyjmie – powierzę mu się całkowicie. Uwiążę mój wóz do jego gwiazdy. Kości rzucone. Coś mnie pokonało, choć nie wiem dobrze co.

Wracam do hotelu i wypijam trochę letniej herbaty. I nagle czuję się nowym, przemienionym człowiekiem. Mroczny ciężar pesymizmu i zwątpienia spadł z moich ramion.

Nazajutrz rano schodzę na śniadanie zdając sobie sprawę, że uśmiecham się po raz pierwszy, odkąd jestem w tym mieście. Brodaty sikh, kelner, jaśniejący białą ubrania, odpowiada mi uśmiechem i staje za krzesłem podając mi kopertę:

– Oto list dla pana.

Patrzę na stempel. Przeadresowany kilkakrotnie, gonił mnie z miejsca na miejsce. Otwieram i konstatuje z radością, że pisany był w pustelni u stóp świętej Arunaczali. Autor, niegdyś znany działacz społeczny, członek legislatury madraskiej, usunął się z życia publicznego po jakichś tragicznych przejściach rodzinnych i został uczniem Maharisziego; odwiedza go, jak może najczęściej. Spotkałem go tam i korespondowałem przygodnie.

List jest miły, pełen życzliwych myśli, wyraża chęć ponownego ujrzenia mnie w pustelni i zapewnienia o najserdeczniejszym przyjęciu. Gdy kończę, jedno zdanie zostaje mi w pamięci:

„Szczęśliwy los pozwolił panu spotkać prawdziwego mistrza”.

Chyba ten list jest dalszą wróżbą i błogosławi mej ostatecznej decyzji. Jadę do biura podróży i cofam zamówienie na kabinę.

A nazajutrz zegnám Bombaj i pędzę przez szare równiny Dekanu, gdzie tylko rzadkie drzewa urozmaicają krajobraz. Zdaje mi się, że pociąg biegnie zbyt wolno przez te ubogie nagie płaszczyzny. Za każdą milą czuję, że zbliżam się do jakiejś wielkiej przygody wewnętrznej, do duchowej światłości i najbardziej tajemniczego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Patrząc przez okno na migające krajobrazy czuję, że moja mglista nadzieja spotkania nadczłowieka, prawdziwego risziego, ożywa ze zdwojoną siłą.

Gdy następnego dnia, po przebyciu przeszło tysiąca mil, wjeżdżamy w cichy zielony krajobraz Południa z kilku czerwonawymi wzgórzami rysującymi się w oddali – czuję przypyływ prawdziwego szczęścia. A gdy suche równiny pozostawiamy za sobą i przybywamy do Madrasu, witam radośnie jego wilgotne gorąco, mówi mi bowiem,

że znaczna część podróży odbyta. Muszę przejechać przez miasto na inny dworzec. Wobec tego, że mam parę godzin do następnego pociągu, załatwiam parę sprawunków, po czym śpieszę odwiedzić owego hinduskiego pisarza, który mnie zawiózł do Jego Świątobliwości Śri Siankary Aczarii, duchowego kierownika południowego hinduizmu.

Wita mnie serdecznie, a gdy mówię, że jadę ponownie do Maharisziego, woła radośnie:

– Nie dziwię się, spodziewałem się tego!

– Dlaczego? – pytam trochę zaskoczony.

Uśmiecha się.

– Czy pan pamięta nasze spotkanie z Jego Świątobliwością Śri Siankarą w Czingleput? Czy nie zauważył pan wówczas, jak przy pożegnaniu w przedpokoju coś do mnie cicho mówił?

– Owszem, teraz, gdy na to zwrócił pan uwagę, przypominam sobie wyraźnie. Więc?

Suchoj rasowej twarzy pisarza nie opuszcza znaczący uśmiech.

– Oto co Jego Świątobliwość powiedział mi wówczas: „Przyjacieli twój objedzie całe Indie; odwiedzi wielu joginów, spotka licznych nauczycieli. Ale w końcu będzie musiał wrócić do Maharisziego. Bowiem dla jego natury tylko Mahariszi okaże się odpowiednim mistrzem”.

Słowa te tak niespodziewane, przychodzące do mnie w przeddzień mego powrotu, robią na mnie głębokie wrażenie. Zdradzają władzę proroczą Śri Siankary Aczarii, a co więcej, potwierdzają jakby, że obrałem drogę właściwą.

Jakże dziwne losy wyznaczyły mym wędrówkom gwiazdy!

# W LEŚNEJ PUSTELNI

Bywają momenty niezapomniane, złotymi kreskami kreślone w historii długich lat naszego życia. Taki oto moment przychodzi dziś, gdy przestępuję po raz wtóry próg pustelni Maharisziego i znajduję się w jego obliczu.

Siedzi jak zawsze na wspaniałej skórze tygrysyj przykrywającej tapczan. Pałeczki sandałowego drzewa żarzą się na stołeczku obok rozsiewając przenikający sałę zapach kadzidła. Nie jest on dziś pogrążony w jakiejś wzniosłej, niepojętej medytacji duchowej, jak to było, gdym tu po raz pierwszy zawitał; patrzy jasno, dziwnie blisko i rozumiejąco, a gdy skłaniam się ze czciami, wita mnie uśmiechem.

W pewnej odległości kilku uczniów; poza tym duża sala jest pusta. Jeden z obecnych porusza duży wachlarz zawieszony u pułapu.

W głębi serca wiem dobrze, że przychodzę dziś, by zostać jego uczniem, że nie zaznam spokoju, zanim nie usłyszę jego odpowiedzi. Przyznać też muszę, że żyję nadzieją, iż zechce mnie przyjąć, bowiem to, co mnie z taką nieodpartą siłą zawróciło z Bombaju zmuszając do powrotu, miało wszelki charakter wyższego rozkazu płynącego z nadnormalnych sfer. W paru słowach wyjaśniam cel mego przyjazdu i z miejsca krótko i jasno wyrażam swą prośbę. Mahariszi dalej uśmiecha się do mnie, ale nic nie odpowiada.

Powtarzam raz jeszcze, z naciskiem moje pytanie i prośbę.

Znów dłuższe milczenie. W końcu, nie wołając tłumacza, zwraca się do mnie wprost po angielsku:

– Co znaczą właściwie wszystkie te słowa o uczniach i mistrzach? Wszelkie takie różnice istnieją tylko w świadomości ucznia. Dla tego, który pojął i urzeczywistnił jednię Ducha, nie istnieje ani mistrz, ani uczeń; patrzy na wszystkich jednakowo, widzi we wszystkich Jedno.

Zdaję sobie sprawę, że jest to rodzaj odmowy i choć staram się innymi słowy tę samą przedstawić mu prośbę, Mahariszi nie zmienia stanowiska. Ale w końcu mówi znamienne słowa:

– Musisz znaleźć mistrza w sobie samym, w głębi własnego ducha. Na ciało – tę zewnętrzną jego powłokę – musisz patrzeć tak, jak on na nie patrzy: ciało to wszak nie on sam, nie prawdziwa jego istota.

Zaczyna mi świtać myśl, że Mahariszi nie da się niczym skłonić do bezpośredniej odpowiedzi, że muszę jej sam szukać w jakiś subtelny, dziwny sposób, o którym słowa jego tylko napomykają. Nie nalegam więcej i mówimy jeszcze chwilę o praktycznej stronie mego zamierzonego pobytu. Całe popołudnie zajmuje mi urządzenie się.



Następne tygodnie upływają mi dziwnie. Spędzam całe dni w sali w pobliżu Maharisziego, gdzie powoli gromadzę i łączę w jedno fragmenty jego nauki. Noce są nadal bezsenne i nad wyraz męczące; leżę wyciągnięty na kocu, rozesyłanym na twardej podłodze naprędce skleconej chaty. Stoi ona trzysta stóp od mieszkania Maharisziego. Ściany ubite z gliny, dach pokryty solidnie dachówką, aby mógł wytrzymać ulewy monsunu. Wokół gęste zarośla i krzaki, jest to bowiem kraniec dżungli rozciągającej się szeroko na zachód od pustelni. Krajobraz przedstawia proste, dzikie piękno dziewiczej przyrody. Kępy kaktusów, rozrzucone nieregularnie, jeżą się kolcami jakby igły olbrzymie nasadzone na grube, zielone drzewce. A dalej gęsta zasłona krzaków, drzewek i zarośli. Na północ wznosi się olbrzymia sylwetka góry, świecąc metalicznym odcieniem skał i czerwonawobrunatnym ziemi. Na południe duży staw o cichych wodach, które mnie od razu pociągnęły; obrzeżony drzewami zamieszkałymi przez niezliczone stada szarych i brązowych małp.

Każdy dzień jest podobny do poprzedniego. Wstaję wcześniej i przyglądam się dżungli, jak wyłania się z szarości, mieni zielenią, a wreszcie jarzy złościście o wschodzie słońca. Potem następuje kąpiel; daję nura w wodę i pływam szybko i głośno, by odstraszyć czające się węże; po czym ubieram się i pozwalam sobie na jedyny dostępny tu zbytek: trzy filiżanki cudownie odświeżającej herbaty.

– Proszę pana, woda na herbatę gotowa – mówi Radżu, mój zgodzony na miejscu służący. Z początku nie umiał ani słowa po angielsku; nauczyłem go różnych zdań i dziś daje sobie radę. Jako służący jest nieoceniony; przetrząsa całą wioskę w poszukiwaniu różnych prowiantów i „dziwaczników” sprawunków, po które go posyłam; albo też krąży cichutko wokół sali Maharisziego, jeśli widzi, że w niej ludzie medytują, czekając na moje rozkazy. Ale kucharz z niego żaden; nie może pojąć przyzwyczajień swego zachodniego pracodawcy, a gusty jego wydają mi się nienormalne. Po paru nieszczęśliwych próbach zaniechałem wysiłków i sam podjąłem się kulinarnych obowiązków, ograniczających się do jednego solidnego posiłku dziennie. Herbata trzy razy na dzień

stanowi więc nie tylko mą jedyną ziemską przyjemność, ale i podtrzymanie mej energii. Radzę stoi w pełnym słońcu i obserwuje moje delektowanie się ciemnym brązowym płynem. Ciało jego lśni w twardym żółtym świetle jak wypolerowany heban, jest on bowiem nieodrodnym synem Drawidów, pierwotnych mieszkańców Indii południowych. Po śniadaniu udaję się leniwie do sali zatrzymując się przy krzakach róż w ogrodzie, otoczonym bambusowym płotkiem, lub odpoczywam chwilę pod zwisającymi ramionami palm kokosowych, obciążonych mnóstwem orzechów. Lubię przechadzać się bez pośpiechu wokół pustelni po ogrodzie pachnącym różnymi kwiatami o tej porannej godzinie, gdy słońce jeszcze nie nabrało swej złowieszczej mocy.

A potem wchodzę do sali, skłaniam się Mahariszim i siadam cicho krzyżując nogi. Czytam, piszę, rozmawiam z którymś z sąsiadów albo zadaję jakieś pytanie Mahariszemu; czasem pogrążam się w godzinną medytację według jego wskazówek, choć na medytację w sali przeznaczone są zwykle godziny wieczorne. Ale bez względu na to, co robię, zawsze po chwili staję się świadom dziwnej tajemniczej atmosfery wokoło i dobroczynnych promieni przenikających powoli w mój mózg. Doświadczam niewymownego spokoju, gdy siedzę chociażby przez chwilę w obecności Maharisziego. Obserwując pilnie i analizując swe odczucia, dochodzę czasem do niewzruszonego przekonania, że zachodzi wzajemne oddziaływanie, ilekroć znajdę się w obliczu Maharisziego. Jest to zjawisko bardzo subtelne, jednak niezaprzeczalnie istnieje.

O jedenastej wracam do swej chaty, przygotowuję posiłek, a potem odpoczywam, by znów wrócić do sali i spędzać tam czas podobnie jak rano. Czasem zamiast rozmowy czy medytacji włóczę się po polach lub idę do miasteczka, by dalej zwiedzać olbrzymią świątynię.

Od czasu do czasu Mahariszi zachodzi niespodziewanie do mej chatki po swoim śniadaniu. Korzystam z tego zwykle, by mu zadać szereg pytań, na które odpowiada najczęściej w krótkich przenośniach, nieraz tak syntetycznych, że nie stanowią nawet zaokrąglonych zdań. A raz, gdy mu zadaję pytanie, nie odpowiada wcale; widzę, że zapatrzył się w dal, gdzie widać linie gór na horyzoncie, i zastyga w nieruchomości. Biegają minuty, oczy jego wciąż wbite w dal, a on sam nieporuszony i nieobecny. Nie mogę odróżnić, czy uwaga jego skupiła się na jakiejś niewidzialnej dla mnie a odległej istocie, czy też jest pochłonięta czymś wewnętrznym. Na razie nie jestem pewien, czy mnie słyszał, ale w intensywnym milczeniu,

które trwa dalej, a którego bym za nic nie chciał przerwać, odczuwam jakąś olbrzymią moc, przerastającą wszelkie me racjonalistyczne władze umysłowe, moc tak potężną, że mnie trwoga przenika, a wreszcie całkowicie zwycięża.

Poprzez pewne zdziwienie niespodzianością zjawiska przychodzi nagle zrozumienie wewnętrzne, że wszystkie moje pytania są jakby posunięciami w nieskończonej grze, w zabawie myśli, które nie mają granic, że gdzieś głęboko we mnie samym istnieje źródło niewzruszonej pewności, z którego czerpać mogę wody prawdy, ilekroć zapagnę; i że lepiej zaniechać ciągłych pytań, a raczej starać się ogarnąć me własne olbrzymie potencjalne siły duchowe. Więc milczę i czekam.

Przez pół godziny bez mała Mahariszi patrzy tak nieruchomo przed siebie. Zdaje się, że nie jest świadom mej obecności; a jednak wiem dobrze, że owo wzniosłe przeżycie, jakiego doświadczyłem przed chwilą, jest tylko takim rozszerzeniem się fal myślowych tego niedocieczonego, niewzruszonego człowieka, aż przeniknęły i we mnie.

Innym razem zastaje mnie w pesymistycznym nastroju. Mówi mi o wspaniałej chwale celu, który oczekuje każdego, chcącego pójść drogą urzeczywistnienia Prawdy.

– Ale, Mahariszi, droga ta jest tak trudna, a ja jestem tak słaby – skarżę się.

– To jest najpewniejszy sposób, by stwarzać sobie przeszkody – odpowiada nie zdając się być wzruszonym moją skargą. – Obarczanie myśli strachem upadków lub rozpamiętywaniem ich, gdy się zdarzą, jest własnowolnym utrudnianiem sobie drogi.

– Ale jeśli to jest prawdą?!

– To nie jest prawdą. Największym błędem, jaki człowiek może popełnić jest myślenie, że jest z natury słaby lub zły. Każdy człowiek jest boski w swej istotnej naturze, a więc i silny. Przyzwyczajenia jego, nałogi, chęci i myśli mogą być złe i pełne słabości, ale nigdy on sam.

Słowa jego działają jak wzmacniający napój; orzeźwiają, dodają odwagi i wiary. Gdybym je usłyszał z innych ust, z ust mniejszego, słabszego człowieka, może bym nie przyjął ich tak łatwo, nie dałbym im takiego znaczenia, obstając nadal przy swoim. Ale wewnętrzny głos mówi mi, że Mahariszi dobywa je z bezmiernej głębi doświadczeń duchowych mędrca, a nie teorii i filozoficznych spekulacji.

Raz, gdy mówię coś o Zachodzie, dodaje:



– Łatwo wam tutaj osiągnąć prawdy duchowe i utrzymywać niezmaconą pogodę myśli, bo życie w dżungli, w ustroniu, gdzie nic do was nie dochodzi i nie narusza spokoju.

– Gdy cel jest osiągnięty, gdy wiemy, kim w nas jest Poznający, nie ma wówczas żadnej różnicy, czy będziemy w puszczy i w samotności, czy w najruchliwszej dzielnicy Londynu – brzmi spokojna odpowiedź.

A raz krytykuję przy Mahariszim Hindusów, że zaniedbują materialną stronę życia. Ku memu zdziwieniu nie przeczy.

– Tak, to prawda. Dlatego nazywacie nas zacofańcami. Zapewne wiele rzeczy dałoby się ulepszyć, ale my zadowolamy się mniejszym niż wy na Zachodzie. A jeśli jesteśmy zacofani, tym niemniej jesteśmy o wiele szczęśliwsi.



Jak Maharishi doszedł do swej wielkiej potęgi, jak zdobył swe przedziwne rozumienie życia? Powoli z jego własnych rzadkich wzmianek oraz z opowiadań uczniów odtwarzam w przybliżeniu historię jego życia.

Urodził się Ramana w 1879 r. w Indiach południowych, w wiosce o 30 mil ang. odległej od słynnej Madury, w której mieści się jedna z najwspanialszych świątyń w kraju. Ojciec jego był prawnikiem i pochodził ze starej bramińskiej rodziny; był niezwykle dobrego serca, karmił i przyodziewał wiele najbiedniejszych rodzin. Chłopaka oddano na naukę do Madury; tam nauczył się początków angielskiego od amerykańskich misjonarzy prowadzących szkołę.

Przez pierwsze lata chłopak lubił sporty, rozkoszował się zapasami i przepływał nawet niebezpieczne rzeki. Religia i filozofia nie interesowały go szczególnie. Jedyną niezwykłą cechą, jaką posiadał, był lunatyzm; w ogóle sen miał tak twardy, że nie mogły go obudzić największe hałasy i potrząsania. Gdy koledzy odkryli to, nieraz zabawiali się jego kosztem. W dzień nie mieli odwagi go atakować, bo był szybki i mocny w obronie; w nocy próbowali wyciągać go na podwórze, targać za uszy, szturchać, nawet bić, a chłopak nie budził się; odnosili go z powrotem poturbowanego, a nazajutrz nic nie pamiętał i nie rozumiał, o co chodzi, gdy mu opowiadano.

Psychologowie, którzy poznali, na czym sen polega, znajdują w tych objawach dostateczny dowód dziwnej natury chłopca.

Pewnego dnia przyjechał do Madury ktoś z krewnych i opowiadał, że wraca z pielgrzymki do świątyni Arunaczali. Sam dźwięk tej

nazwy poruszył chłopca, przeszedł go niepojęty dreszcz oczekiwania. Począł rozpytywać, gdzie się znajduje świątynia, i odtąd wciąż o niej myślał. Zdawało się, że ma ona dlań jakieś niezwykle znaczenie, choć sam niepotrafiłby wytłumaczyć, dlaczego Arunaczala miałaby być dla niego czymś więcej niż dziesiątki innych słynnych świątyń Indii.

W studiach swych w szkole misyjnej nie wykazywał specjalnych zdolności, choć zawsze odznaczał się inteligencją. Ale gdy miał lat siedemnaście, przeznaczenie swym szybkim i nagłym posunięciem wyrwało go na zawsze z cichych i równych dni szkolnych.

Opuścił nagle szkołę, rzuca nauki bez najmniejszego uprzedzenia czy słówka do nauczycieli i rodziców, nie informując nikogo, co zamierza robić. Cóż mogło być przyczyną takiej przemiany, która miała rzucić cień na jego przyszłą karierę?

Przyczyna była wystarczająca dla niego samego, choć mogła się wydawać nierozwiązalną zagadką dla przełożonych. Bowiem życie, które koniec końców jest jedynym prawdziwym nauczycielem, pchnęło młodocianego ucznia na inne szlaki, niż starsi to sobie ułożyli. A zadziwiające przeżycie, które dokonało w nim zasadniczej zmiany, zdarzyło się na sześć tygodni przed porzuceniem studiów i opuszczeniem na zawsze Madury.

Siedział raz sam w pokoju, gdy przyszedł nań nagły i zgoła niewytłumaczalny strach przed śmiercią. Ostro narzuciła mu się świadomość, że umrze, choć nie było po temu żadnych zewnętrznych przyczyn; zdrowie miał świetne i nic nie wskazywało takiej możliwości. A jednak świadomość ta narzucała mu się coraz silniej, aż ogarnęła całą jego istotę. Począł przygotowywać się do zbliżającego faktu. Wyciągnął się na podłodze, unieruchomił członki, jakby już były bezwładne, zamknął oczy i usta, zatrzymał oddech – był jak umarły.

„Dobrze – powiedział sobie – ciało moje już nie żyje... Steżale znajdzie się wkrótce na stosie i zmieni w garstkę popiołu. Ale Ja, czy umieram razem z ciałem? Czy ciało to Ja? Ciało jest oto nieruchome i bez życia. Ale ja czuję pełnię sił swej jaźni poza nim i od niego niezależną”.

Tymi słowami Mahariszi sam określił to niesamowite swoje przeżycie. Co zaszło później – trudno zrozumieć, choć może nie trudno opisać. Zdawał się zapadać w głęboki sen nie tracąc jednak świadomości, aż pograżył się w najistotniejsze źródło jaźni, treść i rdzeń swej istoty. Pojął wyraźnie, że ciało jest zupełnie oddzielnym odeń przedmiotem, że jaźń pozostaje niezmienną, mimo śmierci ciała. Istota wewnętrzna, jaźń, była najrzeczywistszą, choć tak

głęboko ukrytą w naturze człowieka, że dotychczas nie wiedział o jej istnieniu.

I powrócił z tego zadziwiającego doświadczenia zgoła innym człowiekiem. Przemiana była zupełna. Stracił wszelkie zainteresowanie dla nauki i dla zabawy; nie obchodzili go koledzy, przyjaciele, nic go nie zajmowało. Cała uwaga skupiła się w owej wzniosłej, niezniszczalnej świadomości jaźni, którą tak niespodziewanie odkrył. Obawa śmierci znikła równie nagle, jak się pojawiła. Niezmacony wewnętrzny spokój i poczucie mocy duchowej zawiadnęły nim, by nie opuścić go już nigdy. Poprzednio bywał zapalczywy, nie przebaczał chłopcom, którzy go drażnili czy dokuczali mu, umiał zawsze oddać; teraz nie wychodził ani na chwilę ze spokojnej słodyczy. Znosił niesprawiedliwość obojętnie i z prostą pokorą. Zapomniał wszystkich dawnych przyzwyczajęń; szukał wciąż samotności, gdyż wówczas pograżał się w głęboki nurt boskiej świadomości, zapadał w głąb, wewnątrz siebie.

Wszyscy zauważyli te wyraźne zmiany w jego charakterze. Pewnego dnia starszy brat wszedł do pokoju, gdzie chłopak miał odrabiać lekcje, i zastał go zatopionego w medytacji, a książki i kajety, odrzucone widać ze wstrętem, leżały w nieładzie w kącie. Brat tak się tym zmartwił, że zwrócił doń ostre słowa nagany:

– I po co taki chłopak jak ty tu siedzi? Jeśli chcesz być joginem, na co ci świecka wiedza, potrzebna dla światowej kariery?

Słowa te wywarły głębokie wrażenie na chłopcu. Zrozumiał od razu ich słuszność i postanowił działać. Ojciec jego już nie żył, wuj i bracia opiekowali się matką, więc nie wiązały go żadne obowiązki. I znów gdzieś w głębi usłyszał to słowo, które rok temu czar dziwny nań rzuciło: „Arunaczala”. Tam pójdzie, do świątyni Arunaczali, choć nie zdołałby powiedzieć, dlaczego tam właśnie. Nieodparta siła powstawała w nim i decydowała o jego losach jakby poza nim i bez jego udziału.

– Byłem wprost jak urzeczony – powiedział mi raz Mahariszi wspominając te czasy. – Jak ciebie jakaś nieprzewyciężona siła pchnęła z Bombaju tutaj, tak mnie wysłała z Madury do stóp Arunaczali.

Słuchając tej siły jogin rzucił przyjaciół, kolegów, rodzinę, studia i szkołę i poszedł ku Arunaczali, ku najgłębszym duchowym osiągnięciom. Pozostawił krótki pożegnalny list, dotąd zachowany w pustelni. Piękną kaligrafią w języku tamilskim pisał on:

„W poszukiwaniu Ojca, posłuszny Jego rozkazowi, opuszczam te strony. Jest to podjęcie dobrego przedsięwzięcia. Więc nikt nie

potrzebuje się smucić ni martwić. Nie należy też wydawać pieniędzy na szukanie mnie”.

Z 3 rupiami w kieszeni i nie znając zupełnie świata poza Madurą, puścił się w podróż. Zdziwiające zdarzenia, jakie jej towarzyszyły, świadczą przekonująco, że chroniła go jakaś tajemna potęga. Gdy wreszcie stanął u celu, nie miał już nic, był sam wśród nieznanym i obcych ludzi. Ale płomień całkowitego wyrzeczenia palił się w nim żarliwie. Pełen pogardy dla wszelkiej własności, zrzucił swą skromną szatę i usiadł w postawie medytacyjnej w ciemnym kącie świątyni – nagi i doskonale ubogi. Kapłan zwrócił mu uwagę, ale młodzieniec już nie słyszał. Drugi zgorszył się również, zaczęto go strofować i namawiać do zawiązania choćby przepaski, na co się wreszcie zgodził; odtąd nic więcej poza tą białą przepaską nigdy nie nosi.

Przez pierwsze sześć miesięcy siadywał w różnych kątach świątyni nie wychodząc poza jej mury. Żył odrobiną ryżu, którą mu przynosił jeden z kapłanów, uderzony niezwykłym zachowaniem się chłopca. Spędzał on bowiem całe dni pogrążony w mistycznych rozmyślaniach i ekstazach tak głębokich, że tracił na długie godziny przytomność i pamięć otaczającego świata. Gdy jacyś złośliwi chłopcy muzulmańscy poczęli nań raz rzucać grudkami błota, nie zbudziło go to wcale; zorientował się w tym dopiero po ukończeniu swej kontemplacji – bez gniewu zresztą i oburzenia.

Ale tak liczne były rzesze pielgrzymów, odwiedzających codziennie świątynię, że mimo jej ogromu trudno mu było znaleźć w niej stały spokojny kąt. Toteż wkrótce opuścił ją i udał się do malutkiej świątynki w polu za wioską i tu w samotności zupełnej przebył półtora roku, zadowolając się pożywieniem, które przynosili wierni odwiedzający kapliczkę.

Przez ten czas nie mówił do nikogo ani słowa; właściwie przez pierwsze trzy lata od przybycia do stóp Arunaczali zachowywał milczenie. Nie był to powzięty ślub – jak to nieraz bywa – lecz wprost poddanie się głosowi wewnętrznemu, który żądał skupienia wszystkich energii tylko w głębi, w duchu. Gdy osiągnął swój cel mistyczny, stało się to niepotrzebne i znów począł mówić, choć do dziś dnia można go nazwać małomównym.

Nikommu nie odkrywał swego pochodzenia, jednak przez dziwny zbieg okoliczności matka po dwóch latach wpadła na jego ślad i ruszyła w drogę w towarzystwie najstarszego syna. Stała przed Ramaną błagając go o powrót do domu. Młodzieniec nie ustąpił. Płacząc czyniła mu wyrzuty, pomawiała o obojętność,

prosiła najgoręcej. W końcu napisał parę słów, że wyższe potęgi kierują człowiekiem i nic nie zmieni jego przeznaczenia; radził jej pogodzić się z losem i przestać się o niego martwić. Musiała ustąpić przed jego wolą.

Dzięki tym odwiedzinom matka ludzie zainteresowali się młodocianym pustelnikiem i ciągnęli doń coraz tłumniej. Widać nie było to po jego myśli, bo opuścił znów swe schronienie i przeniósł się wyżej do groty na świętej górze Arunaczali, gdzie przebył także lat parę. Istnieje jeszcze parę innych jaskiń na Górze Płomienia, a w każdej przebywa jakiś pustelnik. Ta, którą wybrał Ramana, była słynna z tego, że mieściła grób wielkiego świętego jogina sprzed wielu lat.

W hinduizmie zazwyczaj pali się ciała zmarłych; wyjątek stanowią joginowie, którzy osiągnęli najwyższe urzeczywistnienie prawdy; co do nich istnieje wiara, że prąd żywotny, czyli niewidzialny „dech żywota”, nie opuszcza ciała przez tysiące lat, chroniąc je od rozkładu. Ciała takich świętych namaszcza się po wykapaniu i znosi do przygotowanego grobu układając w pozycji jogi, tj. siedzącej ze skrzyżowanymi nogami, jakby pogrążeni byli nadal w medytacji. Wejście do grobu przywala się kamieniem i zamurowuje. Grób taki staje się zwykle celem pielgrzymek i otaczany bywa największą czcią. Drugą podstawą tego zwyczaju jest przekonanie, że ciało jogina nie potrzebuje oczyszczającego płomienia, gdyż przez praktykę jogi zostało już dostatecznie oczyszczone za życia.

Ciekawe jest, że groty i jaskinie zawsze były upodobane przez świętych i proroków. W starożytności poświęcano je bogom; Zoroaster, założyciel religii parsów, w grocie oddawał się kontemplacji, a Mahomet przeżył również w jaskini swe wielkie religijne doświadczenia. Joginowie hinduscy mają rację obierając groty górskie za swe mieszkanie, gdyż chronią one znakomicie od wszelkich zmian pogody i od dużej różnicy w temperaturze dnia i nocy, charakterystycznej dla krajów tropikalnych. Mają tu ciszę i mrok, co dopomaga w skupieniu. A oddychanie ciężkim powietrzem jaskiń zmniejsza apetyt, czyli ułatwia ograniczenie potrzeb ciała do minimum.

Ale młodego pustelnika mogło pociągnąć do tej groty na Arunaczali i jej niezwykle piękne położenie. Stojąc jakby na małym tarasie u progu jaskini ma się przed oczami rozległy widok: u stóp góry rozciąga się cała wieś z jej olbrzymią świątynią pośrodku, a dalej pola jak okiem sięgnąć zamknięte linią błękitnych, przeslicznych w swym zarysie wzgórz.

W tym nowym mieszkaniu przebył młody pustelnik lat kilka, pogrążony w swe tajemnicze rozmyślania i kontemplacje najgłęb-

sze. W ściśle ortodoksyjnym słowa tego znaczeniu nie można go było właściwie nazwać joginem, gdyż nigdy nie studiował żadnego systemu jogi i nie miał nauczyciela. Postępował jakąś swoistą drogą, która go wiodła do poznania siebie, a kierownikiem był mu wewnętrzny głos, który uważał za boski.

W r. 1905 pojawiła się tu dżuma, zawleczona pewnie przez jakiegoś pielgrzyma odwiedzającego wielką świątynię. Rozszalała się tak groźnie, że prawie wszyscy opuścili w przerażeniu miasteczko, które wkrótce świeciło pustką. Tygrysy i lamparty wyszły ze swych kryjówek w głębi dżungli i swobodnie spacerowały po ulicach. A choć musiały wielokrotnie przechodzić koło grotty Ramany, leżącej między puszcza a miasteczkiem, pustelnik nie pomyślał nawet o ucieczce; spokojny i niewzruszony trwał dalej w swej pracy.

Zdobył sobie mimo woli oddanego ucznia, który usługiwał mu, dbał o pożywienie i nie chciał go opuścić nawet na kilka dni. Dziś człowiek ten już nie żyje, ale opowiadał późniejszym uczniom, że co noc przychodził do nich wtedy wielki tygrys i kładł się spokojnie u nóg jogina, a nieraz lizał jego ręce, które pieściły go łagodnie. Odchodził dopiero o świcie.

Wszyscy w Indiach twierdzą, że joginowie i fakirzy, którzy rozwinęli w sobie pewne potęgi i władze wewnętrzne, mogą bezpiecznie przebywać w samotnych ustroniach wśród gór i puszczy w bliskim sąsiedztwie lwów, tygrysów i jadowitych węży, gdyż te nie robią im nigdy krzywdy.

Druga opowieść z tych czasów głosi, że raz, gdy młody pustelnik siedział u wejścia do swej grotty, olbrzymi wąż kobra zbliżył się sycząc i zatrzymał tuż przed nim. Podniósł głowę; zdawało się, jeszcze chwila, a rzuci się. Ale młodzieniec się nie poruszył, tylko patrzył spokojnie na węża. I tak przez chwilę dwie istoty mierzyły się wzrokiem, człowiek i gad. W końcu wąż odpełził w skały.

Surowe, samotne życie młodego anachorety dobiegło końca pierwszego okresu w chwili, gdy znalazł w sobie najgłębszy, tajemny punkt – ducha. Odtąd samotne ustronie nie było koniecznością. Trwał jednak dalej w swej pustelni, aż do odwiedzin sławnego uczonego bramina, imieniem Ganapati Siastri; odwiedziny te stały się znów zwrotnym punktem w jego życiu zewnętrznym, które odtąd miało się zbliżyć ku ludziom. Pandit przyjechał odwiedzić świątynię dla swych studiów i medytacji; tutaj dowiedział się przypadkiem o młodym pustelniku na Arunaczali i z prostej ciekawości poszedł go odszukać. Zastał go patrzącego uporczywie prosto w słońce; lubił wpatrywać się tak przez kilka godzin w słońce, zanim nie znikło za

horyzontem. Trudno Europejczykowi wyobrazić sobie, czym jest olśniewające światło popołudniowego słońca w Indiach. Pamiętam, że wybrałem się raz na górę w nieodpowiedniej porze dnia i samo południe zastało mnie na odkrytych stokach w mej drodze powrotnej. Zataczałem się i potykałem jak pijany, zanim się nie znalazłem pod dachem. A więc dobrze rozumiem, jakiego dziwu dokonywał młody jogin wytrzymując nieubłagany blask słońca przez kilka godzin z twarzą podniesioną i oczami wbitymi wprost w złotą tarczę.

Uczony pandit znał wszystkie święte księgi hinduskiej mądrości; przez długie lata oddawał się praktykom i surowym ćwiczeniom, pragnąc gorąco znaleźć duchowe oświecenie, ale wciąż go męczyły różne wątpliwości i trudności. I naraz zdecydował się zadać pytanie młodocianemu pustelnikowi; po kilkunastu minutach dostał odpowiedź, która go zadziwiła swą mądrością. Pytał dalej, poruszając własne filozoficzne i wewnętrzne problemy, i jeszcze bardziej się zdziwił, gdy jasne i głębokie odpowiedzi rozpraszają wieloletnie wątpliwości. Aż w końcu, przejęty do głębi mądrością młodzieńca, skłonił się ze czcią do jego stóp i prosił, by mógł zostać jego uczniem.

Ganapati Siasri posiadał grupę własnych uczniów w niedalekim miasteczku Welur (Vellore); gdy do nich powrócił, oznajmił im, że znalazł Maharisziego – czyli wielkiego mędrca i jasnovidza – gdyż bez wątpienia pustelnik ten osiągnął największe duchowe wyżyny i ogromną wiedzę, jaką kiedykolwiek widział; a tak oryginalnej i głębokiej nauki nie spotkał w żadnej księdze. Od tego czasu imię Maharisziego przyrosło do imienia Ramany; tak go nazywają zwłaszcza ludzie inteligentni. Prostaczkowie zaś poznawszy bliżej jego życie skłonni są oddawać mu cześć boską. Mahariszi mocno się sprzeciwia oznakom takiego uwielbienia; tylko w rozmowach między sobą lub w bardzo osobistych ze mną pogawędkach lud okoliczny nazywa go „boskim”.

Powoli zgromadziła się wokół Maharisziego grupa uczniów. Zbudowali drewniany domek u podnóża góry i uprosili go, by zechciał tam z nimi zamieszkać. Matka odwiedzała go kilkakrotnie, pogodziwszy się z jego powołaniem. A gdy śmierć zabrała jej najstarszego syna i innych członków rodziny, przyszła do Maharisziego prosząc o pozwolenie zamieszkania przy nim. Zgodził się. Sześć lat przebyła staruszka u jego boku stając się wkrótce żarliwym uczniem własnego syna. Służyła pustelni, która jej dała schronienie, jak mogła; długi czas przyrządzała posiłki. A gdy umarła, prochy jej pogrzebano u stóp góry i zbudowano rodzaj małej kapliczki, gdzie po

dziś dzień dla uczczenia kobiety, która dała życie wielkiemu mędrcowi ludzkości, palą się lampy, pachną białe jaśminy, róże i nagietki, rzucone na mały ołtarzyk na znak czci dla jej ducha.

Z biegiem lat sława Maharisziego rozchodziła się coraz szerzej; pielgrzymi, ciągnący tysiącami do świątyni, dowiadując się o nim spieszyli na stoki góry, by zobaczyć świętego. Stosunkowo niedawno uległ nieustannym prośbom i zgodził się przebywać w wielkiej sali świeżo zbudowanej u podnóża góry obok dawnej chaty.

Mahariszi nigdy nikogo o nic nie prosił prócz odrobiny jadła, nigdy, odkąd porzucił dom, nie dotknął pieniędzy. Ale ludzie zaczęli znosić wiele darów błagając o przyjęcie. W dawnych latach zupełnej samotności i milczenia w zamknięciu pustelni, w latach pracy medytacyjnej, która szybko budziła jego duchową potęgę, nie gardził miseczką żebracza, ilekroć głód bardzo mu dokuczył, a nikt nie zjawiał się z pożywieniem. Ale wkrótce sędziwa wdowa z serdeczną troską zaopiekowała się nim i odtąd regularnie przynosiła mu ubogą strawę do jego schronienia. A więc rzecz można, że porzucenie wygodnego domu rodzicielskiego, idąc za wołaniem wewnętrznego głosu, okazało się nawet ze stanowiska materialnych potrzeb usprawiedliwione, bowiem zawsze jakieś siły dawały mu to, czego wymagało utrzymanie życia fizycznego. Ale uchylał się zawsze od licznych a bogatych nieraz darów, jakie mu zaczęto przynosić.

Raz szajka opryszków otoczyła w nocy pustelnię i wdarła się do sali sądząc, że się sownie obłowi; gdy nic nie znaleźli oprócz paru rupii u ucznia, który zarządzał kupnem zapasów, wpadli w pasję i pobili Maharisziego sądząc, że gdzieś są pieniądze ukryte. Zadano mu nawet parę dotkliwych ciosów, jednak to nie tylko nie wyprowadziło go z równowagi, ale wzruszyło współczuciem dla nich. Poczęstował ich jadłem, wszystkim, co się znalazło w spiżarni, namawiając, by się posilili. Nie miał cienia niechęci do nich, raczej litość dla duchowej ślepoty; pozwolił im odejść spokojnie i nie zgodził się na żadne pościgi ni skargi. Opowiadano mi, że w rok potem zostali przyłapani na jakimś włamaniu i osadzeni w więzieniu.

Być może, że niejednemu z moich zachodnich czytelników takie życie Maharisziego wyda się pod wielu względami zmarnowane. Ale może i dla nas dobrze by było mieć kilku ludzi, pozostających z dala od gwaru i gorączkowego ruchu naszego świata, którzy mogliby patrzeć nań syntetycznie z odpowiedniego dystansu; na pewno wiedzieliby więcej z całości gry i w prawdziwej proporcji niż my sami. Może jednak zamknięty w pustelni mędrzec, który pokonał swą niższą naturę, nie stanowi mniejszej dla człowieczeństwa



wartości niż światowy głupiec przez fale życia na wsze strony miotany?



Dzień za dniem przynosi mi nowe dowody wielkości tego człowieka. Oto między różnorodną rzeszą ludzi przepływających wciąż przez pustelnię widzę raz ubogiego pariasa wchodzącego nieśmiało do sali w jakimś wielkim cierpieniu, o którym opowiada mędrcom ze łzami. Mahariszi nie odpowiada, gdyż milczy najczęściej, słowa jego w ciągu dnia można by z łatwością policzyć; ale patrzy długo z niewymownym wyrazem na cierpiącego człowieka; lzy jego powoli ustają, uspokaja się widocznie. A po dwóch godzinach z uśmiechem opuszcza pustelnię pogodny już i silny.

Przekonuję się, że metodą pomagania innym, stworzoną przez Maharisziego, jest ciche, milczące promieniowanie, które otacza dusze ludzkie uzdrawiającą tajemniczą mocą, proces jakiejś telepatii, z którą nauka nasza z czasem będzie musiała się liczyć.

Teraz znów wchodzi kulturalny bramin z wyższym wykształceniem; zadaje szereg wybitnie inteligentnych pytań. Nigdy nie można być pewnym, czy się dostanie słowną odpowiedź czy nie, ale nawet nie otwierając ust, Mahariszi jest nieraz tak wymowny! Dziś słyszymy kilka zwięzłych zdań pełnych głębokiego znaczenia i, jak wszystkie jego słowa, otwierających nowe horyzonty myśli przed braminem.

Sala jest prawie pełna, gdy przychodzi ktoś z miasteczka z wieścią o śmierci człowieka znanego z licznych przestępstw i złych uczynków. Oczywiście wywołuje to wrażenie wśród tych, którzy go znali i szereg niezbyt przychylnych wspomnień i komentarzy co do jego charakteru. Gdy pierwszy gwar przycicha, Mahariszi odzywa się spokojnie:

– Tak, ale lubił on niezmiernie czystość, kąpał się dwa i trzy razy dziennie.

Oto rodzina wieśniaków przybyła z daleka; przeszło sto mil ang. wędrowali, by oddać milczącą cześć świętemu. Nie umiejąc czytać, zapewne mało co wiedzą poza swą pracą codzienną, religijnymi obrzędami i garścią przesądów od ojców odziedziczonych. Ale słysząc, że u stóp Góry Świętego Płomienia przebywa Bóg w ludzkiej postaci, pośpieszyli, by go uczcić. Chłop siedzi cicho na podłodze, po trzykrotnym pokłonie do samej ziemi; wierzy głęboko, że spłynie nań błogosławieństwo świętego, przynosząc niechybnie duchowe lub materialne dobra. Żona jego w ruchu pełnym wdzięku skłania się

przed Mahariszim i siada cichutko przy mężu; odziana jest w purpurowe sari, spadające w luźnych malowniczych fałdach od ramion po kostki i lekko ujęte w pasie; włosy bujne i gładkie błyszczą i pachną od olejków. Obok córka, ładna, wiotka dziewczyna; za każdym krokiem dźwięczą jej bransolety na nogach, a we włosach, wedle prześlicznego a powszechnego zwyczaju, ma białe kwiaty. Rodzina siedzi spokojnie kilka godzin, wpatrzone w Maharisziego z uwielbieniem. Sama jego obecność jest dla nich niewymownym szczęściem; napełnia nadzieją, utwierdza w wierze ojców. Może się to zdawać dziwne, bo mędrzec wszystkie religie traktuje jednakowo jako szczerą i cenną wyraz wielkiego duchowego doświadczenia; ma nie mniejszy szacunek dla Jezusa jak dla Kriszny.

Obok mnie siedzi stary, przeszło siedemdziesięcioletni człowiek. W ustach parę listków betelu, duża księga sanskrycka na kolanach, a oczy o ciężkich powiekach wpatrzone w nią w zamyśleniu. Jest to bramin, który przez szereg lat był naczelnikiem stacji niedaleko Madrasu; poszedł na emeryturę mając lat sześćdziesiąt, a wkrótce potem stracił żonę; teraz mógł urzeczywistnić dawne marzenie i puścić się w podróż – pielgrzymkę po Indiach, odwiedzając różnych joginów, świętych i pustelników w poszukiwaniu takiego, którego mógłby uznać za swego guru. Objechał cały kraj, ale nauczyciela nie znalazł. Może stawiał zbyt indywidualne wymagania. Gdy go spotkałem i porównaliśmy rezultat naszych wędrówek, utyskiwał gorzko na swe niepowodzenie. Twarz jego szlachetna i poważna, poorana w głębokie bruzdy i zmarszczki, przemówiła do mnie. Nie był to intelektualista, ale człowiek prosty i obdarzony intuicją. Poczułem, że będąc odeń znacznie młodszym, powinienem mu służyć pomocą i dać jakąś dobrą radę. Ku memu nieopisanemu zdumieniu odpowiedzią na me słowa była prośba, by zostać jego guru! „Guru, wasz jest niedaleko” powiedziałem i zaprowadziłem do Maharisziego. Przyznał mi wkrótce słuszność i został gorącym wielbicielem mędrca.

Niedaleko widzę poważnego pana w okularach i jedwabnej koszuli, wygląda dostatnio i kulturalnie; to sędzia, który korzystając z wakacji przyjechał odwiedzić pustelnię. Jest on uczniem i czcicielem Maharisziego i stale przyjeżdża tu przynajmniej parę razy do roku. Wytworny, wykształcony, siedzi na ziemi wśród ubogich Tamilów nagich do pasa, o skórze zasmarowanej oliwą, lśniacej jak heban. To, co ich łączy, co niweluje wszelkie różnice, niweczy egoizm kast, jednoczy, jest tym samym, co ongiś kazało

możnym książętom i maharadzom Indii w pokorze szukać rady wielkich riszich w leśnych pustelniach. Łączy ich głębokie uznanie, że mądrość prawdziwa ma największą wartość i przewyższa wszystkie różnice.

Wchodzi młoda kobieta z barwnie ubranym dzieckiem, skłania się przed Mahariszim z czcią i siada cichutko. Mówi się właśnie o głębokich zagadnieniach życia, więc nie śmie odezwać się; uczyłość i intelektualizm nie są uważane za cnoty u hinduskiej niewiasty; nieraz zna ona tylko gospodarstwo domowe, a jednak rozpoznaje niechybnie prawdziwą wielkość, gdy stanie w jej obliczu.

O zmroku nastaje godzina medytacji w sali. Nierzadko Maharishi przechodzi prawie niepostrzeżenie w ów stan nieziemskiego skupienia, gdy wszystkie zmysły zamykają się na bodźce świata zewnętrznego. I ja się nauczyłem podczas tych codziennych rozmyślań u jego boku zwracać myśl coraz bardziej ku wewnątrz, w jeden coraz głębiej sięgający punkt. Przebywając często w jego bliskości, nie można nie poznać wewnętrznego świata, jakby promień jego duchowości przenikał całą naszą istotę na wskroś. Raz po raz zdaje sobie sprawę, że ogarnia swą atmosferą całą mą umysłowość, jakby przyciągając ją ku swojej w godzinach takich cichych skupień. Rozumiem wówczas, dlaczego milczenie takiego człowieka znaczy więcej od jego słów. Jego cicha równowaga kryje dynamiczną potęgę duchowego osiągnięcia, która wpływać może na drugiego człowieka bez pośrednictwa jakiegokolwiek słowa lub zewnętrznego gestu. Są chwile, gdy czuję tak wyraźnie tę olbrzymią jego moc, iż wiem, że usłuchałbym bez wahania każdego, nawet najtrudniejszego rozkazu. Ale Maharishi rozkazów nie daje nigdy, nigdy nie chce, by ludzie byli w więzach ślepego posłuszeństwa; przeciwnie, pozostawia każdemu największą swobodę działania i myśli. Różni się on w tym względzie znacznie od wielu joginów i nauczycieli spotkanych przeze mnie w Indiach.

Medytacje moje idą w kierunku, jaki mi wskazał, gdym był poprzednio w pustelni, owymi niewyraźnymi słowami, których treść trudno mi było wówczas uchwycić. Począłem patrzeć w siebie.

**KIM JESTEM?**

Czy to ciało z kości, mięśni i krwi złożone to ja?

Czy myśli i uczucia tak wyróżniające mnie od innych to ja?

Dotychczas mówiłem bez wahania – tak. Ale Maharishi przestrzega, by odpowiedzi takiej zbytnio nie ufać. Nie dał mi żadnych systematycznych wskazówek; ogólny sens można by ująć, jak następuje:

„Nie przestawaj stawiać sobie pytania: „Kim jestem?”. Analizuj i badaj całą twą osobowość. Staraj się odkryć, gdzie zaczyna się myśl „ja”. Pograj się głębiej w medytacji kierując uwagę ku wewnątrz. Przyjdzie dzień, gdy wir myśli uspokoi się, a intuicja objawi się nagle. Idź za jej tajemniczym głosem zatrzymując wszelką myśl, a zaprowadzi cię do celu”.

Codziennie walczę z myślami i powoli toruję drogę ku wewnętrznym pokładom duszy. W dobroczynnej obecności Maharisziego rozmyślanie me i samoanaliza stają się coraz mniej męczące a bardziej owocne. Natchnieniem i zachętą w wysiłkach jest mi pewne uczucie oczekiwania i zarazem świadomość, że ktoś mną niewidzialnie kieruje. Są godziny, gdy jasno czuję przedziwną, nieuchwytną moc mędrca, przenikającą moje myśli, i wiem, że dzięki niej mogę sięgnąć nieco głębiej w nieznaną dziedzinę, rozciągającą się poza umysłem ludzkim.

Co wieczór po skończonej medytacji sala opróżnia się, gdy wszyscy wraz z Mahariszim idą na posiłek. Wobec tego, że nie mam ochoty na ich kolację, a nie chce mi się przygotowywać sobie czegoś oddzielnie – zostaję zazwyczaj sam w sali czekając ich powrotu. W tutejszej kuchni smakuje mi tylko zsiadłe mleko. Gdy Mahariszi to odkrył, kazał przynosić mi co wieczór pełną szklanekę.

Mniej więcej pół godziny po ukończeniu kolacji mieszkańcy pustelni, a także i goście, którzy pozostali tu na noc, otulają się w prześcieradła lub cienkie bawełniane kocyki i kładą się spać, nierzadko na kamiennej podłodze sali. Mahariszi śpi na swym tapczanie. Zanim przykryje się swymi białymi prześcieradłami, jeden z jego pomocników naciera mu członki olejkami.

Biore latarnię wychodząc z sali i kieruję się ku mej chatce. Niezliczone robaczki świętojańskie migają wśród drzew i krzewów ogrodu. Raz, gdy niezwykle się opóźniłem i wracałem około północy, przyjrzałem się im z bliska i mogłem zaobserwować, jak zapalają i gaszą swe zielonkawe światełka; otaczają mnie nieraz gęstą chmurą, gdy przechodzę wśród krzaków i kaktusów po drodze do chatki. Trzeba uważać, bo można nastąpić po ciemku na skorpioną lub węża. Czasem jestem tak pograżony w myślach, które zdają się dalszym ciągiem mej medytacji, że nie umiem się od nich oderwać i nie mogę zwracać uwagi na wąską ścieżynę oświetloną moją latarką. Gdy docieram do chatki, zamykam szczelnie ciężkie drzwi i okiennice na nie oszklonych oknach, by zabezpieczyć się przed zwierzęcymi intruzami. Żegnam ostatnim spojrzeniem grupę palm

niedaleko mej chaty; właśnie srebrzyste światło księżycy spływa na ich splecione pierzaste wierzchołki.

# ZAPOMNIANA PRAWDA

Pewnego popołudnia dostrzegam nowego gościa; wchodzi do sali spokojnym, majestatycznym krokiem i siada tuż przy tapczanie Maharisziego; ma skórę ciemną, a rysy i wyraz twarzy uduchowiony i niezwykle szlachetny. Nie próbuje mówić z Mahariszim, ale ten wita go serdecznym uśmiechem.

Człowiek ten robi na mnie duże wrażenie. Tak bardzo mi przypomina rzeźby Buddy. Bezgranicznym spokojem tchnie cała postać. Gdy oczy nasze spotykają się przypadkiem, zatrzymuje na mnie uważne spojrzenie tak długo, że nie mogę go wytrzymać, muszę odwrócić oczy. Przez całe popołudnie nie mówi ani słowa.

Spotykam się z nim następnego dnia w zgola nieprzewidzianych okolicznościach. Wracam do chatki, by przygotować herbatę; służący Radzu poszedł do miasteczka po sprawunki. Otwieram ciężkie drzwi i właśnie mam przestąpić próg, gdy coś się porusza prawie pod moimi nogami ślizgając się po podłodze. Cichy syk i ten gładki ślizgający się ruch uprzedzają mnie – jeszcze, zanim zdążyłem cokolwiek zobaczyć – że wąż znajduje się w pokoju. Na chwilę znieruchomiałem zupełnie; ogarnia mnie przerażenie, gdy widzę śmierć tuż przy sobie. Wąż przykuwa mój wzrok... a jednocześnie obezwładnia mnie zgroza. Nerwy napięte do ostatnich granic. Odraza i strach paraliżują mnie. Wpatruję się uparcie w kształtną głowę stworzenia. Muszę przyznać, że niespodziewane spotkanie pozbawia mnie niemal przytomności. A wąż wyprostowany patrzy na mnie wciąż zimnym i przeszywającym spojrzeniem.

Wreszcie przychodzę do siebie i cofam się gwałtownie, chcąc znaleźć kij jakiś, by uśmiercić gada, gdy naraz wysoka postać wczorajszego gościa staje przede mną. Jego szlachetna postawa i wzrok pełen skupionej, dostojnej mocy przywracają mi nieco spokoju. Podchodzi do chatki, ogarnia jednym spojrzeniem sytuację i niewzruszony zbliża się do progu, chcąc wejść do pokoju; krzyczę, aby go ostrzec, ale nie zwraca uwagi. Zdenerwowanie moje przechodzi wszelkie granice, gdy widzę, jak wchodzi bezbronny i zbliża się z wyciągniętymi rękami do węża. Gad wysunął swój ostry rozwidlony język i porusza nim szybko, ale nie rzuca się na

wchodzącego. W tej chwili dwaj ludzie, którzy usłyszeli mój krzyk, nadbiegają od strony stawu, gdzie się kąpali. Tymczasem wysoka postać stoi bliźniutko naprzeciw węża, obserwuję to z bijącym sercem. Aż widzę, że wąż powoli spuszcza głowę, jakby się skłaniał przed człowiekiem, złowieszcze ruchy języka ustają, natomiast uderza parę razy ogonem. W tej właśnie chwili dwaj przybysze stają w progu. Wówczas rzucają się szybko do ucieczki, wyślizgując się przez otwarte drzwi ku krzakom dzungli.

– To młoda kobra – mówi jeden z nowoprzybyłych, kupiec z miasteczka, który często zagląda do pustelni i nieraz lubi ze mną pogawędzić.

Wyrażam swoje zdumienie nad zachowaniem się nieznanego człowieka, który bez lęku podszedł tak blisko do kobry.

– Nic dziwnego, to jogin Ramiah – odpowiada mi – jeden z najbardziej zaawansowanych uczniów Maharisziego. Bardzo wybitny człowiek.

Nie mogę, niestety, pomówić z joginem, gdyż dowiaduję się, że częścią obranej przezeń dyscypliny jest zupełne milczenie; poza tym pochodzi z prowincji mówiącej językiem telegu, angielskiego prawie nie zna. Trzyma się z dala od wszystkich mieszkańców pustelni i nie zbliża się do nikogo; mieszka w małej kamiennej chatce, którą sam wybudował, w cieniu olbrzymich drzew po drugiej stronie stawu. Uczniem Maharisziego jest już przeszło dziesięć lat.

Ale sam los pomaga mi zbliżyć się do niego. Oto spotykam go raz u studni, dokąd przychodzi ze swym metalowym dzbanem po wodę. Jego ciemna twarz pełna niezmiernej słodyczy i powagi znów robi na mnie wrażenie; mam przy sobie aparat, więc gestami usiłuję uprosić go, by pozwolił mi się sfotografować. Nie sprzeciwia się, a potem odprowadza mnie do chatki, gdzie zastaję owego eks-naczelnika stacji, czekającego na mnie przed drzwiami.

Odkrywam z radością, że zna on świetnie język telegu i chętnie ofiarowuje się służyć za tłumacza słów pisanych przez jogina ołówkiem. Choć widzę dobrze, że ten nie lubi dziennikarskich pytań, udaje mi się jednak zdobyć parę ciekawych wiadomości.

Może mieć około czterdziestu lat. Ma kawałek ziemi niedaleko Nellur, a choć formalnie nie wyrzekł się żadnych doczesnych dóbr, pozostawia rodzinie troskę o uprawę roli i dochody, a sam oddaje się wyłącznie jodze. Ma grupę uczniów w Nellur; co roku odwiedza Maharisziego i pozostaje z nim parę miesięcy.

Przewędrował w młodości całe Południe szukając mistrza w jodze; pracował wiele u różnych nauczycieli i rozwinął bardzo szybko

niezwykle władze. Różne ćwiczenia oddechowe i medytacyjne zna świetnie. Ale że przerastał szybko swych nauczycieli, nie mógł od nich otrzymać odpowiedniego wytłumaczenia swych doświadczeń. Aż wreszcie przyszedł do Maharisziego i znalazł nie tylko wszelkie wyjaśnienia, ale kierunek i pomoc w dalszej pracy.

Jogin Ramiah mówi mi, że pozostanie tu parę miesięcy wraz ze swym uczniem, który mu usługuje; rad jest widzieć człowieka z Zachodu zainteresowanego odwieczną mądrością Indii. Pokazuje mu ilustrowane pismo angielskie; czyni kilka ciekawych uwag o jednym z obrazków.

– Gdy wasi zachodni uczeni przestaną wysilać się, by wynajdywać coraz szybciej pędzące maszyny, a zechcą spojrzeć w siebie, cała wasza rasa znajdzie na pewno więcej trwałego szczęścia. Czy może pan powiedzieć, że ludzie są u was szczęśliwsi, ilekroć jakieś nowe odkrycie pozwala im, np. szybciej podróżować?

Pytam go jeszcze o jego zachowanie się z młodą kobrą. Uśmiecha się i pisze:

– Czegóż miałem się obawiać? Zbliżałem się do niej bez nienawiści, mając w sercu miłość dla wszystkiego stworzenia.

Czuje, że coś więcej ukrywa się za tymi słowami, niż to zdradza ich zewnętrzne, nieco sentymentalne brzmienie, ale nie chcę już więcej pytać i pozwalam mu wrócić do swej pustelni nad stawem.

Podczas następnych tygodni poznaję go bliżej; spotykamy się często na polance przed moją chatką albo przy studni, a nawet przed jego domkiem. Czuje w nim coś głęboko odpowiadającego memu temperamentowi; a z jego wielkich ciemnych oczu płynie na mnie zawsze przedziwny spokój. Zawiązuje się między nami nieuchwytna milcząca przyjaźń, której kulminacyjny punkt przychodzi pewnego dnia, gdy daje mi swe błogosławieństwo, kładąc rękę na głowie, a potem biorąc obie me dłonie w swoje. Poza paru zapisanymi karteczkami, które tłumaczy mi staruszek, nie rozmawiamy wcale, a jednak czuję, że coś się tworzy między nami, coś, co nigdy nie może się zmienić. Czasem idę z nim na krótki spacer przez las lub na stoki góry wśród drzew olbrzymich, a zawsze jego wysoka postać, tchnąca dostojeństwem i pogodą, zachwyca mnie i raduje.

Wkrótce też mam znów sposobność przekonać się o jego niezwyklej mocy. Oto otrzymuję niezmiernie przykry list. Przynosi mi najgorsze wiadomości, że mój zapas gotówki niespodziewanie spadł tak znacznie, iż pobyt mój w Indiach staje się niemożliwy. Mógłbym wprawdzie korzystać z gościnności tutejszej, którą uczniowie Maharisziego na pewno chętnie by mi ofiarowali, ale taka sytuacja na czas



dłuższy byłaby wbrew mej naturze. Przy tym pewne zobowiązania, które uważam za honorowe, muszą być wypełnione sumiennie, więc trzeba powracać na Zachód i podjąć na nowo różne sprawy.

Nowiny te stają się doskonałą próbą mej umysłowej i wewnętrznej równowagi – rezultatu pobytu przy Mahariszim. Wychodzę z niej niestety tak mizernie, że aż mi wstyd. Jestem wstrząśnięty i zupełnie wytracony z równowagi; nie mogę odnaleźć mego wewnętrznego kontaktu z Mahariszim i uciekam po chwili z sali, błakając się resztę dnia niepokieszony i smutny. Ogarnia mnie bunt przeciw miazdzącej potędze losu, który może za jednym zamachem udaremnić wszystkie plany.

Wreszcie powracam do chatki i rzucam się zmęczony na posłanie. Sam nie wiem, czy fizyczne, czy moralne znużenie więcej mi dokuczają. Musiałem zdrzemnąć się chwilę, gdyż obudziło mnie ciche pukanie do drzwi. Wołam: „Proszę”. Drzwi uchylają się powoli i ku memu zdumieniu jogin Ramiah staje w progu.

Zrywam się i witam go, a gdy usiadł już na podłodze, siadam naprzeciw niego. Patrzy na mnie uważnie z wyrazem pytania w oczach. Oto znajduję się sam na sam z człowiekiem, którego języka nie znam, tak jak on nie zna mojego. A jednak jakiś dziwny mus każe mi zwrócić się doń w moim języku w niemal nedorzecznym przekonaniu, że zrozumie myśl moją, mimo niezrozumiałych słów. I w paru urywanych zdaniach mówię o trudnościach, które spadły z jasnego nieba, dopełniając me słowa gestami pełnymi pesymizmu i zniechęcenia.

Jogin słucha uważnie. Gdy kończę, potrząsa głową z wyrazem rozumiejącego współczucia. A po chwili wstaje i daje mi znak, abym z nim poszedł. Idziemy czas jakiś cienistym lasem, a potem przez przestrzeń otwartą, wystawioną na żar popołudniowego słońca. Po półgodzinnym marszu muszę się schronić przynajmniej na chwilę w cień olbrzymiego banianu; ale ledwie wychnąłem trochę, jogin Ramiah wstaje i znów idziemy dobre pół godziny przez gęsty gaj, aż ukazuje się wielki staw; zbliżamy się doń ścieżką, która zdaje się być dobrze znana memu przewodnikowi. Stopy nasze grzęzną w miękkim piachu nadbrzeżnym, gdy kierujemy się ku otwartej wodnej przestrzeni, pokrytej rozkwitłymi lotosami.

Tu jogin znajduje nieco cienia pod niskim rozłożystym drzewem i siada; idę za jego przykładem. Pierzasta palma obejmuje nas swą szeroką czupryną na kształt zielonego parasola. Jesteśmy zupełnie sami w tym cichym zakątku naszej ziemskiej kuli. Pusty, cichy

krajobraz rozciąga się przed nami het aż ku wzgórzom i zielonej dżungli na horyzoncie.

Jogin Ramiah przybiera swą klasyczną pozę krzyżując nogi i daje mi znak, bym usiadł bliżej; wtedy kieruje wzrok wprost przed siebie ku wodzie i za chwilę pogrąża się w głębokiej medytacji.

Minuty biegną powoli, a on siedzi nieruchomy z twarzą tak spokojną, jak te drzemiące wody stawu. Jego ciemne ciało zdaje się częścią krajobrazu, nieoddzielną częścią przyrody, jakby drzewo nietknięte najmniejszym podmuchem wiatru. Przechodzi pół godziny, dziwna jego postać ani drgnie. Jedynie twarz zdaje się opromieniona jeszcze głębszym spokojem, a oczy skierowane są gdzieś w dal, nie wiem, czy w próżnię, czy ku góróm dalekim.

Wkrótce staję się świadom niezmiernej ciszy tych pustych przestrzeni, a niewzruszony spokój promieniujący od tej pięknej postaci zaczyna wsączać się i w moją istotę. Łagodne jego fale przenikają w samą głąb duszy. Powoli ogarnia mnie uczucie pogodnego wzniesienia się ponad osobiste przeciwności, uczucie przed kilku godzinami tak bardzo ode mnie dalekie. Wiem, że to jogin pomaga mi w jakiś dziwny, tajemniczy sposób; nie mogę w to wątpić. Tak głęboka jest jego medytacja, że prawie nie widzę oddechu. Jakąż to tajemnicę kryje taki wzniosły stan? Gdzie ma swe źródła owo dobroczynne promieniowanie, którego wpływ tak wyraźnie na sobie czuję?

Upał zmniejsza się wraz ze zbliżaniem wieczoru, piasek palący stopy nieco ostyga. Żółty promień słońca pada wprost na twarz jogina, a postać jego wydaje się posągiem bóstwa w aureoli światła. Fale cichego, słodkiego pokoju przenikają całą moją istotę. Wszelkie zmiany losu przedstawiają mi się teraz we właściwej perspektywie, w miarę jak pogrążam się i ja w boskie głębie mej istoty. Widzę z uderzającą jasnością, że łatwo jest przyjmować z zupełną pogodą wszelkie zewnętrzne przeciwności i ciosy, jeśli się znajdzie ten jeden punkt swej wyższej jaźni; że śmieszne jest trzymać się kurczowo przemijających wygód i światowych znikomych nadziei, gdy czeka nas niewzruszona pewność nadludzkiej pomocy; że *Galilejczyk mówił swym uczniom, by nie troszczyli się o jutro tylko dlatego, że wyższa potęga troszczy się za nich*. Pojmuję teraz, że gdy raz przyjmujemy tę radę i zaufamy najgłębszemu proroczemu czynnikowi w nas samych, możemy przejść przez najgorsze udręki i trudności życia nieustraszeni i spokojni. Czuję, iż gdzieś blisko znajduje się największa wartość życia, że w obliczu jej promieniowania muszą

rozproszyć się wszelkie troski. I tak ogromne brzemie, tłoczące mnie dziś od rana, znika powoli, bo zmienia się mój własny stan duchowy.

Nie wiem, jak długo trwa to wspaniałe przeżycie, ani też nie wiem, jak wytłumaczyć tajemnicę tego boskiego pogażania się w głąb siebie i uniezależniania się od wszelkich wrażeń zmysłowych. Zmierch spływa na nieopisany czar krajobrazu. Gdzieś w zakątku mej świadomości pamiętam, że zmrok tropikalny zapada prawie nagle, ale nie przejmuje mnie to dziś lękiem. Czyż nie dość, że ten człowiek przedziwny, a tak cichy, jest przy mnie, gotów wieść mnie w głąb, tam gdzie można znaleźć największy skarb ziemi – pogodę?

Gdy w końcu sam lekko dotyka mego ramienia na znak, że czas wracać, noc zapadła głęboka. Trzymając się za rękę wędrujemy na przełaj, bez światła, idąc tylko za instynktem mego przewodnika; kiedy indziej przejałby mnie lęk, bowiem wspomnienia niemiłych przeżyć w dżungli nocą tkwią jeszcze w mej pamięci; czuje się tu tak blisko świat niewidzialnych żywych stworzeń! Przypominam sobie Dżeka, pieska, który ze mną nieraz odbywa wędrowki i dzieli w chatce posiłki; ma dwie duże blizny na szyi od zębów pantery, a brat jego nie zdołał im ująć i nigdy już do nas nie wróci. Może oto za chwilę ujrzę przed sobą zielone ślepią tego zdradzieckiego zwierza albo nastąpię na zwiniętą w mroku kobrę, czy też potrącę sandałem królewskiego skorpiona, tę białą, niedużą bestię o śmiertelnym jadzie. Ale prawie zaraz wstydę się takich myśli; czyż nie jestem w towarzystwie nieustraszonego jogina? Od razu strachy pierzchają i znów bezpieczny się czuję w zasięgu jego aury, która zdaje się mnie otulać ze wszystkich stron.

Potężny chór przyrody, który rozpoczyna się w Indiach o świcie, jest chyba mniej przejmujący od tej wieczornej muzyki, która nas teraz otacza. Gdzieś z dali daje się słyszeć szczekanie szakala; to znów echo dalekie niesie zgłuszony ryk jakiegoś zwierza, ze stawów chóry żab rechoczą, jaszczurki rzucają raz po raz swój cichy a przejmujący skrzek, odzywają się nietoperze. Noc śpiewa.

Nazajutrz otwieram oczy na słoneczny świat, a w sercu mym równie radośnie i jasno.



Mógłbym tak pisać bez końca o zmieniających się scenach otaczającego mnie życia, o wielu rozmowach z Mahariszim i własnych przeżyciach, ale czas, bym zamknął już tę swoją kronikę.

Jestem tu przy nim dość długo i obserwuję go pilnie; dziś widzę w nim syna tej odległej przeszłości, gdy odkrywanie prawd ducha

uważane było powszechnie za równie ważne, jak się uważa za naszych czasów odkrycie nowej kopalni złota. Z dniem każdym silniej narzuca mi się przekonanie, że w tym odległym, nieznanym zakątku Południa dane mi było spotkać jednego z ostatnich nadludzi Indii; patrzę na tę postać pełną niezmaconego spokoju, na tę mądrość żywą, objawioną w człowieku; wielkie postacie starożytnych riszich tego kraju stają mi się bliższe, wierzę, iż były one nie tylko legendą. Zdaję sobie dobrze sprawę, że to, co jest największe i najwspanialsze w Mahariszim, dla nas nie jest dostępne. Najgłębsza jego istota jest ponad naszym pojmowaniem. Czasem wydaje się on niedosięgle od nas daleki, a czasem łagodne błogosławieństwo jego łaski przykuwa mnie doń silniej, niżby to mogły uczynić łańcuchy. Uczę się poddawać bez rozumowania tajemnicy jego osobowości, przyjmować ją tak, jak ją odczuwam i widzę. Zdaję sobie sprawę, że choć po ludzku biorąc można powiedzieć, że jest on dobrze zabezpieczony przed wszelkimi kontaktami z zewnątrz, niemniej prawdą też jest, że każdy, kto odnajdzie nić Ariadny, może się znaleźć na drodze do głębokiego wewnętrznego z nim obcowania. Jakże cenię tę jego prostotę i skromność, mimo że otacza go atmosfera niezaprzeczalnej, najoczywistszej wielkości. Nigdy nie wyzyskuje swej potęgi okultystycznej ani nie operuje autorytetem proroczej wiedzy, mimo że mógłby w ten sposób tak łatwo wpływać na rozmiłowane w tajemniczości umysły swych rodaków. Przeciwwstawia się też wszelkim tendencjom do zbytńskiego uwielbiania i kanonizowania go za życia – właśnie za to tak go lubię.

Sądzę, że istnienie takich ludzi jak Mahariszi zapewnia w rozwoju dziejów ciągłość przenikania na ziemię boskiej wiedzy, płynącej ze sfer niełatwych dla nas do osiągnięcia. Sądzę również, że mędrcy tacy przychodzą na świat po to, aby nam coś objawić, a nie po to, aby dowodzić – i tak też musimy to przyjmować. Nauka jego przemawia do mnie, gdyż zarówno jego osobista postawa jak metoda praktyczna są w pewnym znaczeniu zupełnie naukowe – jeśli się je właściwie zrozumie. Nie wprowadza żadnych nadprzyrodzonych sił, nie żąda nigdy ślepej wiary. Najwznioślejsza duchowość, przenikająca całą atmosferę Maharisziego i rozumowe badanie siebie – podstawa jego filozofii – znajdują tylko słabe echo w jakimkolwiek kościele. Nawet słowa „Bóg” prawie nigdy nie słyszy się z jego ust. Unika on ciemnych niepewnych wód czarnoksięstwa, gdzie tyle już wypraw kończyło się rozbiciem. Daje nam po prostu metodę samoanalizy, którą może praktykować każdy bez względu na wyznawaną przez

siebie współczesną czy starożytną teorię lub wiarę; metodę, która w końcu doprowadzi człowieka do poznania i zrozumienia siebie.

Usiłuję stosować ją i przejść przez proces samoobnażania się, aby sięgnąć w to, co jest najczystsza, niepodzielna i najgłębsza moja istota. Wielokrotnie zdaję sobie sprawę, że Mahariszi przekazuje mi myślowo pewne pojęcia czy prawdy, choć ani jedno słowo nie pada między nami. Cień zbliżającego się rozstania pada na każdy mój wysiłek; choć odwlekam, jak mogę, wyjazd, zapadam jednak na zdrowiu i to mnie zmusza przyspieszyć decyzję. Wprawdzie z tego samego głębokiego pędu, który mnie tu przywiódł, powstało dość siły woli, by przemoc niedomagania przemęczonego organizmu i znużonego mózgu i wytrwać w tym gorącym, nieruchomym powietrzu, ale nie można zbyt długo iść wbrew naturze, mści się to potem dotkliwie. Oto jestem w przededniu zupełnego fizycznego załamania. Dziwny paradoks: moje wewnętrzne życie zbliża się do swego zenitu, a stan fizyczny nie był nigdy tak zły. Na parę godzin przed kulminacyjnym doświadczeniem z Mahariszim przychodzą gwałtowne dreszcze i niezwykle poty – niechybny znak zbliżającej się gorączki.

Wracam pośpiesznie z wycieczki do wielkiej świątyni, gdzie oglądałem rzadko otwierane kapliczki, i wchodzę do sali spóźniony, chyba w samym środku zwykłej medytacji. Siadam i uspokajam się w jednej chwili kierując wszystkie myśli ku centrum mojej istoty; wraz z zamknięciem oczu przychodzi intensywne skupienie całej uwagi w głębi, jakby odwrócenie się świadomości ku wewnątrz.

Widzę przed sobą wyraźnie postać Maharisziego, choć mam zamknięte oczy. Idąc za jego niejednokrotnie powtarzaną radą, usiłuję sięgnąć poza ten obraz myślowy w to, co jest jego prawdziwą istotą, jego właściwą potęgą, jego duchem. Ku memu zdziwieniu udaje mi się to niemal od razu: obraz znika, ale uczucie żywej, potężnej obecności mędrca trwa.

Pytania tak charakterystyczne dla pierwszych okresów moich medytacji ostatnio poczęły znikać. Tylokrotnie już zapytywałem swą świadomość o jej fizyczne, wzruszeniowe i myślowe doznania, a nie zadowolony z rezultatu takich badań poniechałem wreszcie wszelkich pytań, próbując raczej ześrodkować świadomość w jeden punkt, jakby kierować ją ku własnemu centrum, usiłując poczuć, gdzie jest jej właściwa ojczyzna, a teraz przychodzi najwyższy moment. W tym zupełnym milczeniu skupienia umysł zdaje się całkowicie zwracać do wewnątrz, a cały znany mu dotychczas świat zjawiskowy poczyną rozpyływać się w nieokreśloność. Otacza nas przez chwilę jakby pustka, znajdujemy się w obliczu gładkiej bezbarwnej ściany.

Trzeba wówczas dużego wysiłku, by utrzymać tę samą intensywność uwagi, ale jakże trudno porzucić leniwe unoszenie się na powierzchni życia i ściągnąć wszelką myśl, całą świadomość w jeden punkt koncentracji.

Dzisiaj idzie mi dziwnie łatwo; znajduję się niemal błyskawicznie w tym punkcie, zaledwie muśnięty przez szereg myśli, które zazwyczaj są doń wstępem. Jakaś nowa, dotąd nieznaną mi siłą zdaje się działać w moim wewnętrznym świecie i porywać mnie potężnym prądem w głąb. Pierwsza bitwa wygrana – i uczucie lekkości, swobody, szczęścia następuje po jej napięciu.

Za chwilę zdaje się stać poza intelektem, odrębny odeń, świadomy jego procesów myślowych, ale i tego, że jest on tylko narzędziem, a nie mną. Obserwuję grę myśli sam znajdując się poza nimi. Sama władza myślenia, z której dotychczas tak byłem dumny, staje się teraz czymś niepożądanym, od czego chciałoby się uwolnić, bowiem spostrzegam z uderzającą jasnością, że byłem jej nieświadomym niewolnikiem. I przychodzi nagle pragnienie, by przekroczyć intelekt i po prostu – być. Chcę pogrążyć się w coś, co od myśli jest głębsze. Chcę wiedzieć, jak będę się czuł wyzwolewszy się z więzów mózgu, zachowując jednocześnie baczność, żywą uwagę.

Dziwnie jest tak stać na uboczu i obserwować działanie swego mózgu, jakby on wcale do nas nie należał, widzieć, jak myśli powstają i znikają. Ale może jeszcze dziwniej jest czuć intuicyjnie, że stoi się przed tajemną zasłoną skrywającą najwewnętrzniejsze, najgłębsze dziedziny naszej istoty. Czuję się naprawdę jak Kolumb przed wylądowaniem na nieznanym kontynencie. Wstrząsa mną ciche i radosne przecucie.

Ale jakże uwolnić się od wiekowej tyranii myśli? Pamiętam, że Mahariszi nigdy nie radził sztucznie zatrzymywać biegu myśli. „Znaleźć źródło wszelkiej myśli idąc po nitce do kłębka, czuwać i czekać, aż się nam prawdziwa jaźń wewnętrzna objawi, a wtedy myśli znikną same przez się” – oto słowa, które niejednokrotnie powtarzał. Zdaje mi się, że odkryłem, gdzie myśl bierze początek, więc odrzucam aktywne wewnętrzne skupienie, które zaprowadziło mnie uwagę do tego punktu, i staram się odprężyć zupełnie pozostając w odbiorczym biernym oczekiwaniu, choć ciągle baczny jak wąż wobec upatrzonej ofiary.

Stan takiej równowagi trwa czas jakiś, aż przekonuję się sam o prawdzie słów Maharisziego. Powoli ustają nawet najłżejsze drgnienia myśli; działanie logicznego rozumowania spada do zera, a ogarnia mnie najdziwniejsze wrażenie, jakiego kiedykolwiek

doznałem. Czas zdaje się znikać, a antena wzrastającej z każdą chwilą intuicji wychylać zda się w nieznanne. Raporty moich fizycznych zmysłów tu się urywają, sama ich pamięć zamiera. Wiem, że za chwilę stanę *poza* rzeczą wszelką, na samej granicy tajemnicy świata...

Wreszcie przychodzi najdziwniejsze. Myśl zdmuchnięta jak świeca. Intelkt cofa się na swe właściwe miejsce i świadomość działa nie krępowana przez myśli. Pojmuję teraz i ogarniam to, co twierdził Mahariszi, że umysł bierze swój początek w wyższym duchowym pierwiastku. Działanie mózgu zawieszono zupełnie jak podczas głębokiego snu, a jednak nie wpływa to bynajmniej na ograniczenie świadomości. Pozostaję spokojny i najzupełniej świadomy tego, kim jestem i co się dzieje; ale ów zmysł świadomości został jakby wyciągnięty z ciasnego zamknięcia w ścianach oddzielnej osobowości i rozszerzył się w coś wielkiego, jakby wszechogarniającego. Poczucie jaźni nadal istnieje, ale jakiejś innej, promiennej i szerokiej. Bowiem coś nieskończenie wyższego od małej, nieznacznej osobowości, która była mną, coś bardziej istotnego i boskiego powstaje w świadomości i *staje się* mną. A równocześnie pojawia się niezwykle, nowe uczucie absolutnej wolności, gdyż myśl, która wciąż biega jak tkackie czółenka, krępuje nas tyranią swego nieustannego ruchu; oswobodzić się od niej to jakby wyjść z więzienia na otwartą przestrzeń.

Zdaje mi się, że przekraczam granice naszego świata; kula ziemską, która była mi dotąd mieszkaniem, znika. Znajduję się wśród oceanu olśniewającej światłości; chyba jest to pierwotna materia kosmiczna, z której światy zostały stworzone. Wypełnia ona niezmierne, nieskończone przestrzenie i jest niezwykle *żywa*.

Na jedną sekundę zdaje się dotykać znaczenia tego tajemniczego dramatu wszechświata, który rozgrywa się w przestrzeni, i zaraz powracam do pierwotnego punktu mej istoty. „Ja”, to nowe „ja”, znajduje się w ramionach niewymownego, najświętszego szczęścia. Jakbym oto pił z platońskiej czary Lety, wszelkie gorycze wczorajszych wspomnień czy trosk o jutro znikły jak mgły. Dotknąłem boskiej wolności i niepojętego szczęścia. Ogarniam ramionami całe stworzenie, bowiem najgłębiej w tej chwili pojmuję, że wszystko widzieć, to nie tylko wszystko przebaczyć, ale też i wszystko ukochać. Serce całe przemienia się w zachwycie.

Jakże mam oddać przeżycia następne, gdy są zbyt nieuchwytnie dla słów? Jednak słoneczne prawdy, które poznałem, wyrażone w języku ziemi, mogą służyć innym. Więc uczynię wysiłek, by choć

w niezdarnych ludzkich słowach przekazać coś z tego świata archetypów, rozciągającego się bezbrzeżnie i bezdrożnie poza dziedziną ścisłego myślenia.



Wielki jest rodowód człowieka, a Istota, która go piersią karmiła, jest wielokroć wyższa od jego ziemskiej matki. W chwilach wewnętrznego przejrzenia może on dojść do zrozumienia tego.

Ongi, w pradawnych wiekach swego istnienia, złożył człowiek przysięgę poddaństwa Najwyższemu i w boskim kroczył majestacie bogom podobny. A jeśli dziś zgiełkliwy świat zewnętrzny natarczywie go woła i zagarnia wyłącznie dla siebie, istnieją jednak tacy, którzy przysięgę jego słyszeli. Oni to do pamięci jego zakolączą, gdy chwila właściwa nadejdzie.

Istnieje w człowieku To, co jest niezniszczalne. Choć je zaniedbuje i zapomina o swej jaźni najwyższej, zapomnienie to w niczym umniejszyć nie może jej świetlistej wielkości. Człowiek może usnąć zaślepiony zmysłami, ale gdy godzina wybije, poczuje dotknięcie swej jaźni, a wówczas przypomni sobie, kim jest, i duszę swą odzyska.

Nie pojmuje on dziś swej własnej wartości, bowiem najgłębszy boski zmysł w sobie zatracił. I oto goni za zdaniem cudzym, cudzej szuka mądrości, gdy pewność jedyna i najwyższy duchowy autorytet przebywają niezmiennie wewnątrz jego własnej istoty. Odwieczny Sfinks nie patrzy na żadne ziemskie krajobrazy. Swój nieruchomy wzrok zawsze na wewnątrz kieruje, a tajemnicą jego nieodgadnionego uśmiechu jest samowiedza.

Człowieku, który patrząc w siebie jedynie nędzę i mrok, i lęk dostrzegasz, nie kalaj ust swych szyderycznym uśmiechem! Patrz dłużej, idź głębiej, aż wątle jaśnienie uchwycisz, aż tchnienie poczujesz leciutkie, gdy serce twe na chwilę zatrzyma się w ciszy. Chłoń owe znaki; powoli siły nabiorą i wzrosną w myśli natchnione, co lecą przez duszę, jak anioły wędrowne, tajemnego głosu zwiastuny, głosu ukrytej, nieznannej istności, twej własnej prawiecznej jaźni.

Boska natura objawia się w każdym ludzkim życiu od nowa, ale gdy człowiek obojętnie ją mija, objawienie marnieje jak ziarno na skały rzucone. Boska świadomość ogarnia wszystkich, nie wyklucza nikogo, lecz można się od niej dobrowolnie oddalać. Człowieku! Szczycisz się stawianiem dumnego pytania: czym jest życie? Pragniesz logicznie zagadkę istnienia rozwiązać, gdy każdy ptak na



zielonej gałązce, każde dziecko miłośnicie u ręki matczynej uwieszone zagadkę tę rozwiązywał z prostotą, dając tego świadectwo swego życia obrazem. Życie, które jest źródłem twego istnienia, człowieku, wyższe jest i wznioślejsze, niż twa myśl najgórniejsza wyobrazić to sobie zdoła. Ufaj w jego cel, wsłuchuj się w cichą jego wieść, szeptaną sercu w chwilach intuicyjnych widzeń.

Ten, kto sądzi, że żyć można dając unosić się fali żądz wszelakich i nie gotując sobie tym samym przyszłych więzów najcięższych – ułudę żywi, w pustkę gna. Ktokolwiek wobec innych czy też siebie samego prawo przekracza, sam na siebie wyrok wydaje. Bowiem można ukryć wykroczenia swe przed okiem ludzi – ale nie bogów. Sprawiedliwość niewzruszona rządzi światem, choć czasem jest niewidzialna, a w gmachach sądów ludzkich nieraz trudno się jej doszukać. Lecz ktokolwiek zdoła ująć sprawiedliwości ziemskiej i długów swych tu nie wyrówna, sprawiedliwości boskiej nie ujdzie nigdy. Nieubłagana Nemezis położy nań nieuchronnie swą ciężką dłoń.

Ci, co znają gorzkie potoki łez, co długo kroczyli przez mroczne doliny cierpienia, skłonniejsi są nieraz do przyjęcia prawdy, które im życie milcząco, ale nieustannie podaje. Jeśli nawet nic innego nie umieją dostrzec, poznają łatwo tragiczną zmienność uśmiechów fortuny; mniej cierpią, gdy nie dadzą się omamić ich złudą. Życie każdego splata się zawsze z nici radości i cierpienia. Toteż szaleństwem jest dumnie wznosić czoło i pysznić się swym szczęściem. Klęska czeka nieodwołalnie takiego pyszałka. Pokora jedynie jest szatą godną obecności bogów, którzy w dzień jeden zmieść mogą to, co gromadziły lata. Los rzeczy wszelkiej cyklicznym ulega kolejom, ślepy jedynie tego nie dostrzeże. I wszechświat rytmicznie pulsuje, a w ludzkim życiu okres dobrobytu i szczęścia ustępuje miejsca okresowi cierpienia i przeciwności; zdrowie nieraz zamienia się w chorobę, a miłość jest gościem płochliwym, pojawia się, by zniknąć za chwilę. Ale gdy w końcu przeciera się noc największej męki i świt nadchodzi, niesie nam zawsze mądrość nową. A nauką, z gry tych zmian płynącą, nauką odtrącaną i wielokrotnie zapoznaną przez człowieka, jest prawda, że w sobie tylko człowiek znaleźć może nie przemijające szczęście i wyzwolenie wieczyste. Gdy oczy zbyt długo na tę prawdę zamyka – cierpienia, rozczarowanie i męka przychodzą go budzić. I nie ma człowieka na ziemi, któremu bogowie pozwoliliby uniknąć tych dwóch wielkich nauczycieli ludzkości – radości i bólu.

Nie prędzej poczuje się człowiek bezpieczny i pewny, aż odkryje słoneczne skrzydła boskiej swej duszy. Dopóki upiera się w mroku

– najlepsze jego zdobycze będą się stale zwracać przeciw niemu; każda rzecz, co go coraz ściślej wplata w materialne istnienie, zmienia się w nowy węzeł, który kiedyś z trudem sam będzie musiał rozplątać. Bowiem związek człowieka z jego duchową ojczyzną jest nierozzerwalny i nigdy człowiek całkowicie zaprzeczyc nie zdoła swej wewnętrznej boskości. Pomny tej prawdy, niechże ufnie powierzy siebie i troski swe wszelkie, i marzenia najskrytsze słodkiej opiece swej duszy, a ta go nie zawiedzie. Niech idzie za tą radą, jeśli chce żyć w pokoju, a umierać nieustraszenie i w dostojęństwie.

Ten, kto raz ujrzał prawdę swej duszy, nigdy już nienawidzić drugiego człowieka nie zdoła. A nie masz grzechu większego nad nienawiść. Nie masz sroższego bólu nad ten, który zostanie spowodowany niechybnie przez krwawe dziedzictwo nienawiści; nienawidzący nie uniknie złowrogięgo skutku swej nienawiści, która zawsze ku niemu powróci. Choć nikt nie może skryć się przed wzrokiem bogów – sami oni stoją niewidzialni jako milczący świadkowie potworności dzieł ludzkich. Świat pełen jęku, skargi i męki rozciąga się wokół człowieka, a przecie pokój wzniosły jest tuż, w jego zasięgu; ludzie znużeni, przytłoczeni bólem, szarpani zwątpieniem, pojeni goryczą potykają się i padają torując sobie po omacku drogę pośród ciemnych życia obszarów, a światłość ogromna jarzy się nad ich głowami i rzuca promienie na ścieżkę u ich nóg. Nienawiść dopiero wówczas zniknie z oblicza ziemi, gdy człowiek nauczy się patrzeć w twarz bliźnich nie tylko w świetle zwykłego dnia, ale i w przemieniającym blasku ich boskich możliwości; gdy zdoła patrzeć na nich ze czcią jako na tych, których serca są świątynią potęgi zwanej Bogiem.

Wszystko, cokolwiek ogromne jest w przyrodzie, a natchnione i wielkie w sztuce, mówi człowiekowi o nim samym. Tam, gdzie nie sprostał kapłan, wielki artysta przychodzi niosąc zapomnianą wieść z krainy ducha. Ktokolwiek zna choćby chwile rzadkie, gdy go piękno w wieczystość uniosło, niech je w pamięci wywoła, ilekroć go znużenie i smutek ogarną, i niech wstąpi w najgłębszą Jaźni świątynię. Tam niech szuka nie przemijającego spokoju, błysku światła i mocy, pewien, że gdy zdoła dotknąć swej najwyższej jaźni, pozna ciszę, i szczęście, i wypełnienie.

Uczeni wgrzają się jak mole w stopy ksiąg współczesnych i rękopisów starożytnych, które zapełniają wielkie gmachy bibliotek i uczelni, a jednak nie mogą poznać głębszej tajemnicy, większej odkryć prawdy nad tę jedną i najwyższą, że boskim jest duch człowieka. Znikome nasze nadzieje rozwiewać się mogą jak lotne

mgły, ale ta jedna – że nieśmiertelne życie jest faktem, że doskonała miłość i nie przemijające szczęście istnieje – ta nie rozwieje się nigdy. Znajdzie ona swe niezawodne, ostateczne spełnienie, bowiem jest nie nadzieją, lecz instynktem proroczym, przeczuciem nieodwołalnego przeznaczenia.

Od dawnych proroków czerpie dziś ludzkość największe myśli; w odległych wiekach znajduje źródła najwznioślejszej etyki. Ale gdy człowiek przejrzy, gdy otrzyma wzniosłe objawienie swej własnej duchowej natury – jest olśniony. Najgórnieszka myśl, najszlachetniejsze uczucie przychodzi doń wówczas samo, nie wołane. W ciszy niezmaconej jego umysłu powstają wizje niemniej święte od tych, które mieli starożytni prorocy hebrajscy i jasnovidze Arabii, przypominający swej rasie jej boskie pochodzenie. W tym samym świetle jutrznianych promieni zrozumiał Budda prawdę nirwany, by ludziom ją potem głosić. A taka jest potęga zbudzonej przez tę wizję miłości, że Maria z Magdalii skalane swe życie łez żarliwością u stóp Jezusa uświęca.

Nic przyćmić nie zdoła powagi olbrzymiej tych odwiecznych prawd. Istnieją niezmiennie, odkąd ludzkość pojawiła się na ziemi. Nie było ludu, który by nie otrzymał objawień o tym życiu najwyższym człowieka. Droga doń dla każdego otwarta. Poznać je może każdy, kto nie tylko rozumem uzna wielką prawdę aż zaświeci wśród jego myśli jak wielka gwiazda wśród asteroidów, ale kto ją i sercem sobie przyswoi i w żywą krew czynu zamieni.

Powracam do mej ziemskiej świadomości pchnięty siłą większą od mojej. Powoli, jakby miarowo, staję się świadom mego otoczenia. Zdaję sobie sprawę, że siedzę dotychczas w sali Maharisziego, która w tej chwili jest pusta, widać wszyscy udali się na posiłek. Spostrzegam zegar przede mną, a za chwilę odczuwam obok czytając obecność. Odwracam głowę: to stary eks-naczelnik stacji siedzi przy mnie darząc mnie życzliwym, serdecznym spojrzeniem.

– Od dwóch przeszło godzin jest pan pogrążony w prawdziwej kontemplacji – objaśnia mnie, a jego porwana latami i troską twarz rozpromienia się radosnym uśmiechem, jakby się cieszył moim szczęściem.

Chcę odpowiedzieć, ale spostrzegam ku memu zdumieniu, że mowa mnie opuściła. Przechodzi dobry kwadrans, zanim powraca. Tymczasem staruszek dodaje skwapliwie:

– Mahariszi przez cały czas pilnie pana obserwował. Sądzę, że ciągle kierował pana myślą.

Gdy wszyscy powracają do sali i zajmują zwykle miejsca na niedługą chwilę, która poprzedza udanie się na spoczynek, Mahariszi zasiada na swym tapczanie i głowę opiera na dłoni. Oczy nasze spotykają się i odtąd patrzy na mnie w skupieniu. A gdy jeden z uczniów codziennym zwyczajem przykręca knoty lamp, uderza mnie raz jeszcze dziwny blask spokojnych oczu mędrca. Błyszczą jak dwie gwiazdy w półmroku sali. Myślę, że nigdy w życiu nie spotkałem podobnych oczu. Na ile oczy ludzkie są w stanie oddać potęgę boskości, na tyle ją przekazuje spojrzenie tego wielkiego spadkobiercy pradawnych riszich Indii.

Wonny dym kadzidła wznosi się kręgami; cicho jest w sali, a ja wciąż wpatruję się w te oczy nadziemskie. I ani jedno słowo nie pada przez następne czterdzieści minut. Po cóż nam słowa? Rozumiemy się teraz lepiej w głębokim milczeniu, gdy myśl dotyka myśli w bezsłownej harmonii; a spojrzenie jego czyż mi nie przekazuje tak wiele? Teraz, gdy uchwyciłem coś ze wspaniałego światopoglądu Maharisziego, życie moje wewnętrzne może łatwiej jednoczyć się z jego życiem.



Przez następne dwa dni walczę z powstającą gorączką, udaje mi się jakoś ją zatrzymać.

Staruszek odwiedza mnie po południu w mej chatce.

– Pobyt pana wśród nas ma się ku końcowi – mówi z żalem – ale jestem pewien, że jeszcze pan do nas wróci. Prawda?

– Na pewno! – potwierdzam z wiara.

Gdy odchodzi, stoję w drzwiach i patrzę długo na Górę Świętego Płomienia – Arunaczalę, Szkarłatną Górę Świętą, jak ją także nazywają. Była ona świadkiem i barwnym zarazem tłem wszystkich moich przeżyć; gdziekolwiek byłem, cokolwiek robiłem, wystarczyło mi podnieść oczy od pracy czy posiłku, podczas rozmowy, spaceru czy medytacji, aby ujrzeć przed sobą jej dziwny, płaskogłowy, majestatyczny kształt. Wszędzie w tej okolicy jest to nieuniknione, ale czar, który na mnie rzuciła, był jeszcze bardziej nieunikniony. Pytam siebie, czy ten samotny, niezwykle szczyt nie zaczarował mnie. Istnieje podanie, że Arunaczala wewnątrz jest pusta i że zamieszkują tę przestrzeń jakieś wielkie duchy, dla zwykłych oczu niewidzialne. Ale jakżebym mógł wierzyć w takie dziecinne legendy? Mimo to jednak stwierdzić muszę, że ma dziwną władzę nade mną i niepojęty czar, choć widziałem tyle szczytów od niej piękniejszych. Te dzikie zбочa o czerwonych ogromnych złomach, porozrzuc-

nych bezładnie i jarzących się w słońcu jak płomień przyćmiony, posiadają jakąś odrębność swoistą, promieniują w przestrzeń niemal dotykalmą grozę.

Gdy zmrok zapada, idę żegnać się ze wszystkimi z wyjątkiem Maharisziego. Czuję w sobie pewien radosny spokój, bowiem bitwa o zdobycie duchowej pewności została wygrana, i to bez poświęcenia mego ulubionego racjonalizmu na korzyść ślepej wiary. A jednak gdy staje za chwilę przy Mahariszim na podwórzu pustelni i zdaje sobie sprawę, że oto chwila pożegnania nadeszła, cała moja radość znika zupełnie. Ten człowiek zdobył moje najgłębsze uczucia i ciężko mi odjeżdżać. Przywiązał mą duszę do swojej niewidzialną więzią od stali silniejszą, choć celem jego było tylko przywrócić mnie sobie samemu i z wszelkich więzów wyzwolić. Uniósł mnie i postawił twarzą w twarz z mym własnym duchem; pomógł mnie, tępemu w duchowych sprawach człowiekowi z Zachodu, ogarnąć i pojąć treść dotąd martwego słowa przez własne, żywe, głęboko radosne przeżycie.

Odwlekam chwilę pożegnania, niezdolny wypowiedzieć mego wzruszenia. Ciemne, granatowe niebo usiane skrzącymi gwiazdami patrzy na nas, a wątły sierpek księżycy jaśnieje srebrzystym delikatnym światłem. Wieczorne robaczki świętojańskie błyskają raz po raz tuż przy nas, a nad głowami wznoszą się pierzaste czuby palm rysując się wyniosłą sylwetką na tle nieba.

Tak więc moja wewnętrzna przygoda duchowego przemienienia dokonała się. Ale kołowrót czasu przyprowadzi mnie tutaj znów, wiem o tym. Podnoszę złożone dłonie w ostatnim pozdrowieniu, zaledwie mogę wyszeptać słów parę – a mędrzec uśmiecha się tylko i głębokim mnie darzy wejrzeniem.

Jeszcze ostatni rzut oka ku niemu, ostatni zarys wysokiej postaci wznoszącej się jak posąg z metalu na tle nieba, ostatni gest pożegnania i jego odpowiedź... Wskakuję do wózka, woźnica zacina batem woły i skręcamy z podwórza na szeroki gościniec w ciepłą, jaśminami pachnącą podzwrotnikową noc.

## Spis treści

Wprowadzenie .....	7
Mag z Egiptu .....	9
Kobieta z Puny .....	19
Anachoreta znad rzeki Adiaru .....	23
Joga przewyciężająca śmierć .....	43
Mędrzec, który nigdy nie mówi .....	61
Z duchowym kierownikiem Południowych Indii .....	73
Góra Świętego Płomienia .....	91
Wśród magów i świętych .....	121
Cudotwórca z Benaresu .....	141
Wypisane w gwiazdach! .....	157
Dziwne spotkanie .....	175
W leśnej pustelni .....	189
Zapomniana prawda .....	207

Człowiek nie zna swoich prawdziwych możliwości, natura ludzka zastała błędnie sklasyfikowana i rozpoznana. Poglądy te już się niemal upowszechniły i należą do repertuaru współczesności. Pojawia się wiele publikacji, które szokując lewitacją, uzdrawianiem, wyczynami joginów i jasnowidzów, tajemnicami piramid czy katedr — powiększają tylko ilość chaotycznych bzdur.

W *Ścieżkami jogi* pokazane są także zdarzenia szokujące, zdarzenia, które nie powinny się zdarzyć, współpraca z duchami, ożywienie martwego ptaka, ćwiczenia widące do nieśmiertelności fizycznej ciała — ale przede wszystkim pokazana jest *droga*, którą musi przejść człowiek, żeby w tych nowych (i zawsze istniejących) rzeczywistościach uczestniczyć.

„Miałem dużo lekceważenia dla tych, co lubią budować teologiczne raje, a uważając się za przedstawicieli boskich włości, innych pragną nauczać i informować... Nie poddałem się żadnej wschodniej wierze — zdobyłem natomiast *nowe pojęcie Boga.*”



wydawnictwo  
przedświt

ISBN 83-7057-015-1